

MALINCHE. MALARKA SŁÓW

LAURA ESQUIVEL



Nowa książka autorki
Przepiórek w płatkach róży

MALINCHE
MALARKA
SŁÓW
LAURA
ESQUIVEL

11

Wiatrowi



Rozdział pierwszy



Najpierw był wiatr. Później, niby błyskawica, niby jezor srebra na niebie, rozbłysła nad doliną Anahuac zapowiedź burzy, która miała zmyć krew z kamienia. Po złożeniu ofiary miasto pociemniało i rozległy się ogłuszające grzmoty, po czym pojawił się na niebie srebrzysty wąż, widoczny z jednakową mocą w różnych miejscach. Zaraz potem lunął z niespotykaną siłą deszcz. Padał przez cały wieczór i całą noc, i cały następny dzień. Przez trzy dni padał bez przerwy. Padał tak, że kapłani i mędrzy z Anahuac się zaniepokoiли. Przywykli do słuchania i interpretowania głosu wody, poczuli tym razem, że Tlaloc, bóg deszczu, nie tylko próbuje im coś powiedzieć, lecz także że za pośrednictwem wody zsyła na nich nowe światło, nową wizję, która nada inny sens ich życiu, i choć nie rozumieli jej jeszcze, tak właśnie odbierali to w swych sercach. A zanim ich umysły pojęły głębię wieści przekazywanej przez wodę, deszcz ustał i rozjarzone słońce odbiło się w niezliczonych zwierciadłach, w jeziorkach, rzekach i kanałach, które deszcze napełniły po brzegi.

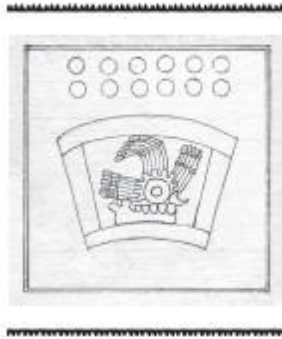
Tego dnia, z dala od doliny Anahuac, w krainie Painala, pewna kobieta walczyła, wydając na świat pierwsze dziecko. Ulewa zagłuszała jej stękanie. Teściowa pełniąca funkcję akuszerki nie wiedziała, czy ma słuchać pierworódki, czy wieści od boga Tlaloca.

Szybko zdecydowała się na poświęcenie uwagi żonie swego syna. Poród był skomplikowany. Mimo długiego doświadczenia nigdy jeszcze nie asystowała przy podobnych perturbacjach. Podczas kąpieli w temascalu – tuż przed rozpoczęciem porodu – nie wyczuła, by płód był źle ułożony. Wszystko wydawało się w porządku. Teraz jednak widziała, że narodziny dziecka opóźniają się ponad miarę.

Już od dłuższego czasu jej synowa, naga, w pozycji kucznej, parła pracowicie, nie mogąc jednak wypchnąć dziecka. Teściowa, przewidując, że nie przecisnie się ono przez otwór rodny, sięgnęła po nóż z obsydianu, którym kroila na kawałki płody niezdolne do przyjścia na świat. Czynność tę wykonywała w brzuchach matek, by mogły bez problemu je wypchnąć, ratując w ten sposób przynajmniej swoje własne życie. Lecz nagle przyszła babka klęcząca przed synową ujrzała główkę wynurzającą się na moment z pochwy i natychmiast znikającą w niej ponownie, co mogło oznaczać, że pępowina owinęła się wokół szyi dziecka. Rzeczywiście, pomiędzy nóg matki wychynęła raz jeszcze główka z pępowiną w ustach, jakby wąż wił się wokół noworodka. Babka odczytała ów obraz jako wiadomość od boga Quetzalcoatl, który węzowym ciałem oplatał szyję i usta dziecka. Korzystając z okazji, palcem rozwinęła pępowinę. Przez kilka sekund

– które wydały się jej wiecznością – nie działały nic. Wzmógł szum ulewy był jedynym dźwiękiem wtórującym jękom młodej położnicy.

Po tym jak przemówiła woda, nastąpiła cisza i dopiero po chwili przerwał ją płacz dziewczynki, którą nazwano Malinalli, ponieważ urodziła się dnia opisywanego tym znakiem, czyli trzeciego dnia szóstej dwudziestki.



Babka wydała kilka okrzyków wojennych, by obwieścić wszem i wobec, że jej synowa jako dobra wojowniczką wyszła zwycięsko z walki na śmierć i życie. Zaraz potem przytuliła ciało wnuczki do piersi i obsypała je pocałunkami.

Nowo narodzona, córka tlatoaniego Painali, znalazła się w objęciach babki ze strony ojca. Kobieta tknęła przecucie, że przeznaczeniem dziewczynki jest utracić wszystko, by wszystko zyskać. Wszak tylko ten, kto zostanie opróżniony, może zostać napełniony od nowa. W próżni unosi się światło zrozumienia, a ciało dziecka było niczym piękne naczynie, w które można wlać najkosztowniejsze klejnoty pieśni i kwiatów pozostawione przez przodków, jednakże nie po to, by na zawsze tam pozostały, lecz by uległy przetworzeniu i przekształceniu, a potem zostały przelane gdzie indziej.

Babka nie dostrzegła jednak, że pierwsza strata, która miała dotknąć dziewczynkę, jest tużtuż, a tym bardziej że ona sama poważnie przy tym ucierpi. Tak jak ziemia marzyła niegdyś o kwiatach, o drzewach, o jeziorach i rzekach przecinających jej powierzchnię, tak babka marzyła o wnuczce. Możliwość utraty małej była ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby jej na myśl. Obcowanie z tajemnicą życia stanowiło dostateczną odtrutkę na myślenie o śmierci w którymkolwiek z jej przejawów: opuszczenie, utrata, zniknięcie. Nie, jedynym, czego pragnęły w tym momencie jej umysł i serce, było radowanie się życiem. Zatem babka, aktywnie uczestnicząca w całym porodzie, patrzyła z radością i zachwytem, jak Malinalli otwiera oczy i energicznie wymachuje rączkami.

Pocałowała dziewczynkę w czoło i oddała ją w ręce ojca, władcy Painali, po czym przystąpiła do pierwszego rytuału związanego z narodzinami: odcięcia pępownicy. Zrobiła to kawałkiem obsydianu, który sama przygotowała specjalnie na tę okazję. Kamień został wypolerowany z takim pietyzmem, że przypominał raczej błyszczące czarne zwierciadło niż zwykły nóż. Podczas cięcia obsydianowe ostrze pochwyliło słoneczne promienie przenikające przez palmową strzechę i odbiło je na twarz babki. Ostre światło dziennej gwiazdy przeszło jej źrenice, nieodwracalnie uszkadzając wzrok. Pomyślała wówczas, że być może na tym właśnie zasadza się istota urodzin: wydawanie na świat to zarazem wydawanie na światło. Zrozumiała także, iż pomagając synowej w porodzie, stała się kolejnym ogniwem łańcucha utworzonego przez pokolenia kobiet, które dawały sobie wzajemnie światło i świat.



Nie zwlekając, babka ułożyła ostrożnie wnuczkę na piersi synowej, by ta mogła ją powitać. Słyszając bicie serca matki, dziewczynka uznała, że jest w znajomym miejscu, i przestała płakać. Babka ujęła w dłonie łożysko i wyszła z domu, by zakopać je pod drzewem na dziedzińcu na tyłach domu. Ziemia była tak wilgotna po ulewie, że drugi człon pępka Malinalli został raczej zatopiony w ziemi niż pogrzebany. Posłużył do zasiańcia życia, a teraz powracał do ziemi, do swego początku. Sznur łączący ziemię z niebem dostarczał pożywienia pożywieniu.

Kilka dni później dziewczynka została ochrzczona przez własną babkę, gdyż zgodnie z tradycją czyniła to akuszerka, która sprowadziła kolejną kobietę na świat. Ceremonia odbyła się w godzinie wschodu słońca. Dziewczynka miała na sobie huipil i małą biżuterię, którą babka i matka wykonały specjalnie dla niej. Pośrodku patia postawiły małą glinianą miseczkę, a obok niej ułożyły koszyczek, wrzeczono i czółenka.

Na pięknie dekorowanej ceramicznej podstawce zapłonął kopal. Z kadzielnicą w ręku babka odwróciła się w stronę, po której wschodziło słońce, i powiedziała wiatrowi:

– Panie Tchnienia, porusz mým wachlarzem, wnieś mnie ku sobie, obdarz swoją siłą, Panie.

W odpowiedzi lekki wietrzyk musnął jej twarz i zrozumiała, że jest to właściwy moment na pokłonienie się czterem wiatrom. Odwróciła się powoli ku czterem stronom świata, wymawiając słowa modlitwy. Następnie przesunęła kadzielnicę pod ciałem wnuczki przytrzymywanej w powietrzu przez rodziców ofiarujących ją wiatrowi. Drobną postacią, rysującą się wyraźnie na tle błękitu nieba, zasnuł wkrótce wonny dym, oznaka, że zaczął się obrzęd oczyszczenia.

Po chwili babka odstawiła kadzielnicę na miejsce, wzięła dziewczynkę w ramiona, jeszcze raz podniosła ją ku niebu, nabrała palcami nieco wody i włożyła ją jej do ust, mówiąc:

– Oto matka i ojciec nas wszystkich, wszystkich kobiet, nazywa się Chalchiuhtlicue, jest boginią wody, przyjmij ją do ust, to z nią będziesz żyła na ziemi.

Następnie nabrała kolejną odrobinę wody i położyła jej na piersi, mówiąc:



– Spójrz teraz na tę, z którą będziesz wzrastać i się zielenić, która oczyści i pokrzepi two serce i two wnętrze.

Na koniec wylała z dzbana nieco wody na główkę dziecka, mówiąc:

– Poczuj teraz świeżość i zieloność Chalchiuhtlicue, wiecznie pełnej życia i baczącej na wszystko, która nigdy nie śpi, która nigdy nie drzemie; chcę, by pozostała z tobą, by cię objęła, by trzymała cię w ramionach, żebyś była bystra, pilna i pracowita na ziemi.

Następnie obmyła rączki wnuczki, żeby nie kradła, oraz stópki i pachwinki, żeby nie była lubieżna. Wreszcie poprosiła Chalchiuhtlicue, boginię wody, by wydobyła z ciała dziewczynki wszelkie zło i chorobę, by odpędziła je, by zabrała je ze sobą, po czym oświadczyła:

– Począwszy od dzisiejszego dnia, będziesz zwała się Malinalli, imię to będzie twym znakiem, należnym ci z racji urodzin.

Na zakończenie ceremonii ojciec Malinalli przytulił córeczkę i wyrzekł zwyczajowe słowa powitania, na wpół modlitwę, na wpół pieśń, którymi przyjmowano noworodki do tego nowego życia:



– Jesteś przy mnie, córeczko moja, długo oczekiwana, mój naszyjniku z drogocennych kamieni, moje pióra kwezala, moje dzieło, ze mnie zrodzone. Ty, która jesteś moją krwią, moją barwą, moim odbiciem. Dziecino moja, popatrz uważnie, oto twa matka, twa pani, z jej brzucha, z jej łona wyszłaś, wykiełkowałaś. Jak źdźbło trawy wyrosłaś. Jak gdybyś była uśpiona i ze snu się obudziłaś. Teraz żyjesz, urodziłaś się, zesłał cię na ziemię Pan nasz, Pan Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok, ten, co stworzył człowieka, ten, co wymyślił człowieka. –W tym momencie ojciec Malinalli poczuł natchnienie płynące spoza jego osoby i zamiast tradycyjnych formuł z jego ust popłynęła inna pieśń: – Córko moja, z wody pochodzisz, a woda przemawia. Z czasu pochodzisz i w czasie pozostaniesz, a słowo two będzie w wietrze i zostanie zasiane na ziemi. Słowo two będzie ogniem, co przemienia wszystkie rzeczy. Słowo two będzie w wodzie i stanie się zwierciadłem języka. Słowo two będzie mieć oczy i będzie widzieć, będzie mieć uszy i będzie słyszeć, będzie mieć dotyk, by prawdomównie kłamać, i wypowie prawdy, które zdadzą się kłamstwami. Słowem powrócisz do spokoju, do początku, gdzie panuje pustka, gdzie nie ma nic, gdzie wszystko, co stworzone, powraca do ciszy, lecz słowo two je obudzi i przyjdzie ci nadawać imiona bogom, i przyjdzie ci nadawać nazwy drzewom, i sprawisz, że przyroda otrzyma język, i przemówi przez ciebie to, co niewidzialne, i stanie się widzialne w twym słowie. A język twój będzie świetlistym słowem, a twoje słowo – kwietnym pędzelkiem, słowem różnobarwnym, które twym głosem namaluje nowe kodeksy.

Owego roku 1504, gdy młody Hernán Cortés po raz pierwszy postawił stopę na Hispanioli (wyspie, na której leżą obecnie Republika Dominikańska i Haiti) i zdał sobie sprawę,

że istnieje świat, którego nie zna, poczuł, że wyobraźnię wypełniają mu pragnienia.

Jak każdy jednak przywykł otrzymywać wszystko, na cokolwiek przyszła mu ochota. W okresie rozwoju nie musiał nigdy dzielić z nikim zabawek, co sprawiło, że wyrósł na rozkapryszonego dzieciaka, który gdy tylko czegoś zapragnął, natychmiast przywłaszczał to sobie. Trudno się zatem dziwić, że podczas odkrywania nowych ziem ponosiła go ambicja.

Przybył na Hiszpanię z własnej woli, nie służył w żadnym wojsku, nie należał do żadnego zakonu. Przywiodło go tu obok rojeń o sławie i żądzy poznania świata pragnienie wolności. Pieszczoty, którymi matka obsypywała go bez ustanku, tłamsiły go, czyniły zeń chłopaczka słabego i chorowitego. Umysł żądny przygód czuł się w kręgu rodziny jak w więzieniu. Z drugiej strony wygórowane oczekiwania, nadzieje, jakie pokładali w nim rodzice, krępowały go, ciążyły niczym żelazna kula, dręczyły. Nigdy nie powiedzieli tego otwarcie, lecz w głębi serca czuł, że rodziców gnębi jego niska postura. Brakowało mu wzrostu, by dostać się do zakonu rycerskiego lub do armii. Pozostawały trzy opcje: zostać paziem na dworze królewskim, przywdziać sukienkę duchowną lub podjąć studia, które dadzą dobry zawód.

Jego ojcu nigdy nie udało się umieścić syna na dworze, więc pierwsza możliwość odpadła. Rodzice zadbali, by został ministrantem, lecz na tym się skończyło, być może dlatego, że jego charakter nie pozwalał mu na służenie Bogu w takiej formie. Zapisał się na uniwersytet w Salamance, gdzie nauczył się łaciny i studiował przez jakiś czas prawo, lecz wkrótce uznał, że podniesie kotwicę i wyruszy do Nowego Świata w poszukiwaniu innych możliwości. Chciał pokazać matce, że nie jest takim karzełkiem, jak jej się wydaje, i że nie musi kończyć studiów, żeby zdobyć pieniądze i władzę. Pragnął być bogaty, hidalgowie byli bogaci, a bogacze robili to, co chcieli.

Tu, na Hiszpanii, jego przyszłość zależała od niego i tylko od niego. Prawie natychmiast nawiązał stosunki z hiszpańskimi władzami wyspy, zwłaszcza z gubernatorem Nicolasem de Ovando i jego poplecznikami. Toczył z nimi długie rozmowy, poznał styl życia panujący w Nowym Świecie. Szybko zaproponował rozwiązanie problemów natury administracyjnej, nakreślił różnorodne projekty i przekonał władze, że jest właściwą osobą, by wprowadzić je w życie.

Wkrótce zyskał sobie zaufanie i szacunek przełożonych, gdyż nie tylko wygrał wiele bitew z aborygenami i przyczynił się do stłumienia buntów, lecz także wytyczył nowe szlaki i drogi, pozwalające na szybsze i bezpieczniejsze przemierzenie wyspy. W dowód uznania otrzymał encomiendę o znacznej wartości na terenach, gdzie uprawiano trzcinę cukrową. Cortésowi to jednak nie wystarczało. Jego ambitny umysł pragnął więcej. Potrzebował złota. Tyle złota, ile tylko znalazłoby się w jego zasięgu. Chciał olśnić wszystkich.

Pewnego ranka, odpędziwszy obawy przed utratą aparycji, postanowił zzuć buty z cholewami – które dodawały mu nieco wzrostu – i zrzucić ubranie, by poczuć swoje ciało takim, jakie stworzyła je natura. Od dawna już pragnął uwolnić stopy, ściśnięte i porządnie zagrzybione. Grzybicy nabawił się na pokładzie statku, którym przyплыł z Hiszpanii, i od tej pory nie udało mu się jej pozbyć.

Przyjemność stąpania boso po piasku ożywiła jego umysł. Spokój tego ranka był tak wszechogarniający, że podziękował Bogu za życie, które od niego otrzymał, i za sposobność bycia tu w historycznym momencie. Poszedł ku morzu i pozwolił, by woda obmyła mu stopy. Odczuł natychmiastową ulgę i zrozumiał, że morze oczyści jego rany tak, jak czyniło to z ubraniami marynarzy pośrodku oceanu. Podczas długich rejsów jedyna możliwość uprania odzieży polegała na przywiązaniu jej mocno do sieci, którą następnie rzucano za burtę. Gdy statek posuwał się do przodu, morze wnikało we włókna tkaniny, usuwało brud i oddawało płótno nieskazitelnie czyste. Cortés pozostał tak przez długą chwilę, pozwalając, by fale

opatrzyły jego rany.

Wpatrzony w horyzont przypomniał sobie długie dni rejsu, podczas których oparty o reling obserwował niebo i gwiazdy, aż jego umysł otworzył się i zrozumiał, po raz pierwszy i z całą jasnością, że Ziemia jest okrągła, a wszechświat – nieskończony.

Wszedłszy z morza, położył się na trawie, wystawiając stopy na dobroczynne i oczyszczające działanie promieni słonecznych. Zakrył ręką oczy, by osłonić je przed południowym słońcem, i się rozluźnił. Daleki szum fal ukołysał go i na moment zmorzył go sen. Moment ten wystarczył jadowitemu skorpionowi, który wbił w jego ciało kolec i wstrzyknął cały zapas jadu.

Przez trzy dni Cortés mიაոաł się między życiem a śmiercią.

Były to dni wypełnione ulewą i modłami. Silna burza rozszalała się nad wyspą, padało bez ustanku dniem i nocą. Cortés nie słyszał grzmotów. Kompani, którzy roztoczyli nad nim opiekę, słuchali z podziwem i lękiem słów wypowiedzianych w majakach. Przemawiał po łacinie i w obcych językach. Przemawiał gromkim głosem i najcichszym szeptem. Powiedział im, że widzi ogromne słońce, które rośnie i rośnie. Słońce, które podczas wybuchu będzie bryzgać krwią; że ludzie będą latać w powietrzu i że nie będzie lądu, na którym mogliby przystanąć dla odpoczynku; że poleją się łzy i że nieznośny odór śmierci ogarnie jego ciało; wymienił imiona mauretańskich królów, wyrecytował historyczne klęski Hiszpanii, zapłakał nad ukrzyżowaniem Chrystusa, oddał się pod opiekę Najświętszej Paniencie z Guadalupe, wyrzucił z siebie stek przekleństw i oświadczył, że niegdyś był wężem, wielkim wężem, który go ukąsił, wężem, który unosi się w powietrzu, który lata przed jego oczami, i tak bredził, aż wreszcie zapadł w głęboki sen. Niektórzy kompani uznali, że umarł, a leżał tak nieruchomo, że postanowili pochować go następnego ranka, lecz gdy przybyli na cmentarz, by zrobić mu chrześcijański pogrzeb, odkryli, że Cortés otworzył oczy i w cudowny sposób zdrowieje. Zauważyli w nim głęboką przemianę i zdali sobie sprawę, że emanuje z niego nowa siła, nowa moc. Wszyscy powinszowali mu i powiedzieli, że narodził się na nowo.



Rozdział drugi



Malinalli wstała wcześniej niż zwykle. Nie mogła zasnąć przez całą noc. Bała się. W dniu, który dopiero się rozpoczynał, po raz trzeci w życiu miała przeżyć całkowitą odmianę losu. Gdy wszędzie słońce, znów zostanie podarowana. Nie pojmowała, co tak złego może być w jej osobie, że traktują ją jako zawadzający przedmiot, że tak łatwo pozbywają się jej. Dokładała wszelkich starań, żeby być najlepszą, żeby nie przysparzać problemów, żeby ciężko pracować, a mimo to z jakiegoś tajemniczego powodu nie pozwalali jej zapuścić korzeni. Mielła kukurydzę niemal po ciemku. Przyświecało jej jedynie światło księżyca.

Od poprzedniego dnia, od chwili gdy odfrunął śpiew ptaków, czuła, że ściska się jej serce. W całkowitej ciszy patrzyła, jak odlatujące ptaki unoszą ze sobą w przestworza okruchy pogody, kilka pasemek światła i skrawek

Malinalli uroniła kilka łez. Nagle przyszła jej na myśl Cihuacoatl, kobieta-wąż, bogini zwana także Quilaztli, matka rodzaju ludzkiego, która nocami przemierzała kanały wielkiego Tenochtitlanu, oplakując utracone dzieci. Mówiono, że ludzie, którzy ją usłyszeli, nie mogli już nigdy zasnąć. Że jej laments nabrzmiały bólem i niepokojem o przyszłość potomstwa były przytłaczające. Krzyczała o niebezpieczeństwie i zniszczeniu, jakie im grozi. Malinalli, podobnie jak Cihuacoatl, płakała z niemocy otoczenia opieką swych zasiewów. W jej oczach każdy kaczan kukurydzy był hymnem do życia, do płodności, do bogów. Jaki los czeka milpę pozbawioną jej troski? Nigdy się nie dowie. Ponownie wchodzi na drogę, którą już raz przebyła: drogę pożegnania z ziemią, którą pokochała.

Znów zabiorą ją do jakiegoś nieznanego miejsca. Znów będzie nowo przybyłą. Tą z zewnątrz, tą, która nie należy do grupy. Z doświadczenia wiedziała, że musi natychmiast zaskarbić sobie sympatię nowych panów, by uniknąć odrzucenia, a w najgorszym razie kary. Później przyjdzie etap, gdy będzie musiała wyostrzyć zmysły, by dojrzeć i usłyszeć, ile tylko się da, by w jak najkrótszym czasie opanować nowe zwyczaje i nowe słowa, jakich grupa, z którą zamierzała się zintegrować, używa z największą częstotliwością. Dopiero wówczas będzie mogła zostać oceniona na podstawie swych zalet i zasług.

Za każdym razem gdy próbowała zamknąć oczy i odpocząć, budził ją skurcz żołądka. Wpatrując się w ciemność, przypominała sobie babkę, a wówczas przesunęły się przed nią obrazy zarazem kochane i bolesne. Śmierć babki przyniosła pierwszą odmianę jej losu.

Najcieplejsze i najtroskliwsze uczucie, z jakim zetknęła się Malinalli we wczesnym dzieciństwie, pochodziło od babki, która przez długie lata oczekiwała jej narodzin. Mówiono, że

w tym okresie wielokrotnie stawała o krok od śmierci, lecz szybko odzyskiwała siły, mówiąc, że nie może odejść, nie zobaczywszy, kto odziedziczy po niej odwagę i mądrość. Gdyby nie ona, dzieciństwo Malinalli upłynęłoby bez chwili radości. Dzięki babce posiadała wystarczające elementy, by zaadaptować się do drastycznych zmian, jakim musiała stawić czoła, a jednak... czuła teraz strach.



By go opanować, odszukała na niebie Gwiazdę Poranną. Swego ukochanego Quetzalcoatl, zawsze obecnego przy niej. Swego wielkiego opiekuna. Od czasu gdy została darowana po raz pierwszy, jako mała dziewczynka, nauczyła się pokonywać strach przed nieznanym, opierając się na tym, co znane, na jasnej gwieździe widzianej z okna izby, „tańczącej” po niebie z jednego krańca na drugi, w zależności od pór roku. Niekiedy wznosiła się nad drzewem na patiu, niekiedy lśniła ponad górami, niekiedy u ich boku, zawsze migocząca, wesola, żywa. Gwiazda ta była jedyną, która nigdy jej nie opuściła. Wdziąka jej narodziny i z pewnością ujrzy jej śmierć, z góry, ze swego stanowiska na firmamencie.

Malinalli wiązała z Gwiazdą Poranną pojęcie wieczności. Słyszała, jak starsi mawiają, że duch istot ludzkich, rzeczy żywych i bogów jest nieśmiertelny, że można przechodzić z tego czasu do miejsca poza czasem, nie umierając, zmieniając po prostu formę. Idea ta napełniała ją nadzieją. Oznaczała, że w otaczającym ją, nieskończonym kosmosie jej ojciec i babka są tak obecni jak dowolna gwiazda, że jest możliwy ich powrót. Tak jak jest możliwy powrót Quetzalcoatl. Z tą różnicą, że powrót jej ojca i babki uradowałby tylko ją, natomiast powrót Quetzalcoatl całkowicie zmieniłby los ludów ujarzmionych przez Mexików.

Malinalli całkowicie nie zgadzała się ze sposobem, w jaki rządzą, protestowała przeciwko systemowi ustalającemu wartość kobiety, wolę bogów oraz ilość krwi, której ci ostatni domagali się, by trwać. Była przekonana o nieodzowności reformy społecznej, politycznej i duchowej. Wiedziała, że największą chwałę przyniosła jej przodkom epoka rządów Quetzalcoatl, i dlatego właśnie tak mocno pragnęła jego powrotu.

Niezliczoną ilość razy roztrząsała w myślach podejrzenie, że gdyby Quetzalcoatl nie odszedł, jej lud nie popadłby w zależność od Mexików, jej ojciec nie umarłby, ona nie trafiłaby w obce ręce, a ofiary z ludzi nie istniałyby. Pogląd, że są niezbędne, wydawał się jej aberracją, niesprawiedliwą i niepotrzebną. Tak bardzo tęskniła za powrotem Quetzalcoatl – głównego przeciwnika ofiar z ludzi – że była wręcz gotowa uwierzyć, iż jej bóg opiekuńczy wybrał ciało obcych przybyszy, by dali kształt jego duchowi, by dali mu schronienie w swym wnętrzu.

Malinalli żywiła głębokie przekonanie, że ciało ludzi jest pojemnikiem dla bogów. Była to jedna z wielkich nauk, jakie przekazała jej babka podczas zabawy w lepienie z gliny.

Pierwszą formą, jaką nauczyła się lepić, było naczynie do picia wody. Malinalli miała

wówczas zaledwie cztery latka, lecz okazała wielką mądrość, pytając babkę:

– Kto wymyślił, żeby były dzbany na wodę?

– Wymyśliła to sama woda.

– A po co?

– Żeby móc odpoczywać w nich i w tym czasie opowiadać nam o sekretach wszechświata. Woda porozumiewa się z nami w każdej kałuży, w każdym jeziorze, w każdej rzece; przybiera różne postaci, potrafi wystąpić w pełnej gali i pokazać nam coraz to nowe oblicze. Litość boga zamieszkałego w wodzie wymyśliła naczynia, z których zaspokajają nasze pragnienie, a jednocześnie rozmawia z nami. Wszystkie naczynia, w których mieszka woda, przypominają nam o tym, że bóg jest wodą i że jest wieczny.

– Ach! – powiedziała zdumiona dziewczynka. – To woda jest bogiem?

– Tak. Bogiem jest też ogień i wiatr, i ziemia. Ziemia jest naszą matką, naszą żywicielką, gdy spoczywamy na niej, przypomina nam, skąd pochodzimy. W snach mówi nam, że nasze ciało jest ziemią, że nasze oczy są ziemią i że nasza myśl będzie ziemią na wietrze.

– A ogień co mówi?

– Wszystko i nic. Ogień wytwarza świetliste myśli, gdy pozwala, by serce i umysł stopiły się w jedno. Ogień przekształca, oczyszcza i oświetla wszystko to, co myślimy.

– A wiatr?

– Wiatr także jest wieczny. Nigdy się nie kończy. Kiedy wiatr wchodzi w nasze ciało, rodzimy się, a gdy wychodzi, to znaczy, że umieramy. Dlatego trzeba żyć w przyjaźni z wiatrem.

– A... ten, no...

– Już nawet nie wiesz, o co pytać. Lepiej zamilcz, nie marnuj śliny. Ślina to święta woda stworzona przez serce. Nie powinno się marnować jej na zbędne słowa, ponieważ wtedy trwonisz boską wodę. Posłuchaj, powiem ci coś, czego nigdy nie powinnaś zapomnieć: jeśli słowa nie służą do tego, by zwilżyć w innych wspomnienie, jeśli nie sprawiają, że rozkwita pamięć boga, są bezużyteczne.

Malinalli uśmiechnęła się na wspomnienie babki. Być może ona także podzieliłaby jej opinię, że cudzoziemcy przybywają z polecenia bogów.

Nie mogło być inaczej. Wieść niesiona po domach, wioskach i miasteczkach głośno, że owi biali brodaci ludzie dotarli tu popychani wiatrem. Wszyscy zaś wiedzieli, że Quetzalcoatl można dostrzec tylko wówczas, gdy powietrze jest w ruchu. Jakiego bardziej widomego znaku mogli oczekiwać jej pobratymcy, by uwierzyć, że obcy przybywają w jego imieniu? To nie wszystko; głowy niektórych brodaczy wieńczyła korona jasnych włosów, włosów barwy kaczana kukurydzy. Ileż razy oni sami podczas ceremonii na cześć kukurydzy barwili sobie włosy na żółto, by osiągnąć doskonale podobieństwo do niej? Jeśli wygląd włosów cudzoziemców tak bardzo przypominał wygląd włosów kaczana kukurydzy, znaczyło to, że są jej przedstawieniem, przedstawieniem daru, który Quetzalcoatl ofiarował ludziom jako pożywienie. Jasny puch pokrywający ich głowy należało zatem interpretować jako nader pomyślny znak.

Malinalli uważała kukurydżę za przejaw dobroci. Była najbardziej czystym produktem nadającym się do spożycia, była siłą ducha. Sądziła, że dopóki ludzie pozostaną przyjaciółmi kukurydzy, nigdy nie zabraknie stawy na ich stołach; dopóki nie przestaną wierzyć, że są dziećmi kukurydzy, które wiatr obłócił w ciało, zachowają świadomość faktu, że wszyscy są tym samym, gdyż żywią się tym samym.

Zdecydowanie ci obcy ludzie i oni, autochtoni, byli tacy sami.

Nie chciała rozważać innych możliwości. Jeśli istniało inne wyjaśnienie przybycia tych ludzi z za morza, nie chciała go znać. Tylko w przypadku, gdyby ich celem było przywrócenie epoki chwały jej przodków, Malinalli mogła zostać ocalona. W przeciwnym razie nadal będzie

zwykłą niewolnicą zależną od panów i władców. Nie, kres tej okropnej sytuacji musiał być bliski. Chciała wierzyć w to i w nic innego.

Aby potwierdzić swą teorię, udała się do tlachique, wróżbity z ziaren kukurydzy. Mężczyzna ujął prawą ręką garść ziaren. Dmuchał na nie mocno przez wpółotwarte usta i rzucił na petate. Przyjrzał się uważnie układowi ziaren, po czym odpowiedział na trzy pytania, które zadała mu Malinche: „Jak długo będę żyła? Odzyskam kiedyś wolność? Ile będę miała dzieci?”.



– Malinalli, kukurydza mówi, że twojego czasu nie da się zmierzyć, że jego długość nie oznacza jego kresu, że nie będziesz mieć wieku, gdyż na każdym etapie życia odkryjesz nowe znaczenie i nazwiesz je, a to słowo stanie się drogą, którą zawrócisz czas. Twe słowa dadzą nazwy rzeczom niewidzianym, twój język uczyni kamień niewidzialnym, a kamień uczyni niewidzialnym bóstwo. Niebawem nie będziesz już miała domu, nie będziesz się zajmować tworzeniem tkanin i szykowaniem strawy; będziesz musiała wędrować i patrzeć, a patrząc, poznasz wszystkie twarze, wszystkie kolory skóry, wszystkie różnice, wszystkie języki, czym jesteśmy, jak przestaniemy być tym, czym jesteśmy, czym będziemy. Tak mówi kukurydza.

– Nic więcej? Nie mówi nic o mojej wolności?

– Przekazałem ci jej słowa. Nie widzę nic więcej.

Tej nocy Malinalli nie mogła zmrużyć oka. Nie wiedziała, jak zinterpretować słowa wróżbity. Dopiero o świcie udało się jej zasnąć, a we śnie ujrzała się jako wielka pani, kobieta wolna i świetlista, fruująca w powietrzu, podtrzymywana przez wiatr. Szczęśliwy obraz przerodził się nagle w koszmar i Malinalli patrzyła, jak księżyc u jej boku przebija ją świetlne noże, ranią go i podpalają. Księżyc przestał wówczas być księżycem i zmienił się w deszcz łez, które podlały suchą ziemię. Wyrosły z niej nieznanne kwiaty, a zdumiona Malinalli nadała im imiona; po przebudzeniu nie pamiętała jednak żadnego z nich.

Malinalli wyjęła mały płócienny woreczek, przywiązany do ciała pod ubraniem, zawierający ziarna kukurydzy użyte podczas wróżby. Były żywą pamiątką, którą zawsze nosiła przy sobie. Połączyła je bawełnianą nitką, by zabezpieczyć swój los. Przesuwała je po kolei między palcami każdego ranka podczas modlitwy, a dzień dzisiejszy nie mógł stanowić wyjątku. Żarliwie prosiła ukochaną babkę, by chroniła ją, by czuwała nad jej losem, a przede wszystkim, by uwolniła ją od strachu, by pozwoliła spojrzeć nowymi oczami na to, co miało nadejść. Zamknęła oczy i mocno ścisnęła ziarna kukurydzy, po czym wróciła do przerwanej zajęcia.

Po jej twarzy spływały krople potu, wywołane po części wysiłkiem miażdżenia kukurydzy na kamiennych żarnach metate, a także wilgotnością powietrza, wyraźnie wyczuwalną już od wczesnych godzin dnia. Wilgotność nie dokuczała jej ani trochę, wręcz przeciwnie, przypominała boga wody, stale obecnego w powietrzu. Lubiła czuć go, wachać, dotykać, lecz tego ranka wilgoć drażniła ją, gdyż sprawiała wrażenie nabrzmiałej strachem nie do zniesienia.

Grozą wciskającą się pod kamienie, pod ubrania, pod skórę.

Był to strach ulatniający się z pałacu Montezумы, rzucający cień na rozległe terytorium, od doliny Anahuac po ziemię, gdzie mieszkała Malinalli. Był to płynny strach, wsączający się w skórę, w kości, w serce. Strach wywołany serią niepomyślnych znaków, z których pierwsze miały miejsce już na wiele lat przed przybyciem Hiszpanów.

Wszystkie znaki zwiastowały upadek imperium.

Pierwszym z nich był słup ognia, który pojawił się nocą i z którego spadł na ziemię jak gdyby ogniisty deszcz.

Drugim zwiastunem był pożar, który zniszczył świątynię Huitzilopochtliego, boga wojny, pożar niemający żadnego wyjaśnienia: nikt nie wzniecił ognia i nikt nie był w stanie go ugasić.

Trzecim zwiastunem był piorun, który uderzył w słomiany dach Wielkiej Świątyni w Tenochtitlanie. Słoneczny cios wziął się znikąd, gdyż siąpił wówczas tylko lekki deszczyk.

Czwartym zwiastunem było pojawienie się na niebie płaszcza z iskier ułożonych po trzy w rzędzie, tuniki z długim ogonem zajmującym cały nieboskłon, która wyłoniła się z miejsca, gdzie zachodzi słońce, i zmierzała do miejsca, gdzie słońce wstaje. Ludzie na ten widok krzyczeli z przerażenia.

Jako piąty zwiastun zgotowała się woda w jednym z jezior wypełniających dolinę Anahuac. Wrzała z taką wściekłością i podniosła się tak wysoko, że zniszczyła wiele domów.

Szóstym zwiastunem było pojawienie się Cihuacoatl, kobiety płaczącej po nocach, zawodzącej: „Dzieciątka moje, dokąd mogę was zabrać? Musimy odejść stąd, odejść daleko!”.

Siódmym zwiastunem było pojawienie się ptaka nieznanego gatunku, którego rybacy schwyтали i przynieśli przed oblicze Montezумы. Ptak miał popielate upierzenie, był podobny do czapli, a na jego głowie znajdowało się zwierciadło. Gdy spojrzano się w głąb, było widać niebo i gwiazdy. Gdy Montezuma zajrzał tam po raz drugi, dostrzegł grupę osób walczących ze sobą, co uznał za wyjątkowo złowróżbny znak.

Ósmym i ostatnim zwiastunem było pojawienie się monstrów, ludzi o dwóch głowach albo zrośniętych czołem lub plecami, którzy znikali, gdy zobaczył ich Montezuma.

Zaniepokojony Montezuma kazał wezwać czarowników, kazał wezwać mędrców, i oznajmił:

– Chcę, żebyście powiedzieli mi, czy nadejdzie choroba, zaraza, głód, szarańcza, trzęsienie ziemi, czy będzie padał deszcz, czy nie, powiedzcie. Chcę wiedzieć, czy wybuchnie wojna przeciwko nam albo czy umrą ludzie z powodu pojawienia się ptaka ze zwierciadłem na głowie. Niczego przede mną nie ukrywajcie. Chcę także wiedzieć, czy słyszeliście płaczącą Cihuacoatl, tak słynną w świecie, bo gdy coś ważnego ma się wydarzyć, ona interpretuje to jako pierwsza, przed wszystkimi, i to na długo, zanim się wydarzy.

W ciszy świtu Malinalli mogłaby przysiąc, że słyszała zawodzenie, płacz Cihuacoatl, i poczuła nieodpartą chęć oddania moczu. Odłożyła rozcieracz i wyszła na patio. Podniosła spódnicę i huipil, przykucnęła i napięła mięśnie, lecz oczekiwany płyn wzbraniał się opuścić jej ciało. Zdała sobie wówczas sprawę, że ucisk w brzuchu pochodzi ze strachu, a nie z potrzeby fizjologicznej. Zatęskniła za babką tak mocno jak nigdy przedtem i przypomniała sobie dzień, w którym została podarowana po raz pierwszy.

Miała wtedy tylko pięć latek.

Myśl o porzuceniu wszystkiego, co kochała, przytłaczała ją. Dygotała od stóp do głów. Powiedzieli jej, że może zabrać tylko to, co najniezbędniejsze, i nie wahała się ani przez moment. Do jutowego woreczka włożyła rzeczy odziedziczone po babce: jadesitowy naszyjnik i bransoletkę, naszyjnik turkusowy, kilka sukienek huipil wyhaftowanych dla niej przez babkę, kilka glinianych figurek, które wspólnie ulepiły, i kilka ziaren kukurydzy z milpy, które wspólnie

zebrały.

Matka odprowadziła ją na skraj osady. Malinalli z tobołkiem na plecach ścisnęła rękę matki tak mocno, jakby chciała stopić się z nią w jedno. Jakby była – ta krucha dziewczynka – samym Quetzalcoatlem dążącym do tego, by zespolić się z ziemią i rządzić światem.

Ale Malinalli nie była boginią i jej pragnienie okazało się płonne. Matka wyzwoliła się z uścisku drobnych paluszków, przekazała ją nowym właścicielom i odwróciła się. Widząc, jak odchodzi, Malinalli zsiusiała się i w tym momencie poczuła, że bogowie ją porzucają, że nie będą jej towarzyszyć, że woda ciekająca między jej nogami jest znakiem, że bóg wody opuszcza ją. Plakała przez całą drogę. Gorzkimi łzami zmoczyła ścieżki, którymi wędrowali, jakby znacząc trasę, którą całe lata później miała przemierzyć ponownie, tym razem w towarzystwie Cortésa.



Smutek tego feralnego dnia znacznie zelżał, gdy po przepłakanej nocy, patrząc w gwiazdy, odkryła pomiędzy nimi Gwiazdę Poranną. Serce załomotało w jej piersi. Pozdrowiła swą odwieczną przyjaciółkę i pobłogosławiła ją. W tym momencie pomimo młodego wieku – a być może dzięki niemu – Malinalli pojęła bardzo wyraźnie, że nie utraciła niczego. Że nie ma czego się bać, że bogowie są wszędzie, nie tylko w domu rodzinnym. W nowym miejscu też wiał wiatr od morza, były kwiaty, były pieśni, był księżyc i Gwiazda Poranna. Po chwili Malinalli ujrzała, że także słońce wschodzi w tej obcej krainie.

Z biegiem dni spostrzegła, że jej babka też nie odeszła na zawsze. Żyła w jej myślach, żyła w milpie, gdzie Malinalli zasiała ziarna kukurydzy przyniesione w węzélku. Podczas ostatnich żniw wspólnie wybrały te najlepsze, by zasiać je przed kolejną porą deszczową. Nie mogła uczynić tego z błogosławieństwem babki i na ukochanym poletku, lecz i tak udały się nad podziw. Nad milpą wyrosły ogromne kaczany nasączone esencją duchową babki, a po żniwach Malinalli wchodziła z nią w komunie za każdym razem, gdy podnosiła do ust tortillę.

Babka była jej najlepszą towarzyszką zabaw, najlepszą sojuszniczką, najlepszą przyjaciółką, mimo że w miarę upływu lat stawała się coraz bardziej ślepa. Co ciekawe, im mniej widziała, tym mniej potrzebowała oczu. Nie powiedziała nikomu, że traci wzrok. Poruszała się równie sprawnie jak zawsze i doskonale wiedziała, gdzie leżą wszystkie przedmioty. Nigdy się nie potykała i nikogo nie prosiła o pomoc. Wydawało się, że wyrysowała w swym umyśle wszystkie odległości, drogi i zakamarki swego otoczenia.

Gdy Malinalli skończyła trzy latka, babka podarowała jej gliniane figurki i zabawki, sukienkę, którą sama wyhaftowała, prawie na ślepo, naszyjnik z turkusów i małą bransoletkę z ziaren kukurydzy.

Malinalli poczuła się bardzo kochana. W towarzystwie babki wyszła na patio, żeby się pobawić prezentami. Po krótkiej chwili niebo zasnuła czarna chmura i gromki grzmot przerwał zabawę. Wielka błyskawica przykuła uwagę dziewczynki. Co znaczyło to srebro na niebie?

Czym był ten srebrzysty blask na szarym tle? Zanim babka zdążyła odpowiedzieć, zaczął padać grad. Bębnił tak mocno, że nie było słycać żadnego innego dźwięku, tylko głos gradu zagłuszający wszystko inne.



Malinalli i babka schroniły się wewnątrz domu. Gdy deszcz ustał, Malinalli poprosiła o pozwolenie na wyjście. Podniecona i szczęśliwa zanurzała ręce w lodowych kamykach, próbowała połączyć je w figury, układała lodowe kręgi, aż stopniały i została jej w dłoniach woda. Przez kilka godzin bawiła się wodą i błotem. Ubrudziła nową sukienkę, kolana, ręce. Lepiła z gliny laleczki, a z błota kulki, aż się zmęczyła. Gdy zaczęło zmierzchać, wróciła do domu i powiedziała babce pełna radości:

– Ze wszystkich zabawek, które mi podarowano, najbardziej podobają mi się zabawki z wody.

– Dlaczego? – zagadnęła babka.

– Bo zmieniają postać.

Na co babka odrzekła:

– Tak, córko, to są twoje najładniejsze zabawki, nie tylko dlatego, że zmieniają postać, lecz także dlatego, że zawsze do ciebie wrócą, bo woda jest wieczna.

Malinalli poczuła, że babka rozumie ją, i dała jej buziaka w policzek. Babka zorientowała się wówczas, że dziewczynka pachnie mokrą ziemią i jest zablocona od stóp do głów. Nie rozgniewało jej, że wnuczka pobrudziła nową sukienkę ani że tak prędko zniszczyła to, co jej ślepe oczy wytworzyły z takim wysiłkiem. Wręcz przeciwnie, opowiedziała jej o radości zabawy wodą, ziemią, wiatrem. O tym, że oddanie się tym żywiołom jest formą cieszenia się życiem.

Po deszczu światem zawładnął ponownie upał, który wkrótce stał się nie do zniesienia. Choć nastawa już noc, Malinalli poprosiła o pozwolenie, żeby pójść się pobawić. Ponieważ były jej urodziny, babka się zgodziła. Sama usiadła w progu, słuchając, jak wnuczka bawi się i śmieje. Po chwili zapadła cisza. Z patia nie dobiegał żaden dźwięk.

Staruszka zaniepokoiła się i ruszyła na poszukiwanie wnuczki, którą kochała nad życie, bardziej niż własny wzrok, bardziej niż gwiazdy. Potknęła się o drobne ciało i odkryła, że dziewczynka zasnęła, leżąc na błocie. Z ogromną czułością objęła ją, dźwignęła i przyniosła do domu. Ułożyła śpiące dziecko na swoich kolanach i wpatrzyła się w gwiazdy. Nie widziała ich oczami ciała, lecz oczami duszy; już dawno temu wyrysowała w sercu mapę konstelacji niebieskich.

Tego dnia w domu panowała cisza przerywana jedynie dzwoneczkiem śmiechu Malinalli. Tylko ona i babka świętowały jej urodziny, gdyż mama wyjechała kilka dni wcześniej w towarzystwie pewnego tłatoaniego, w którym była zakochana, obejrzeć ceremonię Nowego Ognia, odprawianą w tym regionie co pięćdziesiąt dwa lata. Faktycznie chodziło o wydarzenie

wielkiej wagi, lecz matka Malinalli została dłużej, niż to było konieczne.

Po północy dom rozbrzmiał śmiechem i wrzawą. Matka Malinalli i jej nowy pan wrócili weseli i ożywieni: rozgrzany ceremonią mężczyzna zaproponował jej małżeństwo, a ona zgodziła się z radością. Zaprosiła go do siebie i powiesiła wygodny hamak. Gdy sama układała się do snu, teściowa zapytała ją z wyrzutem:

– Dokładnie trzy lata temu urodziła się twoja córka, świętowała dziś trzecie urodziny. Dlaczego nie byłeś razem z nią? Dlaczego nie zadbałeś o to, żeby położyć na jej łonie czerwoną muszlę?

– Bo za dziesięć lat musiałabym wyprawić jej ceremonię „powtórnych narodzin”, a nie będzie mnie wtedy u jej boku.

– Jak to: nie będzie cię wtedy u jej boku?

– Nie będzie, bo zamierzam ją podarować.

– Nie możesz oderwać jej ode mnie. Jest częścią mego serca, jest częścią mojej miłości, żyje w niej obraz mojego syna, nie pamiętasz już o nim?

Głosem ostrym jak nóż matka dziewczynki odpowiedziała:

– Wszystko popada w zapomnienie w tym życiu, wszystko odchodzi, każde wydarzenie przestaje być obecne, traci wagę i znaczenie, wszystko odchodzi w niepamięć. Teraz mam nowego pana i będę mieć nowe dzieci. Malinalli zostanie oddana nowej rodzinie, która zajmie się jej wychowaniem, bo stanowi część Starego Ognia, o którym chcę już zapomnieć.

Babka zaprotestowała:

– Nie. Ja tu jestem po to, by podarować jej drogę, by ulżyć trudowi istnienia, by pokazać, że sen, w którym żyjemy, może być słodki, pełen pieśni i kwiatów.

Synowa odrzekła:

– Nie wszyscy śnimy to samo. Sen może być okrutny, sen może być bolesny tak jak mój. Zostanie oddana, bo w życiu wszystko odchodzi w niepamięć.

Babka nie poddawała się. Oświadczyła władczo:

– Widać wyraźnie, że nie przejmujesz się przyszłością swojej córki i nie troszczysz się o nią. Zapomniałaś rad ojca i matki. Myślisz może, że przybyłaś na tę ziemię po to, by krzyżeć, by spać i by budzić się ze śmiechem u boku nowego pana? Zapomniałaś, że to Bóg Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok, dał ci to dziecko, byś nauczyła je, jak ma postępować w życiu? Jeśli tak, pozwól, żebym ja zajęła się jej wychowaniem. Pozwól, żeby póki żyję, Malinalli pozostała przy mnie.

Matka Malinalli przystała na tę prośbę i począwszy od tego dnia, dziewczynka była wychowywana z miłością przez babkę.

Dzięki długim rozmowom, które prowadziły, już w drugim roku życia język dziewczynki był precyzyjny, bogaty i uporządkowany. Mając cztery latka, Malinalli była w stanie bez najmniejszego problemu wyrażać wątpliwości i skomplikowane pojęcia. Była to zasługa babki.

Od najmłodszych lat babka uczyła wnuczkę rysowania w myśli kodeksów, co miało ćwiczyć jej język i pamięć. „Pamięć – mawiała – to patrzenie z głębi siebie. To nadawanie formy i barwy słowom. Bez obrazów nie ma pamięci”. Prosiła dziewczynkę, by narysowała na papierze kodeks, czyli ciąg obrazów opowiadających o jakimś zdarzeniu, prawdziwym lub wyobrażonym. Malinalli rysowała całymi godzinami, a wieczorem, przed pójściem spać, babka prosiła ją, by opowiedziała jej swój kodeks. Była to ich ulubiona zabawa. Babka bardzo się cieszyła, odkrywając wyobraźnię i inteligencję, z jaką wnuczka interpretowała obrazy kodeksów.

Malinalli przez myśl by nie przeszło, że jej babka jest ślepa. Zachowywała się normalnie i bardzo ładnie odpowiadała na pytania. Dźwięk jej głosu pieścił uszy wnuczki i budził w niej ogromną radość, można by powiedzieć, że Malinalli była zakochana w głosie i w oczach babki.

Gdy staruszka opowiadała historie, Malinalli obserwowała jej oczy ze wzmożoną ciekawością, ponieważ dostrzegała w nich piękno, jakiego nie widziała nigdy u nikogo innego. Szczególnie podobało jej się to, że oczy babki zapalały się tylko wówczas, gdy mówiła. Kiedy milkła, z jej oczu uchodziło życie, gasły.

Dopiero przypadkiem odkryła, że babka nie widzi. Pewnego wieczoru, gdy staruszka odpoczywała koło domu, Malinalli podeszła do niej cichutko z małym ptaszkiem w dłoniach i powiedziała:

– Popatrz, babciu, jak on cierpi!

Babka zapytała:

– Kto cierpi?

– Nie widzisz? Jest zraniony! Bardzo chciałabym go wyleczyć...

– Nie, nie widzę. W co jest zraniony?

– W skrzydełko.



Babka wyciągnęła ręce, a Malinalli złożyła w nich ptaszka.

Ze zdumieniem patrzyła, jak babka dotyka go, próbując wyczuć, gdzie znajduje się rana.

– Citli, jak to się dzieje, że widzisz wszystko i nie widzisz niczego? Skoro twoje oczy nie widzą kolorów, nie widzą moich oczu, nie widzą mojej twarzy, nie widzą moich kodeksów, to co widzą?

Babka odrzekła:

– Widzę to, co znajduje się poza rzeczami. Nie widzę twojej buzi, ale wiem, że jesteś piękna; nie widzę twojego ciała, ale widzę twoją duszę. Nigdy nie widziałam twoich kodeksów, ale oglądam je poprzez twe słowa. Dostrzegam wszystko to, w co wierzę. Widzę, dlaczego tu jesteśmy i dokąd pójdziemy, gdy skończy się zabawa.

Malinalli rozplakała się cicho, a babka zapytała:

– Dlaczego płaczesz?

– Płacę, bo widzę, że nie potrzebujesz oczu, żeby widzieć i żeby być szczęśliwą. I płacę, bo cię kocham i nie chcę, żebyś odeszła.

Babka przytuliła ją czule do siebie i powiedziała:

– Nigdy od ciebie nie odejdę. Zawsze gdy zobaczysz ptaka w locie, to będę ja. W koronach drzew będę ja. W górach, w wulkanach, w milpie będę ja. A przede wszystkim zawsze gdy będzie padał deszcz, będę blisko ciebie. W deszczu zawsze będziemy razem. I nie martw się o mnie. Straciłam wzrok, bo drażniło mnie, że kształty mnie rozpraszają i nie pozwalają dostrzec istoty rzeczy. Oślepiłam, żeby powrócić do prawdy. To była moja decyzja i jestem szczęśliwa, widząc to, co widzę.

Wstał świt. Tego ranka światło było bardziej płynne niż zwykle, a chmury malowały na

niebie fantastyczne zwierzęta. Malinalli ze wspomnieniem babki w głowie wstała znad metate i zaczęła rozpalać ognisko, by rozgrzać comal, gliniany talerz, na którym będą się smażyć tortille.

Uczyliła to powoli i w ciszy pełnej szacunku. Oto po raz ostatni rozpala ogień w tym miejscu. Przyglądała się przez chwilę płomieniom, próbując odgadnąć ich znaczenie. Huehuetéotl, bóg Starego Ognia, ukazał jej najpiękniejsze kształty i kolory. Czerwone i żółte iskry skakały wśród zielonych i niebieskich, kreśląc przed oczami Malinalli gwiazdne mapy, które przeniosły ją do miejsca poza czasem. Przez moment poczuła, że wypełnia ją spokój. W tym stanie ducha zagniotła ciasto, uformowała kilka tortilli i położyła je na gorącym comalu. Pierwszą jadła powoli, by poczuć w głębi trzewi obecność babki i Quetzalcoatla. Drugiej pozwoliła się spalić, a zwęglone resztki zmieliła na metate na drobny popiół, który rzuciła w powietrze, by pozostawić ślad swej obecności w tym miejscu, by wiatr opowiadał za nią o jej przeszłości, o jej dzieciństwie, o jej babce.

Odprawiwszy ów intymny, osobisty rytuał, Malinalli zaczęła pakować dobytek. Do jutowego woreczka włożyła naszyjniki odziedziczone po babce, kilka ziaren kukurydzy z własnej milpy i kilka ziaren kakao, niezwykle cennej monety, którą mogła wykorzystać, gdyby zaszła konieczność. Chowając ziarna kakao, zapragnęła być równie drogocenna jak one; gdyby tak się stało, byłaby wysoko ceniona i nikt nie odważyłby się już darować jej ot tak, jednym słowem, innym ludziom.

Po spakowaniu rzeczy, które miała zabrać ze sobą, starannie się umyła, ubrała i uczesała. Przed wyjściem z chaty pobłogosławiła ziemię, która dawała jej pożywienie, wodę, powietrze i ogień, po czym poprosiła bogów, by pozostali z nią, by nią kierowali, by obdarzyli ją światłem, dzięki któremu pozna ich decyzję, oraz wolą, by mogła ją wypełnić. Poprosiła ich o błogosławieństwo, by wszystko, co ma odtąd uczynić bądź powiedzieć, było z pożytkiem dla niej samej, dla jej ludu i dla harmonii wszechświata. Poprosiła słońce, by nadało jej głosowi moc, żeby została wysłuchana przez wszystkich, i deszcz, by pomógł jej zapłodnić wszystko, co posieje.

Przykryła ziemię popioły tego, co było dla niej starym ogniem, i wyruszyła w drogę. Miała piętnaście lat, niosła w sercu babkę i Quetzalcoatla.

Tamtego dnia Cortés wstał o świcie.

Nie mógł spać. Przez całą noc, w tych krótkich chwilach, gdy udało mu się przysnąć, dręczyły go koszmary. Najstraszniejszy wywodził się ze snu, który przyśnił mu się całe lata temu i w którym ujrzał siebie w otoczeniu nieznanymi ludźmi traktujących go z atencją i najwyższymi honorami, niby króla. Sen ów nappełnił go wtedy radością i przeświadczeniem, że zostanie kimś ważnym, teraz jednak przerodził się w koszmar, a honory w kpiny, szeptki za plecami, intrygi, noże obdarzone oczami, wbijające się mu w plecy... śmierć. Najgorsze zaś było to, że gdy Cortés otwierał oczy, sen trwał nadal, strach nie ustępował, przyczajony w ciemności.

Nie lubił ciemności, przytłaczała mu duszę. Podczas długich rejsów zawsze szukał na niebie Gwiazdy Polarnej, towarzyszkę żeglarzy, bez której czuł się zagubiony. Gdy niebo zasnuwały chmury i nie widział gwiazd, żeglowanie po czarnym morzu napawało go trwogą.

Niezrozumienie języka tubylców było jak żeglowanie po czarnym morzu. Majański był dla niego równie tajemniczy jak ciemna strona księżycy. Niezrozumiałe głosy sprawiały, że czuł się niepewny i podatny na ciosy. Z drugiej strony nie ufał swemu tłumaczowi. Nie wiedział, w jakim stopniu brat Jerónimo de Aguilar dochowuje wierności jego słowom i czy przypadkiem ich nie przekłamuje.

Brat Jerónimo praktycznie spadł mu z nieba. Ocalały z katastrofy morskiej wiele lat temu,

został schwytany przez Majów. W niewoli poznał ich język oraz zwyczaje. Wieść o istnieniu rozbitka Cortés uznał za uśmiech losu, szybko go odnalazł i wykupił. Aguilar natychmiast dostarczył mu wielu arcyważnych informacji na temat Majów, a co ważniejsze, na temat imperium Meksyków, rozległego i potężnego. Okazał się bardzo przydatny jako tłumacz między Cortésem a mieszkańcami Półwyspu Jukatańskiego, lecz nie wykazywał ani krzty talentu do negocjacji i perswazji; w przeciwnym razie pierwsze bitwy między Hiszpanami a Majami nie byłyby konieczne. Cortés wolał posługiwać się dialogiem niż bronią. Walczył tylko wtedy, gdy poniósł klęskę na polu dyplomatycznym. W kontaktach z tubylcami tak właśnie się stało.

Cortés wygrał pierwszą bitwę, pokonując Indian pod Cintlą. Rzecz jasna, najważniejszą rolę w jego pierwszej wiktorii na obcej ziemi odegrała obecność koni i artyleria. Jednakże zamiast cieszyć się z tego zwycięstwa i świętować je, poczuł, że ogarnia go bezsilność.

Od małego wykształcił w sobie pewność wynikającą z łatwości artykułowania słów, splatania ich, wypowiedziania w najlepszych momentach, stosowania w sposób najbardziej właściwy i przekonujący. Przez cały okres dorastania utwierdzał się w przekonaniu, że nie ma lepszej broni nad dobrą przemowę. Teraz jednak czuł się wystawiony na ciosy, niepotrzebny, pozbawiony oręża. Jak miał czynić użytek ze swej najlepszej i najskuteczniejszej broni wobec tych Indian, którzy mówili obcymi językami?

Oddałby połowę życia za znajomość języków tej ziemi. Na Hispanioli i na Kubie awansował i zdobywał wysokie stanowiska dzięki łatwości wygłaszania mów okraszonych latynizmami i świadczących o jego szerokiej wiedzy.

Wiedział, że tutaj nie wystarczą mu konie, artyleria i arkebuz. Tutejsi Indianie byli cywilizowani, w odróżnieniu od tych z Hispanioli i z Kuby. Armaty i kawaleria sprawdzały się w starciu z barbarzyńcami, natomiast pośród społeczeństw cywilizowanych idealnie byłoby zawiązywać sojusze, prowadzić rokowania, obiecywać, przekonywać, a to można było osiągnąć jedynie poprzez dialog. Możliwość tej był jednak Cortés pozbawiony od samego początku.

W tym Nowym Świecie, niedawno odkrytym, upatrywał dla siebie życiowej szansy, teraz jednak czuł, że ma skrępowane ręce. Nie mógł negocjować. Wiedział, że musi jak najszybciej opanować język tubylców. Że w inny sposób – na przykład na migi – nie będzie w stanie osiągnąć celu. Bez znajomości języka broń nie zda mu się na wiele. Będzie równie mało użyteczna jak arkebus, którego chciałby użyć jako pałki, a nie jako broni palnej.

Jego chyża myśl umiała stworzyć w ułamku sekundy nowe cele i nowe prawdy, które służyły jego zamiarom. Jednakże owe pojęcia i cele zasadały się na solidności jego mowy.

Był również przekonany, że fortuna sprzyja śmiałym, lecz w tym konkretnym przypadku śmiałość – której miał aż zanadto – nie była szczególnie użyteczna. Jego przedsięwzięcie od początku wznoszone było ze słów. Słowa stanowiły cegły, a odwaga – zaprawę.

Bez słów, bez języka, bez mowy nie będzie przedsięwzięcia, a bez przedsięwzięcia nie będzie konkwisty.



Ta sama noc wypełniła koszmarami umysł Montezумы.

Władcy przyśniły się dzieci wędrujące boso po śniegu okrywającym szczyty wulkanów Popocatepetl i Iztaccíhuatl. Szły radośnie, choć wiedziały, że zostaną złożone w ofierze jako pożywienie dla Huitzilopochtliego. Montezuma zobaczył, jak dzieci toną w głębokim stawie, a ich ciała unoszą się na powierzchni. Następnie ujrzał boga wody stąpającego po ciałach, podczas gdy z nieba leciały ogromne krople wody, takie same, jakie wypełniły oczy władcy, gdy się obudził. Już na jawie wyobraził sobie, że czaszki dzieci staną się naczyniami, z których wszyscy popijają wodę.

Wyobraźnia podsuwała mu obrazy budzące zarazem przerażenie i przyjemność. Być może właśnie to połączenie napełniło go największą grozą. Nagły podmuch wiatru otworzył drzwi do komnaty i rzucił snop światła na twarz Montezумы. Światło i wiatr były strawą dla jego oczu tego poranka.

Wichura targała tkaninami, przesuwiała, rozrzucała, strącała na podłogę przedmioty w królewskiej sypialni. Władcę ogarnęła trwoga, a przez jego umysł przemknął szereg wizji przykładowych kar: kolce agawy przekłuwające język, kolce agawy przekłuwające penis; ociekające krwią kolce przypominające o winie, o wielkiej winie, której brzemień dźwigał Montezuma na swych barkach: oto jego lud, Aztekowie, zdradził i wypaczył zasady dawnej religii Tolteków.

Aztekowie byli ludem koczowników do czasu osiedlenia się w Tuli. Mitycznym założycielem Tuli był Quetzalcoatl, Wąż Upierzony, i Montezuma był przekonany, że przybycie Hiszpanów oznacza powrót Quetzalcoatla, który zażąda od niego zdania rachunku ze sprawowanych rządów. Trwoga przed boską karą sparaliżowała dowódcę wojsk o najwyższej zdolności bojowej w tej części Ameryki. Gdyby nie to, starłby obcych na proch w ciągu jednego dnia.



Rozdział trzeci



Malinalli została ochrzczona w pełni wiosny.

Była cała ubrana na biało. W jej sukni nie było innych kolorów, był za to wypukły haft. Malinalli zdawała sobie sprawę ze znaczenia hafciarstwa, tkactwa i sztuki układania piór i wybrała na tę szczególną okazję odświętny huipil pełen różnych symboli, który sama uszyła i wyhaftowała.

Huipile przemawiały. Opowiadały o kobietach, które je stworzyły. Mówiły o czasie, w którym żyła właścicielka, o jej pochodzeniu społecznym, stanie cywilnym, więzi z kosmosem. Wkładanie huipilu miało znaczenie inicjacyjne; czyniąc to, kobieta powtarzała codzienną podróż ze swego wnętrza do świata zewnętrznego. Wkładając głowę w otwór sukienki, przechodziła ze świata snów przedstawionego na hafcie ku życiu, które pojawia się, gdy wystawimy głowę poza otwór. Owo przebudzenie do rzeczywistości jest rytualną czynnością poranną, przypominającą co dnia znaczenie narodzin. Huipile utrzymują kobietę w pozycji z głową pośrodku i ciałem okrytym z przodu, z tyłu i po bokach. Krzyż tworzony przez wykrójuhuipila oznacza, że jest zasadzona w centrum wszechświata. Oświetlona słońcem, osłonięta czterema wiatrami, czterema stronami świata, czterema żywiołami. Tak czuła się Malinalli w swym pięknym białym huipilu, gotowa na przyjęcie chrztu.

Ceremonia chrztu była dla niej bardzo ważna i Malinalli czuła głębokie wzruszenie na myśl, że jest równie ważna dla Hiszpanów. Praktykowali ją także jej przodkowie, choć na swój sposób. Babka odprawiła stosowny rytuał po jej urodzeniu, a w trzynaste urodziny należało go powtórzyć, lecz nikt tego nie uczynił. Malinalli bardzo cierpiała z tego powodu.

Liczba trzynaście kryje w sobie wiele znaczeń. Trzynaście miesięcy liczy rok słoneczny. Trzynaście menstruacji. Trzynaście sekcji świętego kalendarza Majów i Meksyków. Każda z nich składa się z dwudziestu dni, co razem daje dwieście sześćdziesiąt dni. Dzień, w którym początek kalendarza słonecznego złożonego z trzystu sześćdziesięciu pięciu dni zbiega się z początkiem kalendarza świętego, zdarza się raz na pięćdziesiąt dwa lata. Po upływie tego cyklu rachubę rozpoczyna się od nowa.

Po dodaniu pięciu do dwóch z liczby pięćdziesiąt dwa otrzymuje się liczbę siedem, która także jest magiczna, jako że siedem dni ma każda z czterech faz księżyca. Malinalli wiedziała, że podczas pierwszych siedmiu dni, gdy księżyc znajdował się między ziemią a słońcem i był ciemny, ponieważ dopiero szykował się do wzejścia, należało zachowywać milczenie, żeby to wszystko, co zamierza się narodzić, narodziło się swobodnie, bez interferencji obcych

elementów. Był to najlepszy moment do tego, by „poczuć”, jaki powinien być główny cel czynności, którą człowiek zamierzał wykonać podczas kolejnej fazy. Był to okres narodzin celu. Przez następne siedem dni, gdy księżyc wschodził w południe i zachodził o północy, pokazując jedynie pół oblicza, powinno się zmierzać do obranego celu. Przez siedem dni, kiedy księżyc znajdował się po stronie ziemi i w pełni odbijał światło słońca na swojej powierzchni, należało celebrować osiągnięcia, a ostatnie siedem dni, kiedy księżyc ukazywał drugą połowę twarzy, stanowiło dobry okres, by podsumować to, co człowiek uzyskał w ciągu dwudziestu ośmiu dni.

Prognozy związane z czasem towarzyszą każdemu człowiekowi od chwili narodzin. Malinalli urodziła się w znaku dwunastym. Data urodzenia decydowała o losach człowieka i dlatego Malinalli nosiła jako imię nazwę znaku, w którym się urodziła. Znak dwunasty to „zmartwychwstanie”.

Glif odpowiadający dniu dwunastemu przedstawia czaszkę widzianą z boku, czyli to wszystko, co umiera albo ulega przekształceniu. Na czubku czaszki zamiast włosów wyrasta malinalli, perz, zwany niekiedy „trawą węglarza”. Glif odnosi się do śmierci obejmującej zmarłego syna i przynoszącej mu spoczynek. Przedstawia jedność, matkę wydzierającą śmierci ciało owinięte w tilmę i zawiązane malinalli, świętym perzem. Zabiera ciało, by je przywrócić jedności i wydać na świat pod nową postacią. Malinalli to także symbol ludu oraz czarodziejskiego miasta Malinalco, założonego przez boginię księżycy – ziemską Malínal – Xóchitl, czyli Kwiat Malinalli.

Co ciekawe, to właśnie z perzu była utkana tilma, którą miał na sobie Juan Diego w dniu, gdy objawiła mu się Matka Boska z Guadalupe oparta stopami o księżyc, dwunastego dnia dwunastego miesiąca 1531 roku, w dwanaście lat po przybyciu Hernána Cortésa do Meksyku.

Malinalli była tak dumna ze wszystkich treści zawartych w jej imieniu, że spróbowała przedstawić je na huipilu, który zaczęła haftować wiele miesięcy temu.

Poczuła potrzebę wykonania go podczas fazy milczenia i dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo słuszna była jej decyzja. Huipil doskonale nadawał się do włożenia go właśnie podczas upragnionej ceremonii chrztu. Był wykonany z jedwabnej nici, którą sama uprządkła, i utkany na krosnach z pasem. Inkrustowała go morskimi muszlami i cennymi piórami. Na piersi wyhaftowała symbol wiatru w ruchu otoczony upierzonymi węzami – zaszyfowaną wiadomość przeznaczoną dla emisariuszy boga Quetzalcoatla.



Była ubrana jak żarliwa wyznawczyni nowej wiary, lecz najwyraźniej nikt tego nie zauważał. Oczekiwała w napięciu gestu lub słowa oznaczającego, że została rozpoznana, lecz jej strój zachwyił chyba jedynie konia pijącego wodę z rzeki, który nie spuścił z niej oka przez cały czas trwania ceremonii. Malinalli zauważyła to i od tego momentu zawiązała się między nimi nić uczucia.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Malinalli podeszła do Aguilara, by zapytać o znaczenie nadanego jej imienia Marina. Zakonnik odrzekł, że Marina to osoba, która przybywa z morza.

– Tylko tyle? – zapytała Malinalli.

Zakonnik odparł po prostu:

– Tak.



W jej oczach zabłysło rozczarowanie. Miała nadzieję, że imię przypisane jej przez wysłanników Quetzalcoatla będzie miało jakiś ważny sens. Nie nadawali go wszakże zwykli śmiertelnicy pozbawieni wiedzy o głębokim znaczeniu wszechświata, lecz wtajemniczeni, a przynajmniej tak sądziła. Jej imię musiało oznaczać coś ważnego.

Nalegała, zadawała zakonnikowi dodatkowe pytania, lecz uzyskała jedynie informację, że wybrali to imię, ponieważ pomiędzy słowami „Malinalli” i „Marina” istniało pewne podobieństwo fonetyczne.

Nie. Nie przyjmowała tego wyjaśnienia. W tak ważnym dla siebie dniu postanowiła nie poddawać się rozczarowaniu i samodzielnie opanować nowe imię. Skoro jej indiańskie miano znaczy „wiązka trawy”, skoro trawa, podobnie jak wszystkie rośliny, wymaga do życia wody, a jej nowe imię jest związane z morzem, oznacza to, że ma zapewnione wieczne życie, ponieważ woda jest wieczna i wiecznie będzie nieść pożywienie jej, Malinalli, wiązce trawy. Tak, to właśnie musiało oznaczać jej imię!

Malinalli natychmiast chciała wymówić swoje nowe imię, „Marina”, lecz nie była w stanie. „R” zatrzymywało się na czubku języka i najlepszym, co osiągnęła po wielu próbach, było „Malina”. Poczła ogromną frustrację.

Jedną z rzeczy, które budziły w niej wielki podziw, był fakt, że z tego samego aparatu głosowego istoty ludzkie potrafiły wydobyć nieskończoną liczbę różnych dźwięków. Zawsze uważała się za dobrą naśladowczynię i nie rozumiała, dlaczego nie daje sobie rady z „r”.

Poprosiła zakonnika, by wymówił jej imię jeszcze kilka razy, i ani na sekundę nie oderwała wzroku od ust Aguilara, który cierpliwie powtarzał „Marina”. Pojęła, że aby wymówić „r”, powinna na moment umieścić język za zębami, lecz gdy opierała go, jak zwykle, na podniebieniu, nie poruszał się dostatecznie szybko, a rezultat był opłakany.

Było oczywiste, że potrzebuje długiej praktyki, lecz nie zamierzała się poddawać. Od dziecka wprawiała się w odtwarzanie dźwięków. Mając roczek, lubiła gaworzyć, puszczać

banieczki śliny, naśladować wszystko, co usłyszała. Z uwagą wsłuchiwała się w śpiew ptaków, w szczekanie psów. Otulona nocną ciszą łowiła uchem hałasy dobiegające z oddali, starała się zidentyfikować zwierzę wydające ten lub inny odgłos, a następnie naśladowała go. Aż do spotkania z Hiszpanami jej metody okazywały się skuteczne, lecz nowy język wniósł w jej życie kolejne i trudne wyzwania.

Uznała, że przezwycięży frustrację i spróbuje wymówić inne słowa. Postanowiła wypytać zakonnika o jego boga. Chciała dowiedzieć się o nim wszystkiego. Poznać jego imię, atrybuty, sposoby zbliżenia się do niego, zwracania się, oddawania czci, wychwalania.

W kazaniu poprzedzającym chrzest – które sam Aguilar przetłumaczył dla wszystkich Indian – zachwyciła ją prośba, by przestali dawać się zwodzić fałszywym bogom wymagającym ofiar ludzkich, albowiem prawdziwy bóg przyniesiony przez Hiszpanów jest dobry i kochający i nigdy nie będzie od nich wymagał niczego takiego. W oczach Malinalli ten miłosierny bóg nie mógł być nikim innym jak tylko Quetzalcoatlem, który w nowym stroju powracał na te ziemie, by przywrócić królestwo harmonii ze wszechświatem. Pragnęła jak najszybciej powitać go i porozmawiać z nim.

Poprosiła zakonnika, by nauczył ją wymawiać imię swego boga. Aguilar spełnił jej prośbę, a Malinalli odkryła ze wzruszeniem, że słowo to, niezawierające ani jednego „r”, nie sprawia jej najmniejszego problemu. Klasnęła w ręce jak mała dziewczynka. Była zachwycona.

Kochała poczucie przynależności ogarniające ją, gdy udało się jej wymówić nazwę, którą dana grupa społeczna nadawała jakiejś rzeczy. Przekształcało ją to natychmiast we współniczkę, w przyjaciółkę, w członka rodziny. Ogarniała ją wówczas radość, gdyż nic nie sprawiało jej większej przykrości niż wyobcowanie. Nie zwlekając, zapytała zakonnika o imię małżonki Boga. Aguilar odrzekł, że Bóg nie ma żony.

– To matka Chrystusa, Jezusa Chrystusa, który przybył, aby nas zbawić.

Matka! Matka wszystkich! To musiała być Pani Tonantzin.

Nie na darmo podczas mszy poprzedzającej kazanie Malinalli poczuła, że ogarnia ją uczucie, którego nie potrafiła wyjaśnić. Było to coś w rodzaju tęsknoty za matczynymi objęciami, pragnienie poczucia się otuloną, utuloną, podtrzymaną, ochronioną przez matkę – co pewnie kiedyś miało miejsce, przez babkę – co doskonale pamiętała, przez Tonantzin – na co czekała z nadzieją – i przez matkę powszechną, taką jak ta biała pani obejmująca syna. Matkę, która by jej nie oddała, która by jej nie opuściła, która nie pozwoliłaby jej upaść na ziemię, lecz podniosła do nieba, ofiarowała czterem wiatrom, pozwoliła odzyskać czystość.

Takie myśli przebiegały Malinalli przez głowę, podczas gdy hiszpański kapłan odprawiał mszę i przemawiał w języku, którego nie znała, lecz który sobie wyobrażała.

Cortés, podobnie jak Malinalli, też myślał o swojej matce. O nieskończonej liczbie razy, gdy prowadziła go za rękę do kościoła, by prosić o zdrowie dla chorowitego dziecka. O stałej trosce o to, jak pomóc mu przezwyciężyć niski wzrost, słabość fizyczną, status jedynaka. Było jasne, że w obrębie społeczeństwa nastawionego na sztuki wojenne, przywykłego do bójek i walk takie dziecko jest skazane na porażkę; być może dlatego jego rodzice tak bardzo zabiegali o zapewnienie mu dobrego wykształcenia.

Podczas mszy Cortés wspominał moment pożegnania z matką przed wyruszeniem do Nowego Świata. Przypominał sobie jej smutek, łzy, obrazek Najświętszej Pani z Guadalupe, który podarowała synowi, by zawsze mu towarzyszył. Cortés był pewien, że to Matka Boska uratowała mu życie, gdy ukłuł go skorpion, i poposił ją wówczas, by nie opuszczała go, by

czuwała nad nim, by została jego sprzymierzeńcem, by pomogła mu odnieść triumf. Chciał udowodnić matce, że może być kimś więcej niż zwykłym paziem w służbie króla.

Był gotów na wszystko. Na niesubordynację, na walkę, na zabijanie. Nie wystarczyło mu stanowisko alkalda Santiago, na Kubie. Bez cienia wyrzutu zignorował zalecenia gubernatora Diega Velázquez, by nie podejmować zbytecznego ryzyka, traktować Indian łagodnie, zebrać informacje o sekretach tej ziemi i odszukać Grijalwę, dowódcę poprzedniej ekspedycji. Wyruszał na wyprawę odkrywczą, nie zdobywczą, miał eksplorować nowe ziemie, nie zasiedlać je. Velázquez oczekiwał, że zbada wybrzeże zatoki i wróci na Kubę z odrobiną złota uzyskaną w drodze pokojowej wymiany, lecz Cortés miał znacznie większe ambicje.

Gdyby matka mogła go zobaczyć! Gdyby mogła ujrzeć, jak podbija obce krainy, odkrywa nowe ziemie, nadaje imiona nowym rzeczom. Poczucie mocy odczuwane podczas nadawania nazwy rzeczy lub człowiekowi było porównywalne z uczuciem wydawania dziecka na świat. Rzeczy rodziły się w momencie, gdy je nazywał. Rozpoczynały nowe życie, za jego pośrednictwem. Niestety, niekiedy zawodziła go wyobraźnia. Cortés miał talent do strategii, do sojuszy, do konkwisty, lecz nie do wymyślania nowych nazw. Być może dlatego tak bardzo podziwiał dźwięczność i muzyczność języków takich jak majański i nahuatl. Niezdolny do wymyślenia nazw takich jak Quiahuiztlan, Otlaquiztlan, Tlapacoyocan, Iztacamaxtitlan czy Potonchan, czerpał z języka hiszpańskiego konwencjonalne nazwy dla każdego miejsca i każdej osoby, która znalazła się w jego władzy. Na przykład totonackie miasto Chalchicueyecan ochrzcił mianem Veracruz, ponieważ przybył w to miejsce 22 kwietnia 1519 roku,

To samo stało się z imionami, które wybrał dla Indianek otrzymanych w darze. Nadał im najpospolitsze imiona, nie wysilając się zbytnio. Nie przeszkodziło mu to słuchać mszy z niekłamany entuzjazmem. Wzruszała go żarliwość widoczna w oczach wszystkich obecnych Indian, chociaż pojęcie mszy jako takiej było dla nich całkowicie nowe. Nie wiedział tylko, że dla rdzennych mieszkańców tych ziem zmiana imienia lub postaci czczonych przez siebie bogów nie stanowi najmniejszego problemu. Każdy bóg miał dwa imiona lub więcej i przedstawiano go pod różnymi postaciami, zatem fakt, że na szczycie piramidy, gdzie czczono dawnych bogów, przybysze umieścili teraz hiszpańską dziewicę, nie czynił wyłomu w ich dotychczasowej wierze.

Cortés, który jako dziecko służył do mszy, nigdy wcześniej nie odczuł takiego natężenia wiary. Pomyślał wówczas, że gdyby ci Indianie, zamiast oddawać cześć bożkom, zwrócili swą wiarę z równym zapalem ku prawdziwemu Bogu, mogliby dokonać prawdziwych cudów. Refleksja ta doprowadziła go do wniosku, że być może na tym właśnie polega jego misja: ocalić przed ciemnościami wszystkich Indian, pokazać im prawdziwą religię, skończyć z idolatrią i ze straszną praktyką ofiar z ludzi; w tym celu powinien zdobyć władzę, a by ją osiągnąć, musi zmierzyć się z potężnym państwem Montezumy. Z całą wiarą, jaką potrafił z siebie wyrzesać, poprosił Najświętszą Panienkę, by pozwoliła mu odnieść zwycięstwo w tym starciu.

Był człowiekiem wiary. Wiara uwniosłała go, dodawała mu wzrostu, wynosiła poza czas. I właśnie w tym momencie, gdy z największą żarliwością modlił się o wsparcie, jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Malinalli i macierzyńska iskra połączyła ich tym samym pragnieniem. Malinalli poczuła, że ten mężczyzna może ją ochronić; Cortés, że ta kobieta może mu pomóc tak, jak potrafi to tylko matka: bezwarunkowo.

Żadne z nich nie wiedziało, jak i gdzie zrodziło się to uczucie, lecz wychwycili je i zaakceptowali. Być może sprawił to nastrój chwili, kadzidło, świece, śpiewy, modlitwy; tak czy owak, oboje przenieśli się w okres największej niewinności: w epokę dzieciństwa.

Malinalli poczuła, że jej serce rozpala ciepło wydzielane przez dziesiątki świec, które Hiszpanie ustawili w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się świątynia poświęcona indiańskim bogom. Nigdy przedtem nie widziała świecy. Wiele razy zapalała pochodnie czy kadzidła, lecz

świec – nie. Widok tyłu małych ogników, takiej ilości odbitego światła, takiego blasku pochodzącego z tak niewielkiego płomyka wydawał się jej całkowicie magiczny. Otworzyła się na słowa ognia przemawiającego do niej chórem tych miniaturowych głosików, a światło świec odbite w oczach Cortésa oczarowało ją.

Cortés odwrócił wzrok. Wiara uwznioślała go, lecz oczy Malinalli przywracały go do rzeczywistości, do cielesności, do pragnienia; nie chciał, żeby ich blask odciągnął jego uwagę od szczytnych planów. Słuchał mszy i rozpoczynał przedsięwzięcie, które musiał uszanować i kazać szanować innym; żaden z nich nie mógł wziąć sobie indiańskiej kobiety.

Jednakże jego pociąg do kobiet był niepokonany. Opanowanie instynktów wymagało od niego ogromnego wysiłku, zatem aby nie ulec pokusie, postanowił przeznaczyć tę Indiankę do posług Alonso Hernándezowi Portocarrero, szlachcicowi, który towarzyszył mu od wypłynięcia z Kuby i z którym chciał pozostawać w dobrych stosunkach. Taki dar był formą nagrody. Ponadto Malinalli wyróżniała się spośród pozostałych niewolnic: z jej ruchów i postawy emanowały pewność siebie, swoboda i władczość.

Dowiadując się o decyzji Cortésa, Malinalli poczuła ukłucie w sercu. To był znak, którego oczekiwała. Skoro Cortés, naczelny dowódca cudzoziemców, nakazywał jej służyć temu panu, który wyglądał na szanowanego tlatoani, zapewne dostrzegł w niej coś dobrego. Oczywiście byłaby szczęśliwa, służąc bezpośrednio Cortésowi, głównemu wodzowi, lecz nie skarżyła się. Wywarła dobre wrażenie, a z niewolniczego doświadczenia wiedziała, że to najważniejsze, by móc prowadzić jak najbardziej godne życie.

Portocarrero także ucieszył się z decyzji Cortésa. Ta młodziutka Malinalli była inteligentna i ładna. Chętna do bycia posłuszną i użyteczną. Poleciał jej najpierw rozpalic ogień i przygotować mu jedzenie. Malinalli natychmiast przystąpiła do pracy. Wyruszyła na poszukiwanie polan ocote, sosny nasączonej żywicą, idealnej na rozpałkę. Następnie ułożyła z nich krzyż Quetzalcoatl, nieodzowny element rytuału rozpalania ognia. Na koniec sięgnęła po suchą, dość dużą gałąź i zaczęła pocierać nią ocote.

Malinalli potrafiła rozpałac ogień jak mało kto. Nigdy nie miewała z tym problemów, jednakże tym razem wyglądało na to, że ogień się gniewa. Krzyż Quetzalcoatl nie chciał się zażec. Malinalli zastanowiła się dlaczego. Czyżby Pan Quetzalcoatl gniewał się na nią? Z jakiego powodu? Nie zdradziła go przecież, wręcz przeciwnie. Wzięła udział w ceremonii chrztu z głową pełną jego wspomnienia. Co więcej, myślała o nim, zanim ceremonia się rozpoczęła! Przypomniała sobie teraz, że gdy wchodziła do świątyni, gdzie miała być odprawiana msza, poczuła w sercu radość na widok krzyża ustawionego pośrodku ołtarza, krzyża, który Hiszpanie uważali za swój, lecz który dla niej był krzyżem Quetzalcoatl. Ani przez moment nie wyrzekła się swoich wierzeń. Mimo to ocote nie chciało jej słuchać, co odczytała jako zły omen.

Zmartwiona poczuła, że zaczyna się pocić. Postanowiła poszukać suchej trawy. By dostać się na łąkę, musiała przejść przez miejsce, gdzie pasły się konie. Przystanęła przy nich i odszukała wzrokiem tego, który pił wodę z rzeki podczas jej chrztu. Jej milczący przyjaciel podszedł do niej i przez kilka chwil przyglądali się sobie. Był to magiczny moment wzajemnego podziwu i uznania.



Konie były jedną z rzeczy należących do cudzoziemców, które najmocniej przykuły uwagę Malinalli. Nigdy przedtem nie widziała takich zwierząt i natychmiast uległa ich urokowi. Do tego stopnia, że drugim słowem, po słowie „bóg”, które nauczyła się wymawiać, było słowo „koń”.

Konie podobały się jej, były niczym wielgachne psy, z tą różnicą, że człowiek mógł się cały przejrzeć w końskich oczach. Odbicie w psich oczach nie było tak wyraźne. A już na pewno nie odbicie w ślepiach psów, które przywieźli ze sobą Hiszpanie, agresywnych, groźnych, o okrutnym spojrzeniu, zupełnie innych niż tutejsze itzcuintli. Oczy koni były dobroduszne. Malinalli czuła, że są niby zwierciadło, w którym odbija się to wszystko, co człowiek myśli, innymi słowy, że są niby zwierciadło duszy.

Zetknęła się z nimi już pierwszego dnia, w którym przybyła do obozowiska Hiszpanów. Było to nieopisane uczucie; nie potrafiła wyrazić słowami wrażenia, jakie odniosła, kładąc rękę na końskiej grzywie. Itzcuintli nie miały sierści, nie mówiąc o zupełnie innych rozmiarach. Pokochała konie, zanim jeszcze dotknęła ich po raz pierwszy. Oglądała je z daleka podczas bitwy pod Cintlą i zauroczyły ją. Tamtego dnia nakazano kobietom i dzieciom, by opuściły wioskę przed rozpoczęciem walki i by trzymały się w bezpiecznej odległości, lecz ciekawość Malinalli była silniejsza niż posłuszeństwo. Ludzie, którzy już wcześniej widzieli Hiszpanów dosiadających koni, powiedzieli jej, że cudzoziemcy są na wpół zwierzętami; inni, że zwierzęta są na poły ludźmi, na poły bogami; inni, że biali ludzie i konie stanowią jedną całość. Malinalli postanowiła rozwiać wątpliwości i usadowiła się w miejscu, skąd mogła obserwować bitwę, nie narażając własnego życia. W pewnym momencie jeden z Hiszpanów stoczył się na ziemię, a ona ujrzała, jak koń za wszelką cenę stara się go ominąć, mimo że znajduje się w wirze walki. Zepchnięty przez inne konie, znalazł się nad swoim panem i musiał go nadepnąć, lecz zrobił to delikatnie, nie opadając nań całym ciężarem, żeby nie zranić jeźdźcy. Od tego momentu Malinalli czuła do koni podziw. Wiedziała, że nie robią krzywdy człowiekowi, że ich lojalność jest ponad

wszelką próbę, że można im ufać, czego nie dało się powiedzieć o wszystkich ludziach.

Na przykład oczy Cortésa zbijały ją z tropu: z jednej strony pociągały, z drugiej – budziły nieufność. Niekiedy jego wzrok przypominał bardziej wzrok psów niż koni. Jego wygląd przywołał na myśl zwierzę, dzikie, brutalne i silne. Dużą rolę odgrywały w tym skojarzeniu włosy porastające jego ręce, pierś i brodę. Indianie byli raczej pozbawieni zarostu, nigdy w życiu nie widziała człowieka aż tak owłosionego.

Umierała z ciekawości, co się czuje, pieszcząc takiego mężczyznę, gładząc go po torsie, rękach, nogach, pachwinach, lecz jako niewolnica musiała zachowywać dystans. Tak zresztą było lepiej, gdyż poczuła już spojrzenia Cortésa na swych udach i piersiach i nie spodobały jej się. Jego oczy były jak oczy, które rysowano na krzemienych nożach do wycinania serc ofiarom. Były to oczy, którym nie można było ufać, ponieważ tak jak noże z oczami mogły zagłębić się w piersi i wyrwać serce. Wolała oczy swego nowego właściciela, pana Portocarrero, spoglądały na nią obojętnie, a jako że obojętność była dla niej czymś znajomym, czymś zwyczajnym, czymś, co znała od zawsze, czuła się przy nim swobodnie. A żeby go zadowolić, musiała spełnić jego pierwsze polecenie. Szybko zebrała suchą trawę, bez problemu rozpałała ogień i upiekła tortille.

Jej serce wypełniła ulga. Zapalała nowy ogień, nowym sposobem, z nowym imieniem, dla nowych właścicieli, którzy przywieźli ze sobą nowe idee, nowe zwyczaje. Czuła wdzięczność i przekonanie, że jest w dobrych rękach i że nowi bogowie przybyli tu, by położyć kres ofiarom z ludzi.



Z nowym imieniem, świeżo ochrzczona i oczyszczona, Malinalli zaczynała u boku Cortésa najważniejszy etap swego życia. Udało się jej rozpałać mocny ogień. Sięgnęła po wachlarz, by go jeszcze zwiększyć. Rozpalanie ognia było ważną ceremonią.

Z niezwykłą jasnością przypomniała sobie, jak po raz ostatni rozpałała ogień w towarzystwie babki. Była wtedy małą dziewczynką. Wczesnym rankiem babka powiedziała jej:
– Dzisiaj odejdę z tej ziemi. Nie zobaczę, jaki obraca się w grzyby nasz kamienny świat:

kamienne teksty, kamienne

Nagle, bez żadnej zapowiedzi, zaczął padać deszcz. Babka roześmiała się, wypełniając pokój śmiechem niby muzyką. Malinalli nie wiedziała, czy jej słowa na temat odejścia były żartem, czy prawdą. Wiedziała jedynie, że obie, babka i ona sama, są w tym samym wieku, że nie ma między nimi różnicy czasu ani przestrzeni, że może bawić się i dzielić pragnieniami, niepokojami i fantazjami z ukochaną babką, która na nowo stała się dzieckiem.

Babka zachęciła Malinalli, żeby wyszły pobawić się na deszczu. Dziewczynka zgodziła się, rozbawiona. Na zewnątrz wszystko szybko przerodziło się w błoto. Usiadły obok siebie na ziemi i zaczęły bawić się zapamiętałe mokrą gliną. Rysowały na niej zwierzęta i magiczne figury. Zdawało się, że babkę ogarnęło szaleństwo, które –straciwszy nad sobą kontrolę – dzieliła z wnuczką. Poprosiła małą, by przykryła jej oczy błotem, by położyła chłodne błoto na jej oczach. Dziewczynka zaczęła gładzić jej twarz rączkami, próbując dokładnie spełnić zwariowane życzenie. Cała pokryta błotem, babka przemówiła do wnuczki:

– Życie oferuje nam zawsze dwie możliwości: dzień i noc, orła lub węża, budowę lub niszczenie, karę lub przebaczenie, ale istnieje też trzecia możliwość, ukryta, łącząca obie możliwości: odkryj ją. – Wymówiwszy te słowa, babka wstała z oczami zakrytymi błotem i pokazała na niebo: – Popatrz, córko! Powietrzni pływacy!

Malinalli wpatrzyła się w zadziwiający taniec orłów nad ich głowami.

– Skąd wiedziałas, że tu są, skoro ich nie widzisz?

– Ponieważ pada deszcz, a gdy pada deszcz, woda przemawia do mnie, woda wskazuje mi, jaką postać mają zwierzęta, które pieści, woda mówi mi, jak wysokie i jak twarde jest drzewo, mówi mi to dźwiękiem, jakie wydaje drzewo w deszczu, mówi mi wiele innych rzeczy, na przykład opowiada mi przyszłość każdego człowieka, wykreśloną na niebie przez powietrzne ryby, trzeba ją tylko odczytać. Moja przyszłość jest bardzo wyraźna, cztery wiatry dały mi sygnał.

W tym momencie powietrze przybrało kolor pomarańczy i błysk światła objął umysły obu kobiet, zachwyconych, przemienionych, jakby pozbawionych ciężaru życia i unoszących się w lekkości snów. Babka zaczęła śpiewać w różnych dialektach, niezrozumiałymi słowami, przytulając wnuczkę z tęsknotą i bezbrzeżną miłością. Po chwili poprosiła ją, żeby pozbiierała tyle suchej trawy, ile zdoła. Gdy dziewczynka spełniła polecenie, weszły do domu i rozpały nowy ogień polanami z poprzedniego dnia. Gdy drewno płonęło, babka powiedziała:

– Wszystkie ptaki wzięły swą postać z ognia. Myśl także ma początek w ogniu. Języki ognia wypowiadają słowa tak zimne i dokładne jak najgorętsza prawda, która może paść z ust. Pamiętaj, że słowa mogą stworzyć od nowa cały wszechświat. Zawsze gdy poczujesz się zagubiona, spójrz w ogień i oddaj mu swój umysł.

Malinalli zafascynowana wpatrzyła się w tysięczne kształty, jakie przybierał ogień, póki nie zgasł. Babka uśmiechnęła się i powiedziała:

– Zapamiętaj na zawsze, że nie ma takiej klęski, której ogień nie mógłby pochłonąć.

Dziewczynka odwróciła się, by spojrzeć na babkę, i zobaczyła łyzy płynące spod zaschniętej gliny pokrywającej jej oczy. Z kosza zawierającego dobytek staruszka wyjęła naszyjnik i jadeitową bransoletkę, a zakładając je wnuczce, pobłogosławiła ją pogodnym głosem następującymi słowami:

– Niech ziemia przywrze do podeszew twych stóp i trzyma cię mocno, niech podtrzyma twoje ciało, gdy straci ono równowagę. Niech wiatr odświeży twoje ucho i w każdej godzinie da ci odpowiedź leczącą wszystko, co tylko wymyśliłby twój smutek. Niech ogień pożywi twoje spojrzenie i oczyści pożywienie, które pokrzepi twą duszę. Niech deszcz będzie twym sprzymierzeńcem, niech obsypie cię pieszczotami, niech obmyje twoje ciało i twój umysł z

wszystkiego, co do nich nie należy.

Dziewczynka poczuła, że babka żegna się z nią, i powiedziała błagalnie:

– Nie opuszczaj mnie, citli, nie idź sobie.

– Powiedziałam ci już, że nigdy nie odejdę od ciebie.

Po czym, obejmując wnuczkę mocno i obsypując ją pocałunkami, ofiarowała ją bezgłośnie słońcu. Pobłogosławiła ją w imieniu wszystkich bogów i rzekła bez słów: „Niech Malinalli będzie postrachem strachu. Tą, która zwycięża strach, tą, która unicestwia strach, tą, która pali strach, tą, która odpędza strach, tą, która wymiata strach, tą, która nigdy nie zazna strachu”.

Malinalli pozostała w objęciach babki tak długo, aż ogarnął ją całkowity spokój. Gdy wreszcie wysunęła się z nich, odkryła, że babka jest nieruchoma. Że przestała należeć do czasu, że ulotniła się z ciała, że jej język powrócił do ciszy.

Dziewczynka rozumiała, czym jest śmierć, i zapłakała.

Teraz, rozpoczynając nowe życie, rozpalając nowy ogień u boku nowych właścicieli, czuła się szczęśliwa.



Aż do tego momentu wszystko potoczyło się tak, jak oczekiwała. Chciała wierzyć, że czas łez pozostał za nią. Czuła wewnętrzną odnowę. Te kilka dni, które upłynęły od chwili przybycia do obozowiska Hiszpanów, na zawsze wyryły się w jej pamięci. W żadnym momencie nie czuła się zagrożona czy niepewna. Oczywiście nie przybyła sama, przy czym nie chodziło tu o towarzystwo dziesiętnastu innych niewolnic, lecz o otulającą ją przeszłość. Rodziną. Osobistą. Kosmiczną. Na szyi miała jadeitowy naszyjnik, który należał niegdyś do jej babki. Na kostkach nóg grzechotki. Na ciele huipil, który sama utkała i wyhaftowała drogocennymi piórami ptaków, symbolem schodów do nieba, dokąd uda się pewnego dnia na spotkanie z babką.



Rozdział czwarty



Malinalli prała ubranie w rzece na obrzeżach Choluli. Czuła się nieswojo. Przeszkadzał jej hałas. Zbyt wielki hałas. Nie tylko ten czyniony jej rękami, gdy tarła płótno i uderzała nim o wodę, lecz także hałas panujący w jej głowie.

Wszystko wokół niej mówiło i poruszało się. Rzeka, w której robiła pranie, wypełniła powietrze muzyką plusku fal uderzających o kamienie. Do tego dźwięku dochodziły odgłosy wydawane przez ptaki, hałasujące głośniejsz niż zwykle, żaby, świerszcze, psy i przez samych Hiszpanów, nowych mieszkańców tych ziem, którzy nieśli wszędzie ze sobą denerwujący szcęk zbroi, armat i arkebuzów. Malinalli tęskniła do ciszy, do spokoju. Popol Vuh, święta księga Majów, głosiła, że kiedy wszystko pogrążone było w ciszy, kiedy wszystko pogrążone było w całkowitym spokoju, w ciemności nocy, w ciemności światła, wtedy właśnie dokonano się stworzenie.

Malinalli potrzebowała takiej ciszy, żeby stworzyć nowe i dźwięczne słowa. Właściwe słowa, słowa, których mogłaby potrzebować.

Niedawno przestała służyć panu Portocarrero, ponieważ Cortés mianował ją „la lengua”, „językiem”, osobą, która tłumaczy to, co on mówił, na język nahuatl, a to, co mówili wysłannicy Montezumy, z języka nahuatl na hiszpański. Oczywiście, mimo że nauczyła się hiszpańskiego z niewiarygodną szybkością, żadną miarą nie można było powiedzieć, że całkowicie go opanowała. Często musiała uciekać się do pomocy Aguilara, by dokonać poprawnego przekładu i sprawić, że to, co powie, będzie miało sens zarówno dla Hiszpanów, jak dla Mexików.



Bycie „językiem” stanowiło ogromną odpowiedzialność. Nie chciała popełnić pomyłki, nie chciała popełnić błędu, lecz nie wiedziała, jak tego uniknąć, ponieważ było bardzo trudno przekładać z jednego języka na drugi skomplikowane pojęcia. Czuła, że za każdym razem gdy wymawia jakieś słowo, podróżuje w pamięci o setki pokoleń wstecz. Kiedy człowiek przywołuje na przykład imię Ometeotla, twórcy dwoistości Ometecihltli i Omecíhuatl, pierwiastka męskiego i żeńskiego, przenosi się w sam moment Stworzenia. Taką moc miało słowo mówione.

Jak w takim razie zamknąć w jednym słowie Ometeotla, tego, który nie ma kształtu, pana, który nie rodzi się i nie umiera, którego woda nie może zmoczyć, ogień nie może spalić, wiatr nie może poruszyć z miejsca, a ziemia nie może przykryć? Nie sposób znaleźć takiego słowa. To samo odczuwał chyba Cortés, któremu nie udawało się wyjaśnić jej niektórych pojęć swojej religii. W dniu kiedy Malinalli zapytała go, jak ma imię małżonka boga, Cortés odrzekł:

– Bóg nie ma małżonki.
– Niemożliwe.
– Dlaczego?
– Bo bez brzucha, bez ciemności, nie może powstać światło, życie. Głęboko w swym wnętrzu matka ziemia wytwarza kamienie szlachetne, w ciemności brzucha nabierają kształtu ludzie i bogowie. Bez brzucha nie ma boga.

Cortés spojrzał uważnie na Malinalli i ujrzał w głębi jej oczu światło. Był to moment silnego sprzężenia między nimi, lecz Cortés szybko odwrócił wzrok i odłączył się od niej gwałtownie, gdyż przestraszyło go owo poczucie współnictwa i przynależności. Spróbował uznać rozmowę za skończoną. Poza tym czuł się nieswojo, dyskutując z nią o sprawach religii. Była przecież tylko Indianką na jego usługach.

– A cóż ty możesz wiedzieć o Bogu! Twoi bogowie żądają całej krwi tego świata, żeby istnieć, nam za to Bóg ofiaruje ją podczas każdej komunii. Pijemy jego krew.

Malinalli nie do końca zrozumiała te słowa. Chciała usłyszeć, a jej mózg chciał zrozumieć

głównie to, że bóg Hiszpanów jest bogiem płynnym, gdyż to właśnie we krwi, w tajemnicy ciała, w tajemnicy miłości, zawiera się wieczność wszechświata; w takie bóstwo chciała wierzyć.

– Czyli twój bóg jest płynny? – zapytała z entuzjazmem.

– Płynny?

– Tak, bo czy nie mówisz, że jest we krwi, którą wam daje?

– Oczywiście, że tak, kobieto! A teraz ty mi powiedz: czy twoi bogowie dają ci krew?



– Nie.

– No właśnie! To nie wierz w nich.

Malinalli odrzekła mu ze łzami w oczach:

– Ja nie wierzę, żeby trzeba było żywić bogów krwią. Wierzę w twojego płynnego boga, podoba mi się, że stale jest rozlewany, że objawia się nawet w moich łzach. Podoba mi się, że jest surowy, twardy, sprawiedliwy. Że jego gniew może unicestwić albo stworzyć świat w jeden dzień. Ale nie jest w stanie uczynić tego bez wody i bez brzucha. Aby mogły istnieć kwiaty i pieśni, potrzeba wody, w niej rodzą się słowa i materia przybiera kształt. Istnieje życie, które rodzi się bez brzucha, lecz niedługo trwa na świecie, za to wszystko, co bierze początek w ciemności, w głębi jaskini, jak kamienie szlachetne albo złoto, trwa dłużej. Mówią, że jest takie miejsce po drugiej stronie morza, gdzie stoją najwyższe góry, a tam nasza matka ziemia ma dużo, dużo wody, która ją zapładnia, a tu, w mojej ziemi, mamy głębokie jaskinie, a wewnątrz nich powstają wielkie skarby...

– Naprawdę? Jakie skarby? Gdzie są te jaskinie?

Malinalli nie chciała odpowiedzieć. Powiedziała, że nie wie. Pytania Cortésa uraziły ją. Pokazały, że nie obchodzą go kwestie związane z jej religią, jej bogami, jej wierzeniami, nią samą. Zrozumiała, że interesują go tylko skarby materialne. Wymówiła się i poszła wypłakać się nad rzekę.

Ta oraz wiele innych rzeczy utrudniały wzajemne zrozumienie. Malinalli wierzyła, że

słowo koloruje pamięć, rozsiewa obrazy przy wymówieniu każdej nazwy. I tak jak na łące zroszonej deszczem wyrastają kwiaty, ziarno posiane w umyśle wydaje owoce, gdy nazywa je słowo zwilżone w ustach śliną. Na przykład pojęcie prawdziwego boga, boga odwiecznego, głoszono przez Hiszpanów, zrodziło w jej umyśle owoce, ponieważ zostało wcześniej zasiane przez jej przodków. To także od nich dowiedziała się, że rzeczy istnieją, kiedy się je nazywa, kiedy się nawilża, kiedy je się maluje. Uważała, że kwiaty i pieśni są darem bogów, ponieważ dzięki nim istnieje życie. Bóg oddycha w jej słowie, daje życie za jej pośrednictwem, a dzięki temu, dzięki działaniu i łasce Pana Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok, można malować w umyśle Hiszpanów i Mexików nowe idee, nowe pojęcia.

Bycie „językiem” wymagało ogromnego zaangażowania duchowego, oddania całego jestestwa w służbę bogom, by język Malinalli stał się częścią aparatu głosowego bóstwa, by jej głos rozproszony po całym świecie sens istnienia, lecz Malinalli nie była do tego przygotowana. Bardzo często, przemawiając, dawała się powodować własnym pragnieniom, a wówczas głos wydobywający się z jej ust był głosem strachu. Strachu przed niewiernością wobec bogów, strachu przed niepowodzeniem, strachu przed nieudźwignieniem odpowiedzialności, a także – owszem, to też – strachu przed władzą. Przed przejęciem władzy.

Nigdy wcześniej nie zaznała wrażenia, jakim napawało posiadanie władzy. Szybko zorientowała się, że ten, kto obraca informacją i znaczeniami, ma władzę, i odkryła, że podczas tłumaczenia panuje nad sytuacją; więcej: że słowo może stanowić broń. Najlepszą broń.

Słowo przemieszczało się z prędkością błyskawicy. Przemierzało doliny, góry, morza, niosąc wyczekiwaną informację zarówno monarchom, jak i wasalom; szerząc strach lub nadzieję, zawiązując sojusze, eliminując wrogów, zmieniając bieg wydarzeń. Słowo było wojownikiem, świętym wojownikiem, rycerzem z klanu orła lub zwykłym najemnikiem. Obdarzone boskim charakterem przekształcało pustą przestrzeń ust w centrum Stworzenia i powiełało w niej ten sam gest, dzięki któremu powstał wszechświat, gdy pierwiastek żeński i pierwiastek męski połączyły się w jedno.

Malinalli sądziła, że aby powstało życie, aby oba pierwiastki pozostały połączone, zarodek powinien zagnieździć się wewnątrz kolistej przestrzeni, która go ochroni, która go otuli, ponieważ to właśnie okrągłe formy najlepiej chronią to, co zostało stworzone, otaczając je i zamykając, podczas gdy formy ostre otwierają i rozdzielają. Usta, jako pierwiastek kobiecy, jako pusta przestrzeń, jako jama, są najlepszym miejscem do narodzin słów, a język, pierwiastek męski, podłużny, zaostroszony, falliczny, doskonale nadaje się do tego, by wprowadzić stworzone słowo, ów świat informacji, w inne umysły, które może zapłodnić.

A czym może je zapłodnić? Oto wielka niewiadoma. Malinalli była przekonana, że istnieją tylko dwie możliwości: połączenie lub rozdzielenie, tworzenie lub niszczenie, miłość lub nienawiść, a rezultat zależy od „języka”, czyli od niej samej. To ona miała moc sprawienia, by jej słowa włączyły innych ludzi w realizację tego samego celu, żeby ich uwzględniły i objęły, albo wręcz przeciwnie, by ich wyłączyły, przekształciły w nieprzejednanych przeciwników, w istoty rozdzielone poglądami nie do pogodzenia, samotne, wyobcowane, opuszczone, takie jak ona, która jako niewolnica przez całe lata czuła, czym jest życie bez posiadania głosu, nigdy nie będąc braną pod uwagę, bez prawa uczestnictwa w podejmowaniu jakiegokolwiek decyzji.

Lecz owa epoka zdawała się należeć do zamierzchłej przeszłości. Oto ona, niewolnica, która w milczeniu przyjmowała rozkazy, ona, która nie mogła spoglądać w oczy mężczyznom, miała teraz głos, a mężczyźni, spoglądając w jej oczy, czekali z uwagą na to, co wypowiedzą jej usta. Ona, którą tyle razy przekazywano z rąk do rąk, ona, której tyle razy pozbywano się jako bezużytecznej, była teraz potrzebna i cenna, równie wartościowa – a może nawet bardziej – jak ziarno kakao.

Na nieszczęście owa uprzywilejowana pozycja była bardzo niepewna. W ciągu sekundy mogła ulec zmianie. Malinalli ryzykowała nawet życie. Jedyne triumf Hiszpanów gwarantował jej zachowanie wolności, w związku z czym nie zawahała się, by wielokrotnie w zawołowany sposób twierdzić, że Hiszpanie w rzeczy samej są wysłan

Oto teraz od jej uznania zależało, co zostanie powiedziane, a co przemilczane. Co zostanie potwierdzone, a co zaprzeczone. Co zostanie ogłoszone, a co utrzymane w tajemnicy. W tym momencie był to jej najważniejszy problem. Nie tylko chodziło o to, czy coś powiedzieć, czy nie, czy zastąpić jedną nazwę inną. Podejmując decyzję, Malinalli ponosiła ryzyko zmiany znaczenia rzeczy. Mogła zmieniać sensy i narzucać swą własną wizję wydarzeń, a czyniąc to, wchodziła w jawne współzawodnictwo z bogami, co napawało ją trwogą. Takie zuchwalstwo mogło wzbudzić gniew i karę bogów, czego zdecydowanie się bała. Mogła wyzbyć się lęku, przekładając jak najwierniej znaczenie słów, lecz jeśli Meksykanie w pewnym momencie zwątpią – tak jak ona – że Hiszpanie są wysłannikami Quetzalcoatl, w mgnieniu oka zostanie wraz z nimi starta na proch.

Znajdowała się zatem w sytuacji nad wyraz delikatnej: albo starała się służyć bogom i zachować wierność znaczeniu, które nadali światu, albo podążała za swymi instynktami, najbardziej przyziemnymi i pierwotnymi, i dbała o to, by każde słowo i każdy czyn nabierały znaczenia, które jej odpowiadało. To drugie było oczywiście zamachem stanu, zamachem na boską władzę i obawa przed reakcją bogów napępiała ją lękiem i poczuciem winy, lecz Malinalli nie widziała innego wyjścia.

Strach i poczucie winy w sercu Malinalli były równie silne, a może nawet silniejsze, niż strach i poczucie winy Montezuma, który zdjęty trwogą, drżący i we łzach oczekiwał, aż bogowie ukażą go za to, że dawno temu Meksykanie zniszczyli Tulę i w tym świętym miejscu poświęconym Quetzalcoatlowi składali ofiary z ludzi. W toleckiej Tuli nie było takiej potrzeby. Wystarczyło, że Quetzalcoatl rozпали nowy ogień i stanie u boku słońca w jego podróży przez niebieskie sklepienie, by równowaga świata została zachowana. Przed Meksykami słońce nie żywiło się ludzką krwią, nie prosiło o nią, nie żądało jej.

Ogromna wina, jaką dźwigał na swych barkach Montezuma, sprawiła, iż uwierzył nie tylko w to, że nadeszła godzina spłaty długów, lecz że przybycie Hiszpanów oznacza kres jego imperium. Malinalli mogła temu zapobiec, mogła ogłosić, że Hiszpanie nie są wysłannikami Quetzalcoatl, a wówczas zostaliby zgładzeni w ciągu sekundy... ale ona zostałaby zabita wraz z nimi, a nie chciała umierać jako niewolnica. Ogromnie pragnęła odzyskać wolność, nie przechodzić więcej z rąk do rąk, zaprzestać błędnego życia.

Nie było możliwości odwrotu, nie miała szans, by wyjść bez szwanku z tej sytuacji. Doskonale wiedziała, jak okrutny jest Montezuma i że jeśli Hiszpanie przegrają, ona będzie skazana na śmierć. Wobec takiej alternatywy trudno się dziwić, że wołała zwycięstwo Hiszpanów! A by je zapewnić, musiała podtrzymywać pogląd, że są bogami przybyłymi zza morza. I tak właśnie zamierzała postąpić, choć sama nie była już tego taka pewna. Jednakże perspektywa, że pewnego dnia będzie mogła żyć tak, jak sama zechce, że będzie mogła wyjść za mąż za człowieka, którego sama wybierze, i mieć dzieci bez obawy, że pewnego dnia zostaną jej odebrane jako niewolnicy lub złożone w ofierze, pociągała ją na tyle mocno, że nie zamierzała wycofywać się ze swej roli. A jej największym marzeniem było posiadanie skrawka własnej ziemi, gdzie mogłaby zasiać ziarna kukurydzy, z którymi się nie rozstawała, a które wyrosły niegdyś na milpie jej babki. Jeśli Hiszpanie mogli pomóc jej w spełnieniu tych marzeń, warto było im pomóc.

Decyzja ta, rzecz jasna, nie umniejszała poczucia winy i nie ułatwiała określenia, co Malinalli powinna powiedzieć, a co przemilczeć. Walczyła o życie kłamstwami? A skąd miała

pewność, że to kłamstwa? Może myliła się, może Hiszpanie jednak byli wysłannikami Quetzalcoatl i powinna pozostać u ich boku aż do śmierci, a przede wszystkim powinna przekazać sekretną informację, którą otrzymała od pewnej kobiety z Choluli. Oczarowana wesołym usposobieniem dziewczyny, jej urodą i siłą fizyczną kobieta ta zapragnęła, by Malinalli została żoną jej syna i chcąc ocalić jej życie, wyznała, że Cholulanie szykują zasadzkę na Hiszpanów. Zamierzają ich zaatakować, oplatając hamakami jak siecią, i dostarczyć żywcem do Tenochtitlanu. Kobieta zaleciła Malinalli, by opuściła miasto przed atakiem, i obiecała, że później będzie mogła wyjść za jej syna.

Malinalli ponosiła teraz całkowitą odpowiedzialność za ujawnienie tej informacji Hiszpanom lub zatajenie jej. Cholula była świętym miastem. Mieściła się tu jedna ze świątyń Quetzalcoatl. Udział w obronie lub w ataku na Cholulę oznaczał udział w obronie lub w ataku na Quetzalcoatl. Nigdy jeszcze w głowie Malinalli nie panował taki zamęt.

Pewne było jedynie to, że potrzebuje ciszy, by odzyskać jasność umysłu. Poprosiła o nią wszystkich swoich bogów. Oprócz dźwięków z zewnątrz dokuczał jej hałas we własnej głowie, głosy nakazujące, żeby zamilkła, żeby nic nie powiedziała, żeby nie przekazała Hiszpanom żadnej informacji, która mogłaby uratować im życie, że coś jest nie tak, że cudzoziemcy nie są tymi, za których ich uważa, że nie przybyli z polecenia Quetzalcoatl. Ich postępowanie coraz bardziej nie pasowało do modelu, który sobie zbudowała. Czuła się rozczarowana.

Po pierwsze, dostrzegała całkowitą niespójność pomiędzy znaczeniem nazwiska „Cortés” a charakterem tego człowieka. Słowo to oznaczało po hiszpańsku osobę grzeczną, delikatną, szanującą innych, a Hernán bynajmniej taki nie był, nie mówiąc już o jego kompanach. Nie mogła zgodzić się na to, by wysłannicy boga wyrażali się w taki sposób, by byli tak nieokrzesani, tak bezpośredni, tak niegrzeczni, by w gniewie złorzeczyli swemu bogu. W porównaniu ze słodyczą i poetyckością języka nahuatl hiszpański wydawał się jej zbyt agresywny.

Było też coś gorszego od grubiaństwa Hiszpanów: ich zapach. Nigdy nie sądziła, że wysłannicy Quetzalcoatl będą tak brzydko pachnieć. Rdzenni mieszkańcy tych ziem dbali o higienę, natomiast Hiszpanie nie kąpali się, a ich odzież cuchnęła, ani słońce, ani woda nie były w stanie usunąć tego fetoru. Choć ze wszystkich sił tarła płótno podczas prania, nie potrafiła usunąć smrodu metalicznego potu i zardzewiałego żelaza.

Kolejna rzecz: zainteresowanie Hiszpanów, a w szczególności Cortésa, złotem nie wydawało się jej stosowne. Gdyby naprawdę byli bogami, troszczyliby się o ziemię, o siew, o zapewnienie ludziom pożywienia, a tak nie było. Nigdy nie dostrzegła u nich zainteresowania milpą, wyłącznie jedzeniem. Skoro Quetzalcoatl ukradł ziarenko kukurydzy z Góry Pożywienia, by podarować je ludziom, dlaczego jego wysłannicy nie chcieli sprawdzić, jak ludzie traktują ów wspaniały dar? Nie byli ciekawi, czy podczas spożywania kukurydzy ludzie pamiętają o jej boskim pochodzeniu? Czy dbają o nią i oddają cześć jako rzeczy świętej? Nie martwiło ich, że ludzie przestaną siać kukurydzę? Jak to? Czyżby nie wiedzieli, że gdyby pewnego dnia tak się stało, kukurydza umrze? Że kaczan potrzebuje interwencji człowieka, który powinien usunąć liście, by ziarno mogło się odrodzić? Że kukurydza nie może żyć bez człowieka, a człowiek bez kukurydzy? Ta konieczność udziału człowieka w cyklu wegetacyjnym kukurydzy stanowiła dowód, że jest ona darem bogów dla istot ludzkich, ponieważ gdyby człowieka nie było na świecie, bogowie nie mieliby komu jej podarować, zaś ludzie bez kukurydzy nie przetrwaliby na ziemi. Czy przybysze nie wiedzą, że jesteśmy ziemią, że z ziemi jesteśmy zrodzeni, że ziemia nas spożywa, a gdy nadejdzie kres ziemi, gdy nadejdzie koniec ziemi, gdy śmiertelnie znuży się ziemia, gdy kukurydza nie wszędzie, gdy matka ziemia nie otworzy swego serca, będzie to zarazem naszym końcem? A na cóż wówczas zda się nagromadzone złoto, jeśli nie będzie kukurydzy? Jak to możliwe, że pierwszym słowem w języku nahuatl,



Złoto, teocuitlatl, uważano za ekskrementy bogów, odchody, odpady, nic więcej, Malinalli nie pojmowała zatem żądzę gromadzenia złota. Uważała, że w dniu, gdy ziarno kukurydzy przestanie być szanowane i uznawane za święte, istoty ludzkie znajdują się w najwyższym niebezpieczeństwie, a skoro wiedziała o tym ona – zwykła śmiertelniczka – jak było możliwe, że nie wiedzą wysłannicy Quetzalcoatl, przybywający w jego imieniu – chociaż pod innym mianem – i pozostający z nim kontakcie? Czyż w takim razie nie przysyła ich raczej Tezcatlipoca niż Quetzalcoatl?

Brat Quetzalcoatl oszukał go niegdyś za pomocą czarnego zwierciadła, a ona odnosiła wrażenie, że to samo robią Hiszpanie z tubylcami, używając tym razem błyszczących lusterek. Tezcatlipoca, bóg, który próbował odebrać władzę bratu, był czarownikiem. Przesłał Quetzalcoatlowi czarne zwierciadło, w którym ów ujrzał maskę swej pozornej świętości, ujrzał swą ciemną stronę. Wstrząśnięty, upił się tak mocno, że zmusił do współżycia własną siostrę. Następnego dnia zawstydzony opuścił Tulę, by odnaleźć swą tożsamość, by odzyskać swe światło. Obiecał, że pewnego dnia powróci.

Czy faktycznie powrócił, czy nie, oto pytanie, które stawiali sobie wszyscy. Dla Malinalli była to kwestia życia i wolności. Została wplątana w tę historię kilka miesięcy temu, gdy Cortés dowiedział się przypadkiem, że dziewczyna mówi językiem nahuatl. Jako że Aguilar, który znał tylko majański, nie potrafił pomóc mu porozumieć się z posłami Montezumy, Cortés poprosił Malinalli, by pomogła w tłumaczeniu, obiecując, że w nagrodę obdaruje ją wolnością. Począwszy od tego momentu, wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie, a dziewczyna znajdowała się teraz w matni, z której nie było ucieczki. Przez jej głowę przebiegały wspomnienia scen, które naznaczyły jej los od czasu przybycia obcych na ziemię Majów.

Pierwsze wspomnienie dotyczyło dnia, w którym kacyk Tabasco zebrał dwadzieścia kobiet z nią włącznie i oznajmił, że zostaną podarowane przybyszom jako trybut wojenny, ponieważ obcy zwyciężyli w bitwie mieszkańców Cintli.

Przypomniała sobie ze wszystkimi szczegółami rozmowę, jaką odbyły w drodze do obozowiska Hiszpanów. Nieomal w sekrecie wspomniały o możliwości, że istnieje związek między tymi ludźmi przybyłymi z morza a Quetzalcoatlem. Trwał rok Jeden Trzcina, a w kalendarzu Mexików był to rok Quetzalcoatl, który urodził się w roku Jeden Trzcina i zmarł pięćdziesiąt dwa lata później, po upływie całego cyklu, również w roku Jeden Trzcina. Mówiono, że trudno zignorować ów zbieg okoliczności. Któraś z nich oznajmiła, że słyszała, jakoby rok Jeden Trzcina był bardzo niepomysłny dla królów. Gdy coś złego działo się w roku Jeden Jaszczur, zło dosięgało dorosłych mężczyzn i kobiet oraz starców. Gdy działo się w roku Jeden Jaguar, Jeden Jeleń albo Jeden Kwiat, atakowało dzieci, ale jeśli działo się w roku Jeden Trzcina, dosięgało królów. Wydawało się to oczywiste, ponieważ skoro obcy starli się z mieszkańcami Cintli i wygrali, to samo musiało się stać, gdyby doszło do starcia z Montezumą. Stanowiło to oznakę, że przybywają, by podbić te ziemie i przywrócić królestwo Quetzalcoatl. Taką wersję

przyjęło serce Malinalli, którą przepełniła nadzieja, radość, pragnienie zmiany. Świadomość, że państwo zezwalające na ofiary z ludzi i na niewolnictwo czeka rychła zagłada, przywróciła jej spokój.

Daleko stąd, w pałacu Montezumy, podobną rozmowę odbyli władca, jego brat Cuitlahuac i siostrzeniec Cuauhtemoc.

Cuitlahuac i Cuauhtemoc sądzili, że Cortés i jego ludzie są nie tyle bogami przybyłymi z morza, ile zwykłymi rabusiami. Montezuma uznał jednak, że bez względu na to, czy chodzi o bogów, czy nie, należy potraktować ich w sposób szczególny, gdyż także rabusie mogą znajdować się pod opieką Quetzalcoatl, i wysłał do nich poselstwo z Teotlamacazquim na czele, wydając następujące polecenie:

„Idź, nie zwlekając, pokłoń się naszemu panu, powiedz mu, że przysyła cię jego zastępca Montezuma, a oto co mu posyłam, by uczcić jego przybycie”.

Być może Montezuma nie przewidział zamieszania, jakie jego postawa miała spowodować wśród całego ludu. Gdy usłyszano, że sam władca wita cudzoziemców z szacunkiem, a co więcej, że oddaje się na ich rozkazy, wszyscy poczuli się zobligowani do postępowania w taki sam sposób.

Wyjątkowy szacunek okazany Hiszpanom wskazywał wyraźnie na to, że Montezuma stawia ich ponad swoją osobę.

Jednakże w świetle ostatnich wydarzeń Malinalli nie była tego taka pewna. Już podczas pierwszego kontaktu z posłami Montezumy Cortés okazał swoje przesadne zainteresowanie złotem. Nie olśniło go ani mistrzostwo wyrobów zdobionych ptasimi piórami, ani piękno tkanin i klejnotów, którymi go obdarowano, tylko złoto. Zabronił wszystkim członkom ekspedycji wymiany na własną rękę. Poza obozowiskiem ustawiono stół, gdzie miała się odbywać oficjalna wymiana. Każdego dnia Totonakowie i Mexikowie przynosili złote przedmioty, które Cortés przyjmował za pośrednictwem swoich służących w zamian za szklane koraliki, lusterka, szpilki i nożyczki.

Malinalli także została obdarowana naszyjnikami ze szklanych paciorków i lusterkiem. Bardzo jej się podobało odbicie widoczne w każdym z tych przedmiotów. Dużo wiedziała o zwierciadłach.

Piorąc ubranie w rzece, obserwowała się w wodzie. Odbicie własnej twarzy napawało ją lękiem, nie lubiła się oglądać, czuła irytację, czuła się chora. Pamiętała, że w dzieciństwie podczas choroby posadzono ją przed naczyniem z wodą i polecono patrzeć na swoje odbicie, po czym wyzdrowiała. Poprosiła rzekę, by ją uleczyła, by podpowiedziała jej, czy postępuje słusznie, czy się nie myli. Wiedziała, że woda przemawia we wszystkich naczyniach. Babka opowiedziała jej kiedyś, że w dolinie Anahuac jest ogromne jezioro wróżbiarskie, w którym odbijają się obrazy tego, co ma się wydarzyć, i że w owym miejscu kapłani Mexików ujrzeli orła pożerającego węża. Natomiast rzeka, w której robiła pranie, nie odzywała się do niej, nic nie mówiła, nic nie pokazywała, widziała w niej tylko brud Hiszpanów przybyłych z morza.

Morze było przestrzenią odbić. Jeziora i rzeki również. Zawierały słońce i boga wody. Malinalli wiedziała, że za każdym odbiciem kryje się ona sama, podobnie jak słońce kryje się za swym odbiciem w księżycu. Albo za swym odbiciem w wodzie, w kamieniach, w oczach innych ludzi. Gdy człowiek używa błyszczących przedmiotów lub kamieni, odbija się we wszechświecie niby w szeregu zwierciadeł. Słońce nie zdaje sobie sprawy z tego, że błyszczy, ponieważ nie widzi swego oblicza. Musi zobaczyć się w odbiciu, by zrozumieć swoją wielkość. Do tego właśnie potrzebujemy zwierciadeł: by się w nich rozpoznać. Dlatego Tula, miasto Quetzalcoatl, została wzniesiona jako odbicie nieba i dlatego Malinalli lubiła błyszczące przedmioty, zwierciadła, w których wyraźnie odbijał się Quetzalcoatl. Jej najpiękniejszymi zwierciadłami

były naszyjniki.

Malinalli wyjęła z sakwy naszyjnik podarowany przez Cortésa i włożyła go na szyję, by zostać dostrzeżoną przez boga. By spotkać się z nim w odbiciu. Ponownie przyjrzała się swej twarzy w rzece, a tym razem woda ukazała jej rząd małych refleksów, jeden obok drugiego, tworzących falującą linię. Natychmiast przypomniała sobie srebrzystego węża, jaki tworzyli hiszpańscy żołnierze, maszerując jeden za drugim i odbijając słońce w zbrojach, i skojarzyła go z kolumnami wojowników z Tuli, maszerujących jeden za drugim, wpatrzonych w swe odbicie w zwierciadle, które niósł na plecach wojownik idący z przodu.

Malinalli nie wiedziała, że Hernán Cortés znajduje się o kilka kroków od niej. Korzystając ze słonecznej pogody, postanowił odpocząć nad rzeką. Chwilę temu skończył rysować w swym kajecie koło fortuny. Zawsze, gdy chciał się uspokoić i rozchmurzyć, rysował koło fortuny. Wchodził wówczas w stan głębokiego rozluźnienia. Myśl, że istnieje kolisty czas decydujący o tym, że człowiek raz jest na szczycie, a raz przy ziemi, podobała mu się, lecz tego dnia przyszła mu do głowy inna myśl, która sprawiła, że porzucił pióro i papier. Rysując koło fortuny dotykające ziemi, poczuł, że ten właśnie moment jest najważniejszy w całym obrocie, ta krótka chwila spotkania z ziemią jest prawdziwa, cała reszta wisi w powietrzu, nie istnieje, nie ma przeszłości i przyszłości. Zrozumienie tego faktu sprawiło, że podniósł wzrok i spojrzał dookoła siebie nowymi oczyma.

Natychmiast ogarnęło go przyjemne uczucie. Te nowe ziemie, które dotychczas postrzegał jako dziwne, niebezpieczne, niegościnne, których upał, moskity, wilgoć i trujące rośliny napępiały jego serce lękiem, zmieniły nagle wygląd i wszystko wokół niego wydało mu się przyjazne. Poczuł, że ta ziemia jest jego ziemią, że należy do niej i że bynajmniej tu nie przybył, ponieważ był tu od zawsze.

Z ogromnym spokojem w sercu – rzecz rzadka u niego – postanowił wykąpać się w rzece. Gdy dotarł na brzeg, odkrył Malinalli, która wpadła na ten sam pomysł. Zdjęła swój piękny huipil i stała w wodzie, gotowa do zanurzenia.

Cortés przyglądał się jej nagiemu ciału. Patrzył na plecy, biodra, uda, włosy i podniecił się jak nigdy dotąd.

Wyczuwając jego obecność, Malinalli odwróciła się, a wówczas zobaczył jej piersi nastolatki, jędrne, ogromne, ze sterczącymi sutkami godzącymi prosto w jego serce. Poczuł silną erekcję i ogromną potrzebę, by posiąść dziewczynę, lecz wiedział, że nie powinien tego robić, więc zanurzył się w chłodnej wodzie po pas z nadzieją, że ostudzi nabrzmiały członek. Brodząc w jej kierunku, spróbował nawiązać rozmowę, która zwróciłaby jego myśli w inną stronę.



– Nasączam się Tlalokiem, bogiem wody.

Zanurzeni w wodzie, stojąc naprzeciwko siebie, spojrzeli sobie w oczy i odkryli swój los i nieunikniony związek. Cortés zrozumiał, że Malinalli jest jego prawdziwą konkwistą, że to w

otchłani czarnych oczu tej kobiety leżą klejnoty, których szuka z takim zapalem. Malinalli ze swej strony poczuła, że w wargach Cortésa i w jego ślinie znajduje się płynny skrawek boga, okruczeństwo wieczności i że pała pragnieniem skosztowania go i zachowania na swoich wargach. Chmury na niebie zaczęły się nagle przemieszczać z niezwykłą szybkością. Powietrze nabrzmiało wilgocią i nawilżyło pióra ptaków, liście drzew i pochwę Malinalli. Popielate obłoki, podobnie jak penis Cortésa, dokonywały wielkiego wysiłku, by powstrzymać wodę, by nie wypuścić jej, by nie rozlać cennego płynu. Cortés zdążył jeszcze zapytać, zanim rzucił się na nią:

– Jaki jest ten bóg?

A Malinalli zdążyła jeszcze odpowiedzieć, zanim ją posiadł:

– Wieczny, tak jak twój, tylko że jego wieczność nie jest niewidzialna tak jak twojego.

Nasz bóg paruje, kreśli rysunki na niebie, porusza się w chmurach wedle swego kaprysu, wykrzykuje swą obecność, rozlewa swą świadomość i łagodzi nasze pragnienie i nasz strach...

Z oczami rozpalonymi pożądaniem, kładąc rękę na piersiach Malinalli, przerwał jej:

– Boisz się?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Zaczął ją wówczas pieścić, powoli, wilgotną dłonią. Ujął sutek dziewczyny opuszkami palców. Malinalli zadrżała. Nakazał jej, żeby opowiadała o swym bogu. Zamierzał zaspokoić nieco swe pożądanie, ale nic więcej, nie chciał złamać obietnicy złożonej przez wszystkich członków wyprawy, że uszanują indiańskie kobiety. Malinalli próbowała mówić dalej, lecz Cortés włożył sutek do ust i lizał go lubieżnie.

– Nasz bóg wiecznie daje życie... Dlatego jest naszym bogiem wody...

Ambicja przeważyła, Cortés zapragnął osiąść jednocześnie Malinalli i jej boga. W jego głowie wybuchła rozkosz, a serce postanowiło ogarnąć ogniem tego Tlaloca, tego boga wody, by wyparował na zawsze. Podniósł Malinalli, wyniósł ją z wody i zaraz na brzegu rzeki wszedł w nią gwałtownie. W tym samym momencie niebo także wybuchło i zrzuciło na nich strugi deszczu.

Cortés nie słyszał piorunów, nie widział błyskawic, czuł jedynie ciepło panujące wewnątrz ciała Malinalli, ruchy swojego członka otwierające ściśniętą ścianę pochwy dziewczyny. Nie miało znaczenia, że jego namiętność i siła robią jej krzywdę. Nie miało znaczenia, że obok nich biją pioruny. Nie miało znaczenia nic oprócz wchodzenia i wychodzenia z jej ciała.

Malinalli nie wymówiła ani słowa, a jej czarne oczy, piękniejsze niż zwykle, zasnuła mgła, wypełniły powstrzymywane łzy. Podczas każdego szarpnięcia czuła, jak nagi i owłosiony tors muska jej piersi i sprawia przyjemność. Znała już odpowiedź na pytanie o to, co daje dotyk owłosionej skóry. Półprzytomna, z rozdartym ciałem, przypomniawszy sobie słowa babki, która swym ciepłym głosem, jakby wszystkie ptaki złożyły swego ducha w jej gardle, powiedziała jej w przeddzień śmierci:

– Niektóre łzy są uzdrowieniem i błogosławieństwem Pana Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok. Są wodą, która jest zarazem językiem o płynnym głosie śpiewającym fragmentom światła, esencją naszego boga, który łączy najdalsze krańce i godzi to, co nie do pogodzenia.

Przez kilka minut – które zdały się wiecznością – Cortés wchodził w nią raz po raz, dziko, jakby cała siła natury zgromadziła się w jego ciele. Z nieba lunęła zaś na nich taka ulewa, że namiętność i orgazm zostały zatopione w wodzie, podobnie jak łzy Malinalli, która przez krótką chwilę przestała być „językiem” i stała się zwyczajną kobietą, milczącą, pozbawioną głosu, niedźwigającą na swych barkach ogromnej odpowiedzialności budowania konkwisty swoją śliną. Kobieta, która wbrew temu, czego można było oczekiwać, poczuła ulgę, odzyskując swój poddańczy status, gdyż bardziej swojsko czuła się jako przedmiot w służbie mężczyzny niż jako pani własnego losu.

Wydawało się, że Bóg jedynie jest świadkiem ataku tej lubieżnej furii, tej namiętnej zemsty, tej miłosnej nienawiści, lecz tak nie było. Jaramillo, kapitan walczący u boku Cortésa, zobaczył ich, a w jego pamięci wyryła się postać Malinalli i ogarnął go pociąg – silny jak nigdy dotąd – do tej kobiety, którą posiadał Cortés, jego dowódca.



Rozdział piąty



Malinalli i Cortés weszli nadzy do temascalu.

Dziwnie było patrzeć na Cortésa pozbawionego odzieży i pozorów. Wyglądał na mniejszego i bezbronniego. Nagość była nieodzownym warunkiem tego rytuału oczyszczenia i odrodzenia, ponieważ aby mogło dojść do oczyszczenia krwi, wszystkie pory ciała musiały rozciągnąć się i otworzyć, pozwalając, by para, ten kolejny obraz wody, ten duch wody, oczyściła ciało w czterech etapach, to znaczy w czterech stronach świata, czterech porach roku, czterech żywiołach.

Było to pierwsze doświadczenie Cortésa z tą świętą praktyką. Przystał nań na prośbę Malinalli, która była tak głęboko przekonana o tym, że bogowie przywracają nam świadomość, materializując swą substancję w wodzie, że ubłagała Cortésa, by przed podjęciem jakichkolwiek działań wobec mieszkańców Choluli zrelaksował się w temascalu.

Cortés początkowo odmówił; prośba wydała mu się podejrzana. Cóż za pomysł: wprowadzać go do maleńkiego, okrągłego pomieszczenia posiadającego tylko jedno wyjście – a zarazem wejście – do którego wchodzi się bez ubrania i bez broni? Atmosfera w Choluli nie zachęcała do ślepej ufności wobec kogokolwiek. Dotychczas żaden z zarządców miasta nie chciał go przyjąć. Cholulą rządziło dwóch władców, tymczasowy, Tlaquiach – pan tu i teraz – i duchowy, Tlachiac – pan świata podziemnego. Obaj mieszkali w domach przylegających do świątyni Quetzalcoatla. Mieszkańcy Choluli mówili w nahuatl, urzędowym języku imperium, i byli poddanymi Mexików, którym płacili podatek, lecz zachowali niezależność i podobnie jak Tlaxcalanie mieli własny rząd złożony z wielu szlachetnie urodzonych osób. Byli dumnym ludem i nie wyobrażali sobie żadnej okoliczności, w której bóg Quetzalcoatla nie udzieliłby im opieki, w związku z czym wobec cudzoziemców nie okazywali ani cienia strachu. Całkowicie wierzyli w swego boga opiekuńczego.

Cortés i jego ludzie przybyli do Choluli, zmierzając do Tenochtitlanu, w towarzystwie sojuszników, Totonaków z Cempoali i Tlaxcalan. Miasto leżało około czterdziestu kilometrów od Tlaxcali. Hiszpanie zostali zaproszeni do środka i ugoszczeni, lecz Totonakowie i Tlaxcalanie musieli pozostać na zewnątrz. Wpuszczono zaledwie kilkuset Indian transportujących armaty i inne wyposażenie. Mieszkańcy Choluli mieli zadawniony zatarg z Tlaxcalanami i nie zgodzili się, by ci weszli do miasta, a tym bardziej pod broń.

Piękno i wielkość miasta wywarły na Cortésie ogromne wrażenie. Było bogate i gęsto

zaludnione. Liczne świątynie dowodziły, że stanowi jeden z najważniejszych ośrodków religijnych Nowego Świata. Główna świątynia była poświęcona Quetzalcoatlowi. Tutejsza piramida była największa w całym Meksyku. Miała sto dwadzieścia stopni.

Oprócz świątyni Quetzalcoatla Cortés naliczył ponad czterysta trzydzieści wież – piramid – które nazywał meczetami. W pięćdziesięciu tysiącach domów mieszkało prawie dwieście tysięcy osób. Było to największe miasto, jakie ujrzeli Hiszpanie podczas długiego marszu od wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Jedną z atrakcji stanowił ogromny targ, słynący z pięknych wyrobów z piór, glinianych naczyń i kamieni szlachetnych.

Jednakże w trzy dni po przybyciu Hiszpanów mieszkańcy Choluli, tłumacząc się problemami z zaopatrzeniem, przestali dostarczać im żywność; przynosili tylko wodę i drewno na opał. Cortés był zmuszony poprosić Tlaxcalan, by zdobyli dla nich jedzenie.

W mieście panowała atmosfera nieufności i nerwowości. Od Tlaxcalan Cortés dowiedział się, że nieopodal zbierają się oddziały Mexików. Informatorzy ostrzegali, że Mexikowie i Cholulanie najprawdopodobniej szykują zasadzkę.

Podważając spisek, Cortés musiał podjąć jakąś decyzję. Zmierzył się niedawno z Totonakami i Tlaxcalanami i wygrał, miał teraz ich poparcie, musiał kontynuować podbój. Musiał dotrzeć do Tenochtitlanu. Nie zamierzał pozwolić, by cokolwiek go powstrzymało. Musiał podjąć rozstrzygającą decyzję.

Wszakże on, Cortés, nie był zwykłym żołnierzem, był wysłannikiem i przedstawicielem króla Hiszpanii; zasadzka, którą szykowano, była zatem zwrócona także przeciwko królowi Hiszpanii. Musiał więc działać w imieniu Korony, bronić jej z całą stanowczością, ukarać śmiercią ludzi knujących zdradę przeciwko królowi Hiszpanii.

W tej sytuacji było logiczne, że Cortés nie zdradza ochoty na kąpiel w temascalu. Projekt ataku, zanim sam zostanie zaatakowany, pochłaniał go bardziej niż pomysł uczestnictwa w jakiejś pogańskiej ceremonii.

A jednak ów człowiek, który nie ruszał się nigdzie bez eskorty, niespodziewanie zgodził się wejść do temascalu, pomimo że był tam zamknięty jak w więzieniu. Uczynił to, ponieważ Malinalli wyjaśniła mu zwięźle, że wiele lat temu Toltekowie zastąpili Olmeków, dawnych mieszkańców Choluli, i wprowadzili kult Quetzalcoatla, bóstwa kojarzonego z Wenus, Gwiazdą Poranną, towarzyszką słońca w jego wędrówce po niebie. Quetzalcoatl był człowiekiem, który przerodził się w boga. Boga, który nie potrzebował ofiar z ludzi, który nie domagał się ich, któremu wystarczyło zapalić berłem stare słońce, by powstało zeń nowe słońce, bez ofiar z ludzi. Takie ofiary wprowadzili Aztekowie, gdy osiedlili się w Tuli, zdradzając zasady Quetzalcoatla; z tego powodu obawiali się jego powrotu, czuli się winni i spodziewali się kary.

– Jeśli wejdiesz do temascalu, jeśli wyzujesz się ze wszystkich ozdób, wszystkich metali, wszystkich lęków, jeśli usiądziesz na matce ziemi, obok ognia, obok wody, będziesz mógł zregenerować się, odrodzić się, wznieść się, żeglować z wiatrem, jak czynił to Quetzalcoatl, odrzucić starą skórę, strój człowieka, i przekształcić się w boga, a tylko bóg taki jak ten może zwyciężyć Mexików.

Cortés nie wahał się dłużej. Zdał już sobie sprawę z głębokiej duchowości rdzennych mieszkańców tych ziem, a instynkt wojownika podpowiedział mu, że postąpi słusznie. Że jeśli stanie przed nimi jako ich bóg Quetzalcoatl, nie będzie takiej siły ludzkiej, która by go powstrzymała. Na wszelki wypadek postawił dwóch kapitanów na straży przed wejściem do temascalu i rozkazał, by żołnierze otoczyli całą budowlę.

Atmosfera panująca w środku była niezwykła. Pomimo półmroku twarze Cortésa i Malinalli rysowały się wyraźnie w bladym świetle wpadającym przez jedyny otwór w tym kamiennym brzuchu, w tej niewielkiej przestrzeni całkowicie wypełnionej ciepłą parą.

Zamysł Malinalli, by umożliwić Cortésowi kontakt z naturą, tkaczką inteligencji tego, co niewidzialne, wymieniającą ziarno na drzewo, owoc na podniebienie, lupinę na błoto, kamień na ogień, spermę na myśl, myśl na gwiazdy, gwiazdy na pory skóry, a pory na ślinę wypowiadającą słowa, które rozszerzają wszechświat, o mały włos nie spełził na niczym, ponieważ ciemność i nagość wzbudziły w obojgu niespodziewane i nieznanne dotąd podniecenie.

Malinalli zaniepokoiła bliskość mężczyzny, który nie należał ani do jej świata, ani do jej rasy, lecz który stanowił już część jej historii. Jej pamięć wyostrzyła się, a wspomnienia zakłuły niby szpilki, przypominając ból odczuty poprzedniego dnia, gdy Cortés wziął ją siłą. Ciało bolało ją jeszcze, a mimo to uczuła swędzenie, żar, potrzebę bycia znowu obejmowaną, dotykana, całowaną.

Cortés ze swej strony poczuł na wargach wspomnienie przyjemności, jaką sprawiło mu lizanie i ssanie sutków tej kobiety, i ogarnęła go nieprzemierzalna chęć wypicia potu, który spływał teraz po nich. Jednakże żadne

Atmosfera nabrzmiała elektrycznością. Nie śmieli spojrzeć sobie w oczy. Cortés usadowił się naprzeciwko otworu wejściowego z plecami opartymi o ścianę z adobe, kontrolując w ten sposób sytuację, gotów na stawienie czoła ewentualnemu napastnikowi. Malinalli, siedząca naprzeciwko, także przybrała pozycję obronną: objęła nogi ramionami, zamykając tym samym dostęp do swego ciała, do najbardziej wrażliwej części, wzrokowi i dotykowi Cortésa.

Jego zaś pobyt w tej niewielkiej przestrzeni przeniósł w inną epokę i wymazał z pamięci nienasycone pragnienie podboju, nieodpartą żądzę władzy. W tym momencie pragnął wyłącznie zanurzyć się w gąszczu między nogami Malinalli, zatopić się w oceanie jej brzucha, wyciszyć na chwilę umysł. Owo nieprzemierzalne pragnienie, potężna potrzeba stopienia się w jedno z Malinalli przeraziła go, ponieważ poczuł, że jest zdolny do utraty kontroli nad sobą i do oddania się po raz pierwszy w życiu drugiemu człowiekowi. Przeląkł się możliwości zatracenia się w niej i zapomnienia o celu, jaki wyznaczył sobie w życiu, więc zamiast wejść w nią, przerwał niezręczną ciszę:

– Po co tu tyle rzeźb węża? Wszystkie przedstawiają twojego Quetzalcoatlą?



Cortés widział w Choluli wiele kamiennych węży, które przykuły jego uwagę i wzbudziły pewien lęk.

– Tak – odrzekła tylko Malinalli.

Nie chciała rozmawiać. Chciała zachować ciszę i pragnęła, by on uczynił to samo. Podobał się jej, gdy milczał. Z zamkniętymi ustami. Gdy nic nie mówił, Malinalli mogła wyobrazić sobie, że w jego myślach panują kwiaty i pieśni, za to gdy przemawiał, jego słowa były całkowicie sprzeczne z tym, co myślała ona, z tym, czego pragnęła, z tym, o czym marzyła. Zdecydowanie był bardziej atrakcyjny, gdy milczał.

Ale on czuł się skępowany ciszą, nie wiedział, co robić pośród tego spokoju, jedynym,

co przychodziło mu na myśl, było rzucenie się na Malinalli, choć gorąco stało się tak silne, że najchętniej nie ruszałby się wcale. Nalegał więc:

– A ten Quetzalcoatl, jak go nazywasz, co to za bóg? Bo musisz wiedzieć, że my zostaliśmy wypędzeni z rajy z winy węża.

– Nie wiem, o jakim wężu mówisz. Nasz to przedstawienie qaala, czyli ptaka, lotu, piór, i coatla, węża. Quetzalcoatl, czyli Wąż Upierzony. Połączenie wody deszczowej z wodą ziemską to także Quetzalcoatl. Wąż symbolizuje rzeki, a ptak – chmury. Ptak-wąż, pełzający ptak to Quetzalcoatl. Niebo tu w dole, ziemia tam w górze, to także on.

Nagle, nie wiadomo jak i dlaczego, ciemność temascalu, kamiennego brzucha, stała się świetlista, jakby słowo „Quetzalcoatl” sprawiło, że stało się światło.

Cortésowi, który nie rozumiał ani w żąb wierzeń religijnych mieszkańców tutejszych ziem, po raz pierwszy wydało się, że widzi elegancki i majestatyczny obraz, a jego umysł przyjął go z niezachwianą pewnością: to bóg, który łączy to, co lata, z tym, co pełza.

Malinalli i Cortés spojrzeli sobie w oczy. Znów zapanowała cisza. Wzrok jednego zagłębił się w drugim i w tej intymnej przestrzeni oboje przeniknęło wspomnienie czegoś, co przeżyli już w innej części czasu. Dreszcz w środku źrenicy zmusił Cortésa do oderwania spojrzenia od bezkresnych czarnych oczu Malinalli, w których odbijały się zarazem smutek, miłość i coś jakby pragnienie ziemi.

Cortés zapytał:

– A co dobrego zrobił ten wąż upierzony, że uważacie go za tak ważnego boga? Bo na tych waszych rzeźbach jest tak brzydki, że wygląda raczej na demona...

Malinalli, świadoma, że jedynym sposobem na to, by uciszyć Cortésa, jest nie dać mu dojść do słowa, przerwała mu głosem pełnym żaru:

– Na początku ludzie byli rozproszeni po całym świecie, byliśmy pyłem, który unosi się tam, gdzie wiatr jest nicością, gdzie woda jest nicością, gdzie ogień jest nicością, gdzie nicością jest ziemia, gdzie rozproszony człowiek jest nicością, gdzie nicość jest nicością. Quetzalcoatl zebrał nas, uformował nas, stworzył nas. Z gwiazd uczynił nasze oczy, z ciszy swej istoty wydobyl nasz rozum i tchnął go w nasze ucho; słońce podsunęło mu pomysł i stworzył pożywienie, którym możemy się krzepić, a które nazywamy kukurydzą, a jest ona zwierciadłem słońca i ma kolor, który daje życie krwi i naszym policzkom. Quetzalcoatl jest bogiem, a nasze umysły są z nim złączone.

Podawała mu naczynie z wodą i płatkami różnych kwiatów, by odświeżył i ochłodził swe ciało, po czym ciągnęła:

– Quetzalcoatl był też mędrcom, kapłanem, najwyższym władcą Tollanu.

Zamilkła, by połączyć wodą rozżarzone kamienie. Powietrze wypełniło się parą jeszcze bardziej gorącą i przenikliwą, oraz dźwiękiem, który pieścił uszy. Ale Cortés chciał dowiedzieć się więcej na temat Quetzalcoatla. Zamierzał wykorzystać wszelkie otrzymane podczas tej rozmowy informacje do swych własnych celów i na potrzeby konkwisty, więc zapytał z ciekawością:

– A jak wyglądały jego rządy?

– Podczas panowania Quetzalcoatla Tollan rozkwitał: jadeit, koral i turkus zdobiły świat; metale żółte i białe, metale szlachetne; muszle bracia uszu, spirale dźwięku, naczynia śpiewu; pióra kwezala, pióra czerwone i żółte dawały barwy jego wielkości. Rosło wiele gatunków kakao, wiele gatunków bawełny we wszystkich kolorach, bardzo wielkim artystą był Quetzalcoatl we wszystkich swych dziełach, dzięki niemu panował dostatek. Quetzalcoatl, Toltek, ten, który szuka samego siebie.

– I co się z nim stało? – dopytywał się Cortés.

– W pewnym momencie życia porzucił poszukiwanie siebie we wszystkim, co istnieje, i uległ pokusie, albo, jak byś ty to ujął, zgrzeszył, a potem uciekł.

– Ukradł coś? Zabił kogoś? – wypytywał Cortés z rosnącym zainteresowaniem.

– Nie. Został oszukany przez czarownika, który zmienił jego los. To Tezcatlipoca, jego brat czarownik, cień jego światła, postawił mu przed oczami czarne, kłamliwe zwierciadło, a gdy Quetzalcoatl przejrzał się w nim, zobaczył swą twarz zniekształconą, z oczami podkrążonymi, z oczami zmęczonymi, zobaczył maskę swej fałszywej tożsamości, zobaczył swą ciemną stronę, przeraził się swego odbicia, jego twarz napełniła go lękiem. Zaraz potem poczęstowano go pulque, napojem, który go oszołomił i pozbawił rozumu. W stanie upojenia zażądał, by przyprowadzono jego siostrę Quetzalpetatl, i wraz z nią wypił jeszcze więcej. Całkowicie pijani, brat i siostra dali się ovladnąć pożądaniu i legli obok siebie, obsypali się piśszczotami, pozwolili swym ciałom zderzać się w szaleńczym rytmie, dotykali się i całowali, aż zmorzył ich sen. O świcie, gdy Quetzalcoatl odzyskał świadomość, zapłakał i wyruszył na wschód – w stronę, z której przybyliście – i wsiadł na tratwę splecioną z węży. Odszedł z Tollanu do krainy czerni i czerwieni, by odnaleźć siebie samego, a następnie dokonał samospalenia.

Przypadek sprawił, że właśnie w tym momencie pot spływający po ciele Cortésa dotknął miejsca, w którym został ukąszony przez skorpiona; przypomniał sobie węża widzianego w majakach. Poczul pragnienie i zapytał, czy może napić się wody. Malinalli powiedziała mu, że dostanie wodę przy wyjściu.

– A długo jeszcze tu zostaniemy?

– Nie.

– Dobrze, w takim razie dokończ tę opowieść – polecił.

Ciała obojga samym prawie potem były i czystością, gdy Malinalli wymówiła te słowa:

– Gdy Quetzalcoatl zajął się ogniem, z jego serca wystrzeliła niebieska iskra. Jego serce, cała jego istota, wymknęła się z ognia, uleciała wysoko w niebo i przekształciła się w Gwiazdę Poranną.

Na tym Malinalli zakończyła rytuał temascalu i zaprosiła Cortésa do wyjścia z kamiennego brzucha.

Czuła ulgę, doskonale wiedziała, że woda wszystko czyści, wszystko uśmierza. Skoro jest w stanie wypolerować kamienie, czegoż nie dokona z wnętrzem ludzkiego ciała? Woda bez wątpienia mogła oczyścić i oszlifować najbardziej zatwardziałe serce. Mimo że nie udało się jej pomodlić do boga wody, tak jak robiła to zwykle w temascalu – Cortés bezustannie jej przerywał – czuła, że rytuał zadziałał, zobaczyła, że Cortés wychodzi oczyszczony, odrodzony, zmieniony. Zrzucił skórę, niby wąż, pozostawił starą łupinę wewnątrz temascalu. Czuła, że wspólny udział w tejceremonii jeszcze mocniej ich połączył, uczynił ich współnikami. Wypili napar z miodem, napar z kwiatów, w tę noc przekształceń, w tę noc objawień. Nie byli już w stanie mówić. Ciężar księżycy w pełni wyolbrzymiał ciszę zawartą w spojrzeniach obojga, na nowo zanurzeni w świecie zewnętrznym, w planach bitewnych, w płataninie intryg, w inny już sposób rozmawiali, inaczej przekazywali sobie swoje myśli.

Migracja umożliwia przeżycie.

Malinalli pragnęłyby mieć lekkość motyli i moc wyemigrować w porę. Odlecieć w przestworza, wysoko ponad chmury, tam, dokąd nie sięgałyby płacze i lamenty, tam, skąd nie byłoby widać okaleczonych ciał, rzek krwi, tam, gdzie nie byłoby czuć zapachu śmierci. Uciec, zanim jej oczy oslepną, zanim jej serce zastygnie w bryłę lodu, zanim jej duch zerwie kontakt z bogami.

Cortés postanowił uprzędzić ruch przeciwnika i zabić mieszkańców Choluli, jak twierdził, w obronie własnej. Chciał zaskoczyć ich, aby nie zostać wziętym z zaskoczenia. Chciał dać przykładową lekcję tym tubylcom, którzy żywili zamiar zaatakowania go, a zarazem wysłać jasny sygnał Montezumie.

Zebrał cholulańskich dostojników na dziedzińcu świątyni Quetzalcoatl pod pretekstem pożegnania się z nimi i podziękowania za względy. Malinalli i Aguilar służyli mu jako tłumacze, gdy przemawiał do trzech tysięcy zgromadzonych mężczyzn. Gdy znaleźli się w środku, bramy zostały zamknięte. Przemówił głośno z wysokości końskiego grzbietu, jego głos był silny jak grzmot, jak huk ziemi, gdy się trzęsie. Jego postać, górująca nad pieszym tłumem, była imponująca.



W średniowieczu tylko ludzie szlacheckie urodzeni mieli prawo dosiadać konia; Cortés, plebejusz, lubił wydawać rozkazy, zasiadając w siodle, gdyż pozycja ta wywyższała go, fizycznie i społecznie. Oskarżył Cholulan, że zamierzali go zabić, podczas gdy on przybył do nich z pokojowymi zamiarami i starał się tylko wykazać im, że błędzą, oddając cześć bożkom, popełniając akty sodomii i składając ofiary z ludzi. Malinalli starała się wiernie tłumaczyć jego słowa, a by zostać usłyszana przez wszystkich, podniosła głos najbardziej jak mogła. Mówiła w imieniu Malinche; przydomek, którym obdarzyli Cortésa, widując ich stale razem. Oznaczał on mniej więcej „pan Malinalli”, „właściciel Malinalli”.

– Malinche jest bardzo rozgniewany. Mówi: czy może uderzą w nasze plecy, jak piasek mieciony wiatrem, jak burza, jak podstępna fala? Czy może wystawią przeciw nam swoje tarcze, nad naszymi głowami wzniosą swe maczugi, podczas gdy Malinche przybył w pokoju? Podczas gdy jego słowo chciało tylko mówić im słowa wywyższające serca? On, który niesie słowo Pana naszego, nigdy się nie spodziewał, że zamierzacie go zabić. Jemu, który wszystko widzi i wszystko wie, nie jest tajne, że na polach wokół Choluli czają się wojownicy Meksyków, gotowi do ataku.

Wodzowie przyznali mu rację, lecz usprawiedliwiali się, mówiąc, że wypełniają tylko rozkazy Montezumy. Cortés przywołał wówczas prawa królestwa Hiszpanii, karzące zdradę śmiercią, i oznajmił, że dostojnicy muszą umrzeć. Malinalli nie zdążyła jeszcze przełożyć ostatnich słów, gdy wystrzał z arkebuza dał sygnał do rozpoczęcia rzezi.

W ciągu dwóch godzin z okładem Hiszpanie zakłuli, zarabali i zabili wszystkich Indian zgromadzonych na dziedzińcu. Malinalli ukryła się w jakimś kącie i oczami pełnymi przerażenia patrzyła, jak Cortés i jego żołnierze odcinają ręce, uszy, głowy. Dźwięk metalu tnącego ścięgnięta kości, krzyki, lamenty zmroziły jej serce. Piękny huipil, który miała na sobie, szybko poplamiał się krwią. Krew zalewała pióropusze, tuniki i płaszcze Cholulan, tworzyła na ziemi kałuże. Moździerz i arkebuzy zmieniły ich w krwawą miazgę. Nikomu nie udało się uciec. Nikomu nie udało się wspiąć na mury. Wszyscy zostali zamordowani i nie dano im najmniejszej szansy na

obronę.



Gdy już zabito wszystkich mężczyzn zgromadzonych na dziedzińcu, otwarto bramy i Malinalli uciekła w popłochu. W mieście pięć tysięcy Tlaxcalan i ponad czterystu Cempoalan sprzymierzonych z Cortésem mordowało mieszkańców i plądrowało ich domy. Malinalli przemknęła się wśród nich i pobiegła, zdjęta grozą, nad rzekę. Pijani nienawiścią sojusznicy Hiszpanów zabijali mężczyzn, kobiety i dzieci. Świątynia Huitzilopochtli, symbolizującego zwierzchnictwo Mexików, została podpalona.

Szał mordu, rabunku i okrucieństwa trwał dwa dni, po czym Cortés zaprowadził porządek. Zginęło w sumie około sześciu tysięcy Cholulan. Nielicznym pozostałym przy życiu kapłanom Cortés nakazał, by usunęli ze świątyń bożki, umyli ściany i podłogi i ustawili na ołtarzach krzyże i wizerunki Matki Boskiej.

Zdaniem Cortésa, ten spektakl grozy posłużył do tego, by Indianie zobaczyli i zrozumieli, że ich bożki zwodzą ich i oszukują, że nie potrafią ich ochronić, że bardziej niż bogami są demonami. Dla Cortésa konkwista była walką dobra ze złem. Prawdziwego boga z fałszywymi bogami. Istot wyższych z istotami niższymi. Był przekonany, że został obarczony świętą misją wyzwolenia wszystkich tych Indian z niewiedzy, w której żyli, a która sprawiała, że popełniali czyny, które uważał za dzikie i niecywilizowane.

Tysiące poćwiartowanych trupów, bez życia, bez celu, zawładnęło duszą Malinalli.



Jej duch nie należał już do niej, został pochwycony podczas bitwy przez te ciała, nieruchome, bezbronne, których nic nie mogło ocalić. Nikt, ani ze strony hiszpańskiej, ani indiańskiej, nie uczynił jej żadnej krzywdy, nikt jej nie zranił, nikt nie skaleczył, a jednak była martwa, a na jej barkach spoczywał ciężar setek zmarłych. W jej oczach nie było już życia, już nie błyszczały, jej oddech był ledwie słyszalny, jej serce już prawie nie biło. Od długiej chwili nie poruszył się żaden mięsień jej ciała. Cała skostniała, lecz przez myśl jej nie przeszło, by okryć się płaszczem. Była zresztą pewna, że nie znalazłaby ani jednego płaszcza, który nie byłby

poplamiony krwią. Październikowy ziąb przenikał jej kości, jej duszę. Przeżywszy prawie całe życie na wybrzeżu, błogosławiona słonecznym ciepłem, cierpiała z powodu zmiany temperatury, lecz jeszcze bardziej z powodu wspomnienia obrazów, których świadkiem były jej oczy.

Odgłos kroków sprawił, że podskoczyła ze strachu. Jej serce przygotowało się na najgorsze. Odwróciła się, by zobaczyć, kto idzie, i zobaczyła konia Cortésa, samego, bez jeźdźca, zmierzającego do rzeki, żeby się napić. On także wyglądał na przestraszonego. Jego pęciny były całe we krwi. Malinalli podeszła i spróbowała je umyć. Koń stał spokojnie, poddając się jej gestom. Gdy skończyła, pogłaskała go po łbie, przejrzała się w jego wielkich oczach i zobaczyła odbity w nich swój własny strach. Koń sprawiał podobne wrażenie, patrzył na Malinalli dziwnym wzrokiem. Żadne z nich nie rozpoznawało się, nie byli już tacy sami jak dawniej, wydarzenia ostatnich dni zmieniły oboje. Malinalli nie była już tą dziewczyną zachwyconą chrztem, którą koń oglądał kilka miesięcy temu. Widział niegdyś jej odrodzenie podczas tej ceremonii, teraz był świadkiem jej śmierci.

Nigdy już nie będzie ta sama. Począwszy od dziś, Malinalli była inna, rzeka była inna, Cholula była inna, Cortés był inny. Przypomniała sobie ręce Cortésa i wstrząsnęła nią dreszcz. Widziała ich okrucieństwo. Widziała, jak te ręce, które poprzedniego dnia ją pieściły, niosą śmierć. Już nigdy nie będzie mogła patrzeć na niego tak jak dawniej. Już nic nie pozostanie takie samo, już nie da się powrócić do tego, co było. Co mogło wytłumaczyć ten straszny mord, za który czuła się tak odpowiedzialna? Próbowwała usprawiedliwić się w myślach, mówiąc sobie, że nawet gdyby nie opowiedziała Cortésowi o rozmowie z kobietą z Choluli –która zaproponowała jej ucieczkę z nią i z jej synem, zanim dojdzie do rzezi Hiszpanów – dowiedziałby się o planach ataku z innych źródeł; więcej, zanim ona cokolwiek powiedziała, jego indiańscy sojusznicy donieśli mu, że na ulicach i na drogach szykowano zasadzki, zamaskowane doły z zaostrzonymi palami, na które miały nabić się konie, że niektóre ulice zamurowywano, że na dachach gromadzono kamienie, że ewakuowano kobiety i dzieci. Tlaxcalanie poinformowali go także, że nieopodal miasta stacjonuje armia wojowników Montezumy, licząca od piętnastu do dwudziestu tysięcy ludzi. Ta ostatnia informacja nie została potwierdzona. Pewne było tylko to, że Hiszpanie i Tlaxcalanie w ciągu dwóch dni zabili ponad sześć tysięcy Indian. A następną ofiarą mogła być ona.

Nie czuła się już bezpieczna przy nikim. O ile początkowo czuła się szczęśliwa z powodu mianowania „językiem” i obietnicy uwolnienia w zamian za pracę tłumaczki, teraz widziała, że nie ma żadnej gwarancji otrzymania upragnionej wolności. A zresztą, o jakiej wolności była mowa? Kto mógł jej zagwarantować, że jej życie zostanie uszanowane przez tych ludzi, którzy nie szanowali niczego? Co mógł jej oferować człowiek, który zabijał z takim okrucieństwem? Jaki bóg pozwalał na to, by w jego imieniu mordowano niewinnych? Nic już nie rozumiała. Nie widziała sensu niczego.

Wychowano ją po to, by służyła innym. Jako niewolnica bezustannie służyła swym panom. I potrafiła robić to skutecznie. Tłumacząc, wypełniła polecenia swych hiszpańskich panów, którym została подарowana i którym służyć było jej powinnością. Przez pewien czas była przekonana, że jej skwapliwość i zasługi jako niewolnicy, jako tłumaczki, pomogą jej nie tylko odzyskać wolność, za którą tęskniła, lecz także doprowadzić do zmiany na lepsze dla wszystkich. Naprawdę uwierzyła, że bóg Hiszpanów jest prawdziwym bogiem i nowym wcieleniem Quetzalcoatl, który przybył tu, by ogłosić, że nie potrzebuje ludzkiej śmierci na kamieniu ofiarnym. Jednakże zachowanie Hiszpanów sprawiło, że czuła się zrozpaczona, opuszczona, pozbawiona złudzeń, a przede wszystkim przerażona. Dręczyło ją pytanie: komu służyć? I najważniejsze: po co? Jaki sens miało życie w świecie, który tracił swą treść i znaczenie? Do czego dążyła?

Nie mogła już nawet szukać pociechy i schronieniau dawnych bogów, ponieważ poczucie sprawiedliwości kazało jej przyznać, że Quetzalcoatl nie uczynił niczego, by ocalić swych wyznawców. Podobnie jak Cholulanie do ostatniego momentu czekała na to, że się objawi, że zatopi miasto, że w jakiś sposób obroni swych wiernych, lecz nikt go nie zauważył. Nie odczuła jego obecności. Malinalli poczuła się całkowicie bezbronna. Wszystkie jej lęki, wszystkie jej winy chwyciły nagle za broń w jej sercu. Walczyły o uznanie, o docenienie, o akceptację. Odwieczny strach przed porzuceniem, przed utratą, przed byciem niepożądaną, niedowartościowaną, niebraną pod uwagę odżył ze zdwojoną siłą. Odrodził się! Miała nowe imię, nową tożsamość, nowych bogów, lecz nie wiedziała, jak ją ukarzą.

Czuła, tak, że zasługuje na karę, zawsze towarzyszyło jej to uczucie. Nigdy nie zrozumiała dlaczego, lecz za każdym razem gdy przekazywano ją kolejnemu panu, w głębi serca czuła, że dzieje się tak, gdyż jest w niej coś złego, co wynika być może z samego faktu bycia kobietą albo z czegoś innego, tak to czuła i tak to przeżywała, jako straszliwą karę. Teraz rozumiała coraz mniej, jej umysł nie ogarniał tylu zmian zaszłych w tak krótkim czasie. Tylu słów, tylu pojęć. Najtrudniejsze do zrozumienia było pojęcie demona jako wcielenia zła. Idea, że diabeł jest upadłym aniołem, odsuniętym od dobroci ojca niebieskiego i skazanym na życie w ciemnościach, który jednak posiadał jednocześnie moc unicestwienia wszelkiego stworzenia boskiego, wydawała się jej mętna. Skoro posiadał taką moc, dlaczego jej nie wykorzystywał? A skoro warunkiem jej użycia było to, że ludzie przyjmą go w swoich sercach, to znaczy, że nie jest tak potężny, jak twierdzi. Cóż zatem z niego za demon? Z drugiej strony, czy prawdziwy bóg byłby tak głupi, żeby stworzyć siłę zdolną go zniszczyć? I tak słaby, żeby bezustannie ponosić ryzyko, że jego dzieci zapomną o nim i zgrzeszą? Nie, ani w ząb nie pojmowała poglądu Hiszpanów na boga i na zło. Dla niej świat duchowy pozostawał w ścisłym związku z przyrodą i z kosmosem. Z jego rytmem, z ruchem gwiazd na nieboskłonie. Gdy słońce i księżyc narodziły się w Teotihuacanie, wybawiły ludzi z ciemności. Od swych przodków Malinalli wiedziała, że światło wydzielane przez te gwiazdy jest nie tylko fizyczne, lecz także duchowe, i że ich wędrówka po nieboskłonie służy do zobrazowania w myśli ludzkiej cyklu czasu i przestrzeni. Kontemplacja nieba, jak w zwierciadlanym odbiciu, stawała się kontemplacją własnego wnętrza, narzędziem przemiany, czymś, co działa się wewnątrz i zewnątrz, w niebie i na ziemi. Rok za rokiem, cykl za cyklem, tkając czas, splatając go niby wężową matę, włączając się tym samym w tkaninę życia, gdzie nie trzeba umierać, by pójść do nieba, gdzie wystarczy być mocno związanym z ziemią, by pozostawać w kontakcie z bogami, ponieważ ci, którzy skrupulatnie przestrzegają porządku wyznaczonego przez niebo, przekształcają się w słońce, przekształcają się w boga.

Nie rozumiała boga, którego nie można było zobaczyć –tak jak słońca – oczami ciała, boga, z którym nie mogła się połączyć, boga, który znajdował się poza czasem, w innym niebie, dokąd mieli dostęp tylko ci, którzy byli wolni od grzechu. Boga karzącego, boga niszczycielskiego, boga, którego się lękała. Którego nie chciała drażnić i do którego nie wiedziała, jak dotrzeć. Nie wiedziała, jak ma postępować. Czuła się jak proch rozproszony na wietrze, jak pióro bez ptaka, jak kolba bez ziaren kukurydzy, bez celu, bez życzeń, bez życia. Po co się narodziła? Po to, by pomóc Hiszpanom w zniszczeniu jej świata, jej miast, jej wierzeń, jej bogów? Wzbraniała się przed tą wizją. Musiał istnieć inny powód. Musiała znaleźć nowy sens życia. Spojrzeć na świat inaczej. Przestać doszukiwać się obrazu przeszłości w każdej rzecie, w każdym kamieniu, w każdej roślinie, w każdym huipilu, w każdej tortilli, którą podnosiła do ust. Musiała popatrzeć na te rzeczy oczami Hiszpanów. Od tego zależało jej życie, ponieważ doskonale rozumiała, że aż do tego momentu nigdy nie mówili o tym samym, nigdy nie widzieli tego samego, nigdy nie chcieli tego samego. Zmiana, której oczekiwała dla swego ludu, miała

polegać wyłącznie na zaprzestaniu składania ofiar z ludzi, cała reszta miała pozostać nienaruszona. Szczególnie kult Quetzalcoatl.



Oczywiście rozumiała, że nie chodzi o to, czego chce lub chciała ona. Nikogo nie obchodziło jej zdanie. Na razie zresztą jej też nie obchodził los Choluli, nie miała ochoty wracać tam i sprawdzać, co pozostało ze wspaniałego miasta. Przez długą chwilę siedziała w milczeniu u boku konia. Żadne z nich nie miało zamiaru podejmować jakiegokolwiek inicjatywy. Podleciało do nich kilka motyli. Miały skrzydła spryskane krwią. Malinalli zapłakała z suchymi oczami. Skończyły się jej lzy. Chciała uciec, nie widzieć, nie słyszeć, nie wiedzieć. Jej myśl uleciała w górę i spotkała się w miejscu poza czasem z babką i z dniem, w którym ta zabrała ją do sanktuarium motyli monarchów.



Był to bardzo szczęśliwy dzień. Początek wiosny. Malinalli ubrała się na białą, na szyi miała naszyjnik z piór, a na kostkach i nadgarstkach jadeitowe bransoletki. Była podniecona, ponieważ babka powiedziała jej, że motyle właśnie wróciły i że zabierze ją do nich. Dziewczynka nie rozumiała, dlaczego co roku odlatują i dlaczego wracają; zaintrygowana zapytała babki, czemu motyle nie siedzą w domu i nie można ich oglądać przez cały czas. Babka wyjaśniła, że to wielcy podróżnicy, podobnie jak wiele ptaków, i że to jest dobre, ponieważ przenoszenie się wraz z wiatrem sprawia, że organizm zmienia się, odradza, wzmacnia. Każda podróż motyli była walką o życie. Migrowały w poszukiwaniu pożywienia i klimatu pozwalającego na przetrwanie zimy, gdyż w przeciwnym wypadku umarłyby. Migrując, spełniały obietnicę życia.

Babka wyjaśniła też, że każdy człowiek ma w ciele wędrownego motyla umocowanego na kości miednicy. Ta kość jest jego przedstawieniem.

– Gdy kwiat otwiera się, przylatuje motyl, gdy przylatuje motyl, kwiat otwiera się – powiedziała babka.

Znaczyło to, że energia wytworzona przez motyla w określonym momencie uwalniała się ze źródła i wznosiła środkiem kręgosłupa aż do kości czaszki, przedstawiających sklepienie

niebieskie. Podróż ta była repliką podróży odbytej przez Quetzalcoatlą, gdy dokonał samospalenia i przemienił się w Gwiazdę Poranną. Człowiek, który odbył tę podróż, przemienił się w boga. A dla babki powrót motyli do sanktuarium zapowiadał powrót Quetzalcoatlą, który kiedyś nadejdzie zgodnie ze złożoną przezeń obietnicą.

Dziewczynka była niezmiernie podekscytowana wyprawą. Podniecała ją perspektywa zobaczenia wielu motyli. Jej matka sprzeciwiła się, twierdząc, że stara i ślepa kobieta z pewnością nie wytrzyma trudów długiej wędrówki, a tym bardziej opieki nad czteroletnim dzieckiem, ruchliwym i nieposłusznym, jakim – jej zdaniem – była Malinalli. Projekt nie doszedłby do skutku, gdyby nie argumenty babki, która stanowczo i energicznie oświadczyła, że w podróży do świętego miejsca nie ma znaczenia ani wzrok, ani wiek, że taka podróż nie męczy i że nikt nie powstrzyma jej i nie odwiedzie od tego pomysłu, ponieważ jest absolutnie konieczne, by Malinalli zobaczyła początek i wieczny powrót procesu tworzenia życia.

– A ja nie umrę w pokoju i nie odejdę z tego świata, zanim nie przebędę tej drogi z moją wnuczką.

Tak oznajmiła i pierwszego dnia wiosny, trzymając się za ręce, Malinalli i jej babka wyszły w kierunku sanktuarium. Wędrowały przez trzy dni, zatrzymując się na odpoczynek w kolejnych osadach. Po drodze dołączyły do grupy mężczyzn i kobiet zmierzających w tym samym celu do sanktuarium motyli. Udawali się na ceremonię inicjacyjną, podczas której co roku na wiosnę wzywa się wiatr i pełnię żywiołów, aby człowiek otrzymał od ziemi i od nieba bogactwa niezbędne do wypełnienia obowiązków.

Podczas pielgrzymki minęli najpierw osadę, gdzie mężczyźni i kobiety zajmowali się obróbką kamienia, umieszczaniem w kamieniu obrazu różnych bogów, różnych słońc, myśli, które zostaną tam na wieki, wykute. Zajęcie to zafascynowało Malinalli; nauczyło ją, że nawet to, co najtwardsze, może zostać uformowane i że wszystko na świecie poddaje się dobrej woli. Dziewczynka zapytała wówczas babki, czy wewnątrz ciała oprócz motyli są też kamienie takie jak te, na co babka odrzekła:

– Takie jak te? Hmm... Takich jak te nie ma. Ale czasem serce pewnych osób może przemienić się w kamień. Z jednej strony dobrze, żeby serce było stanowcze, żeby nie wzruszało się byle czym, ale nie powinno być zbyt twarde, bo wówczas zbyt wiele czasu będzie potrzebować, by zrozumieć prawdę, by zapłonąć miłością.

Tej nocy spały w tej wiosce. Malinalli zebrała kamienie różnych rozmiarów i schowała do sakwy, żeby zabrać je ze sobą.

Następnego dnia znalazły skamieniałą muszlę.

– Co to? – zapytała dziewczynka, wkładając skamielinę w dłoń babki, na co ta odrzekła bez wahania, jakby miała ją przed oczami:

– To wspomnienie wykute w kamieniu.

– Zrobili go tutaj?

– Nie – odpowiedziała babka ze śmiechem. – Zrobiła go matka ziemia, to jej dzieło.

Malinalli schowała skamielinę i poszła dalej. Niosąc tak ciężką sakwę, szybko się zmęczyła i udała, że nie może iść dalej z powodu silnego bólu kolan i stóp. Babka nie zwróciła na nią uwagi, nie zatrzymała się, nie zlitowała się nad nią, nie przerwała marszu. Malinalli poczuła, że babka może zniknąć jej z oczu na zawsze i pobięła co sił, by ją dogonić. Zapytała zdyszana:

– Cieszę się, że zobaczę motyle, ale czemu musimy tyle się nachodzić?

–

Zamiast odpowiedzieć, dziewczynka wyjęła ze swej niedużej sakwy wszystkie kamienie, podała rękę babce i poszły dalej.

Malinalli nie skarżyła się więcej, a na krótko przed dotarciem do celu odpoczęły od południowego słońca w jaskini, w której było echo. Dziewczynka odkryła ze zdumieniem, że echo zwraca jej słowa. Babka wyjaśniła, że dlatego właśnie tak ważny jest szacunek dla słowa. Każdy dźwięk, jaki wydajemy, unosi się w powietrzu, ale prędzej czy później powraca do nas. Jeśli chcemy, żeby w naszych uszach dźwięczały słowa właściwe i sprawiedliwe, musimy najpierw je wypowiedzieć.

Czwartego dnia doszły do sanktuarium motyli monarchów. Zastały tłum ludzi. Przybyli z różnych regionów, mówili różnymi dialektami, mieli różne stroje i różne zwyczaje, ale łączyło ich jedno: święta ceremonia obecności motyli, które swym lotem i połączeniem form kreśliły w powietrzu święte kodeksy, wieści od bogów i pieśni słyszane jedynie przez duszę. Cudowny był widok wielu tysięcy motyli zebranych na gigantycznym drzewie, latających wokół niego, rozświetlających powietrze. Bardzo przejęta Malinalli zapytała:

– Dlaczego te wszystkie motyle trzymają się razem?

– Trzymają się razem, żeby połączyć to, co odległe; trzymają się razem, żeby połączyć zimno i ciepło; trzymają się razem, żebyśmy mogli przeczytać to, co mówią nam swoją postacią. Naucz się ich barw i wzorów, naucz się ich ruchów, naucz się ich dźwięków, skup się na nich – poleciła babka.

Mała czteroletnia dziewczynka zapadła w stan podobny do transu, przestała spoglądać na motyle i wpatrzyła się w kodeksy, dzieła świętej sztuki, niby wysłanniczka bogów, niby wieszczka dziecko, jej umysł odczytał kodeksy, choć nikt nigdy nie uczył jej tego i choć nie miała przed sobą żadnego, ujrzała je wszystkie i pojęła ich znaczenie.

– Co widzisz? – zapytała babka.

– Kodeksy – odparła dziewczynka.

– A kiedy zamkniesz oczy, widzisz je nadal?

– Tak.

– Dobrze, to teraz otwórz oczy. Dalej tu są?

– Nie – zapewniła ją Malinalli.

– To znaczy, że powinnaś mieć otwarte oczy, powinnaś być czujna, żeby nie żyć iluzjami. Zobaczysz to, co będziesz chciała zobaczyć.

Teraz pragnęła zapomnieć.

Nie chciała, żeby obrazy zniszczenia Choluli utworzyły kodeks w jej umyśle. Chciała wymazać z pamięci dzień w temascalu, w którym uwierzyła, że Quetzalcoatl zwilżył w Cortésie wspomnienie boga. Już nie chciała mówić, już nie chciała patrzeć, już nie chciała odzyskać wolności. Nie za taką cenę. Nie poprzez śmierć tylu niewinnych, tylu dzieci, tylu kobiet. Wołała raczej, by z jej brzucha wypełzły węże, by owinęły się wokół jej ciała, by ścisnęły jej szyję, by odebrały jej dech, by obróciły ją w nicość, słowo w wilgoci języka, symbol, glif, kamień.



Rozdział szósty



Zięb był nie do wytrzymania. Maszerowali od wielu dni. Cortés uparł się, żeby dotrzeć do Tenochtitlanu za wszelką cenę.

Zmyliwszy wielokrotnie drogę, odkrył, że udzielano mu fałszywych informacji, i wbrew wszelkim radom postanowił przejść między wulkanami Popocatepetl i Iztaccíhuatl, strzegącymi wejścia do doliny Anahuac.

Przełęcz leżała na wysokości prawie czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Był listopad. Panowało zimno iście piekielne, o ile można użyć tego przymiotnika. Jak powiedziano Malinalli, w piekle gorzał wieczny ogień powodujący równie wieczną mękę, i to uczucie męki leżało u podstawy porównania mrozu z piekłem. Dziewczyna straciła już nadzieję na to, że przestanie jej być zimno. Zięb przenikał jej skórę, jej kości. Zęby szczękały, grzechotały jak dzwoneczki podczas świątecznych tańców. Kilku kubańskich służących towarzyszących Hiszpanom zmarło z zimna.

Malinalli była przekonana, że i na nią przyjdzie wkrótce pora. Czuła się bardzo zmęczona. Jej nogi były jak obce, nie czuła ich. Były całkowicie przemarznięte, zdrętwiałe. Do tego

Teraz czuła już tylko senność, dojmującą senność. Myśl o dniu słonecznym, ciepłym, radosnym wydawała się niedosiężna. Malinalli próbowała wyobrazić sobie ciepło ogarniające ciało w letni dzień, lecz nie była w stanie. Tak bardzo pragnęła się ogrzać! Nie wiedząc czemu, pomyślała o konikach polnych...



Każdego lata polowała na nie wśród łąnów kukurydzy. Uwielbiała chwycić je w locie i pakować do torby, z której wyjmowano je później we wspólnej kuchni i wrzucano do wrzącej wody. Umierały natychmiast. Płukano je potem wielokrotnie, aż woda była całkiem przezroczysta, i prażono w glinianym garnku. Na koniec skrapiano je sokiem z cytryny. Nie było nic smaczniejszego nad garść koników polnych w letni wieczór, po popołudniu spędzonym na zabawie i kąpieli w chłodnej wodzie rzeki.

W tym momencie zapragnęła całą duszą być konikiem polnym, dać się złapać i wrzucić do garnka z wrzącą wodą. Być gorącem, być ogniem, nie tym sinym i obolałym ciałem. Jeśli miała umrzeć, by to osiągnąć, niech tak będzie. Było jej wszystko jedno. Przynajmniej umrze ciepłutka, jej duch zostanie wchłonięty przez słońce, zjednoczy się z nim, a jej ciało pozostałe na ziemi posłuży jako pyszny posiłek. Mięso z niej zostanie zjedzone ze smakiem. Przyszło jej na myśl, że być może najlepiej smakowałyby Hiszpanom po przyprawieniu szczyptą sproszkowanego czosnku, tej rośliny, którą przywieźli ze sobą, którą tak często jadali i którą niekiedy czuć było z ich ust i spoconych ciał. Umierała z głodu! Oddałaby wszystko za jednego konika polnego. Ale na tym mrozie nie było szans na takie danie. Rozumiała dlaczego. W tym klimacie każda żywa istota myślała tylko o zakopaniu się w ziemi, a nie o skakaniu tu i tam. Malinalli nie była w stanie zrobić ani kroku więcej. Przypomniała sobie podróż odbytą w towarzystwie babki, a w jej głowie zabrzmiały słowa wypowiedziane wówczas przez nią: „Chodzenie jest twoim obowiązkiem... Chodzenie przemienia nas w motyle, które wznoszą się ponad ziemię i widzą, jaki naprawdę jest świat”.

Z własnego doświadczenia Malinalli wiedziała, że rytualna wędrówka rzeczywiście powoduje wyzbycie się ciała, duchowe uwznioślenie, złączenie z całym światem. Działo się to, gdy człowiek pokonywał ciało, gdy je zwyciężał, gdy ciało przestawało zawierać wędrowca i pozwalało mu złączyć się z pustką, w której wszystko istnieje, w której wszystko jest. Całkowicie wyczerpana Malinalli zamknęła oczy, by zobaczyć, czy może połączyć się z babką, lecz nie – ciało wciąż jeszcze ją więziło.

Cortés obserwował ją z daleka. Postanowili stanąć na popas, oczekując na powrót Diega de Ordaza, który z grupą ludzi wyruszył zbadać Popocatepetl. Cortés wysłał ich, by zobaczyli z bliska wulkan, o którym powiedziano mu, że wielokrotnie wybuchał w ciągu ostatnich lat. Dla większości konkwistadorów widok czynnego wulkanu był czymś nowym i nie chcieli przepuścić takiej okazji.

Ze swojego stanowiska Cortés przyglądał się najpierw obłokowi dymu i popiołów wydobywającemu się z wulkanu, po czym skierował wzrok na Malinalli i przyjrzał się jej uważnie.

Z zamkniętymi oczami, skulona pod płaszczem, który pożyczył jej Bernal Díaz del Castillo, wyglądała na małą i kruchą, lecz nie było nic bardziej mylnego. Hernán pomyślał o tym, jak bardzo godna podziwu jest ta kobieta. Nie poskarżyła się ani razu. Dotrzymywała im kroku bez słowa protestu. Nigdy nie chorowała, nigdy nie płakała, nigdy nie sprawiła im żadnego kłopotu. Nie mógł powstrzymać się od porównania jej z własną małżonką. Catalina Xuárez była kobietą słabą i chorowitą, nie mogła dać mu dzieci. Był pewien, że gdyby znalazła się w tym samym położeniu co Malinalli, dawno już byłaby martwa.

Ze swojej strony Malinalli obserwowała go kącikiem oka. Nie chciała rozmawiać z nikiem, więc udawała, że śpi. Nie miała siły nawet na to, by prosić o pomoc. Podobało się jej ciało Cortésa, jego muskulatura, jego siła, jego odwaga, jego śmiałość, jego talent przywódczy. Tysiące razy, stojąc na morskim brzegu i rozmyślając o wiecznym powrocie fal, pragnęła, by jej ojciec lub ktoś jak najbardziej do niego podobny powrócił i otoczył ją opieką. Zastanowiła się teraz, czy Cortés może być tym człowiekiem, i doszła do wniosku, że nie. Opieka, za którą

tęskniła, nie miała nic wspólnego z jej unicestwieniem jako osoby. Opieka i ochrona przed fałszywymi bogami i pogańskimi praktykami oferowana przez Hiszpanów wprowadzała ją i jej pobratymców raczej w stan bezbronności, przekształcała ich w nierozumne dzieci, które nie wiedzą, co jest dla nich dobre, i które potrzebują jakiejś wyższej istoty, by im to wyjaśniła. Nie ulegało wątpliwości, że pozostawanie pod opieką Cortésa oznaczało bycie kobietą słabą i głupią.

Była jednak tak znużona, że nie miała ochoty myśleć o niczym oprócz słońca. Nie na darmo mówili jej przodkowie, że na początku był ogień, a z niego narodziło się słońce, a wraz ze słońcem – ludzie. Słońce było ogniem w ruchu. Zamknęła oczy. Wysokość bardzo źle wpłynęła na jej organizm. Bolała ją głowa, brakowało powietrza. Czuła mdłości, jak niegdyś, gdy babka podnosiła ją, małą dziewczynkę, za ręce i kręciła nią w powietrzu, tak jak to robią latający ludzie z Papantli. Mężczyźni ci tańczyli w powietrzu, głową w dół, przywiązani za kostki u nóg do platformy umieszczonej na szczycie wysokiego słupa. Było ich zawsze pięciu; czterech, symbolizujących cztery strony świata, opuszczało się powoli, zataczając kręgi wraz z platformą, którą obracał piąty mężczyzna, zasiadający na szczycie słupa przedstawiającego centrum. Przed rozpoczęciem tańca pozdrawiali cztery strony świata i słońce. W dzieciństwie Malinalli widywała ich wielokrotnie i uwielbiała, gdy babka chwyciła ją za nogi i obracała w powietrzu jak latającego człowieka. Gdy babka się zmęczyła, ona sama wirowała i wirowała z rozpostartymi ramionami, dopóki nie zakręciło się jej w głowie i nie upadła na ziemię ze śmiechem.

Babka wyjaśniała jej, że przewraca się, ponieważ gubi swój środek, swoje centrum.

– Bóg jest w centrum. Tam, gdzie nie ma żadnego kształtu, żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Gdy poczujesz zawrót głowy, usiądź, przestań się ruszać, zamilknij, a napotkasz Pana naszego tam właśnie, w twoim niewidocznym centrum, które cię z nim łączy. Jesteśmy jak korale w naszym świecie stworzenia, powiązani ze sobą, każdy z nas zajmuje przyznane mu miejsce i czas. Gdy ktoś zbyt mocno ciągnie za jeden koniec, zaburza porządek niebiański, a wówczas niebo się otwiera, ziemia się otwiera. Gdy ktoś się odłącza, już nie upadnie tam, gdzie miał upaść, już nie pójdzie tam, dokąd miał pójść, już nie umrze tam, gdzie miał umrzeć, ponieważ jego nić się zerwała, ponieważ wszystko jest częścią wszystkiego, wszystko wpływa na wszystko. Dlatego bóg się smuci, kiedy go nie widzimy, kiedy go nie znamy, kiedy żyjemy zwróceniem do niego plecami.

– A gdzie jest bóg? Jak mogę go zobaczyć? – dopytywała się dziewczynka.

– Ujrzenie niewidzialnego jest skomplikowane, ale musisz wiedzieć, że ten, dzięki któremu żyjemy, jest w powietrzu, którym oddychamy, w każdej kropli wody, w każdym ciele, w każdym kamieniu, w każdej roślinie, w każdym zwierzęciu, we wszystkich formach swego stworzenia. A spotkać go można w centrum, w niewidzialnej części każdego z nich.

Każde ciało niebieskie jest połączone w swym centrum z innymi ciałami i z nami. To tak, jakbyśmy podczas stworzenia zostali wszyscy nanizani na srebrną nić. Zobaczyć w innych części niewidzialną to zobaczyć w nich boga. Słyszeć niewidzialne w ich słowach to słyszeć boga. Czuć wodę w powietrzu, zanim przerodzi się w deszcz, to czuć boga. Nieważne, że tak różne są twarze, na które patrzysz, że tak różny bywa śpiew, poza ciałem, poza słowami znajduje się obecność Pana Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok. Dlatego tak ważne jest przedstawienie, śpiew, ruch, wszystko to, co robimy. Jeśli robimy to w zgodzie z naszym centrum, w zgodzie z bóstwem, nabierze świętego charakteru; jeśli robimy to w mdłościach, pociągnie nas na ziemię, odrzuci nas na bok, odłączy nas od boga. Wszyscy wirujemy. Każdy człowiek, każdy księżyc, każde słońce, każda gwiazda tańczy wokół centrum. Ruch gwiazd jest święty, nasz także. Łączy nas to samo niewidzialne.

Jednakże najważniejszą nauką przekazaną przez babkę była ta, że w każdym przedstawieniu boga, czy to na papierze, czy to w kamieniu, w kwiecie czy w pieśni, bóg jest

obecny. Zanim zostało wymówione słowo, które go nazywa, on już był obecny. Obojętne, jaki kształt, jaki kolor, jaki dźwięk wybrano, by go przedstawić – jest obecny.

– Kochana Malinalli, zanim przybrałaś kształt w swym ciele, już byłaś połączona z bogiem i będziesz z nim połączona nadal, choć twój kształt zostanie wymazany z powierzchni ziemi.

I jeszcze:

– Kiedy umrę, kiedy znajdę się poza czasem, będzie ci trudno mnie zobaczyć, usłyszeć mnie, poczuć mnie i dlatego dam ci tę kamienną Tonantzin, ona jest naszą matką, jej możesz powiedzieć, co tylko zechcesz, ją możesz poprosić, o co tylko zechcesz. Ja będę tańczyć w niebie u jej boku, razem będziemy czuć nad tobą.

Malinalli wzięła do ręki gliniany naszyjnik, który ulepiły wspólnie z babką, i dotykając wizerunku Tonantzin, poprosiła, by pomogły jej odzyskać centrum. Przewyciężyć zawrót głowy i mdłości, od których zaczynała wariować. I odzyskać zdrowie. Znajdowali się niedaleko doliny Anahuac. Chciała ją zobaczyć. Chciała przeżyć. Gdy wypowiedziała to życzenie, jej oczy się zamknęły. Opuściła ciało, przekształciła się w myśl, w ideę, w sen. W tym stanie nic jej nie przeszkadzało stać się częścią otaczającego ją świata. Bez problemu splotła swą myśl z myślą pozostałych niewolnic i natychmiast ogarnęło ją poczucie niewyobrażalnej wolności. Ujrzała siebie unoszącą się w powietrzu na macie ze splecionych węży. Wiedziała, że znajduje się w innej rzeczywistości i że to, co widzi, stanowi część snu, lecz wiedziała również, że w tym śnie może znaleźć lepszą rzeczywistość, bardziej zbiorową niż indywidualną.

We śnie ujrzała siebie jako część zjednoczonego umysłu kobiecego śniącego to samo. Grupa bosych kobiet szła po lodzie rzeki, która zamarzała w momencie, gdy na powierzchni wody odbił się księżyc. Podeszwy ich stóp dotykały lodu i pękały, a rany tworzyły mapę nieba. Błaskksiężyc w pełni oświetlił mocno je wszystkie, a wówczas stały się jednym umysłem i jednym ciałem, stały się wszystkie jedną kobietą unoszącą się na wietrze i żywioną wiarą tych wszystkich kobiet, które chciały uwolnić się od koszmaru czucia, dotykania, płaczu, kochania, krwawienia, umierania, posiadania i utraty. W ciele owej zespolonej kobiety Malinalli ujrzała, że otacza ją

Odbiciem odbicia była Malinalli. Światło księżycy padało na jej plecy, a wydłużony cień wychodzący z ciała sięgał niemal do Kamienia Słońca ustawionego w Wielkiej Świątyni w Tenochtitlanie.

Postanowiła wymknąć się o północy, by w ciszy przemierzyć plac. Bez konieczności tłumaczenia i przekładania, bez konieczności udawania obojętności w obliczu bogów swoich przodków z obawy, by nie uznano jej za bałwochwalczynię. Przybyli do Tenochtitlanu poprzedniego dnia, a wspaniałość miasta wywarła na niej takie samo wrażenie jak na Hiszpanach, a może nawet większe. Wielka Świątynia stanowiła centrum. Przestrzeń, w której odbijała się wizja świata założycieli miasta. Z tego miejsca wybiegały wielkie drogi w cztery strony świata.

Tu, stojąc przed Kamieniem Słońca, Malinalli znajdowała się dokładnie w centrum miasta, w centrum kosmosu. Słońce, księżyc, ona i Kamień Słońca tworzyły jedną i niepodzielną całość. W tym momencie pojęła, że kamień jest wizerunkiem niewidzialnego. Kręgiem przedstawiającym nie tylko słońce i wiatry, siły stworzenia, lecz niewidoczne centrum.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyła niewidzialne i zrozumiała, że czas jest czymś innym, niż sądziła. Przywykła do postrzegania upływu czasu poprzez ruch gwiazd na nieboskłonie, poprzez cykle siewu i zbioru, życia i śmierci. Tkając, także czuła czas. Piękny huipil był oznaką

czasu włożonego w jego stworzenie, formy, w jakiej snuje się czas. W każdym hafcie Malinalli darowywała swój czas innym ludziom i dzieliła z nimi piękno. Ale dawno już nie miała czasu, by tkać, nie mówiąc o haftowaniu. Życie u boku Hiszpanów całkowicie zmieniło jej koncepcję czasu. Teraz mierzyła go dniami marszu, dniami walki, liczbą przetłumaczonych słów, liczbą knutych intryg i opracowywanych strategii. Odnosiła wrażenie, że jej czas nagle przyspieszył, nie zostawiając ani chwili na to, by mogła umiejscowić się w centrum wydarzeń. Był to zagmatwany okres, w którym czas jej i czas Cortésa nieubłaganie krzyżowały się, splatały, wiązały. Jakby wedle tutejszego zwyczaju podczas tradycyjnej ceremonii ktoś związał poły ich ubrań, by ogłosić ich mężem i żoną. Uczucie to dokuczało jej. Świadomość więzi pozbawiała ją wolności. Ona chciała iść w jedną stronę, a Cortés ciągnął w drugą. Był to związek wymuszony, o którym nie ona stanowiła, lecz który najwyraźniej miał naznaczyć ją na zawsze. Jej czas – nieodwołalnie – był teraz spleciony z czasem Cortésa. Jednakże tej nocy, stojąc przed Kamieniem Słońca, Malinalli czuła się zrównowazona, odnowiona, umiejscowiona w czasie, a raczej poza nim.

Owej nocy Montezuma także rozmyślał nad czasem, nad swoim czasem, nad cyklem, który dobiegał końca.

Podobnie jak Malinalli także i on nie mógł usnąć. Wszedł na balkon pałacu, a stamtąd zobaczył świetlistą postać kobiecą przemierzającą plac, odzianą na biało. Jego serce przeszył dreszcz. Zdawało się, że to Cihuacoatl, szósty złowróżbny omen, kobieta snująca się nocami po ulicach miasta, płacząca i lamentująca nad losem swych dzieci. Co więcej, bardzo wyraźnie usłyszał głos mówiący: „Dzieciątka moje, musimy stąd odejść! Dokąd was zabiorę? Czy jest takie miejsce, gdzie nie dosięgnie was ból?”. Poczuł, że skóra mu cierpnie, a krew stygnie w żyłach ze strachu. Chciał się poruszyć, lecz nie mógł. Spróbował się opanować, uspokoić umysł, lecz myśl przywoływała wyłącznie złowieszcze obrazy. Nie wiedząc dlaczego, przypomniał sobie dziwnego ptaka ze zwierciadłem na głowie, którego lata temu przynieśli do pałacu rybacy. Był to ostatni ze złowróżbnych znaków. Gdy Montezuma spojrział na niego, ów zniknął na zawsze. Próbował przypomnieć sobie, co ujrzał w zwierciadle, lecz zamiast tego wspomnienia w jego umyśle pojawił się niezwykle bolesny obraz: rześisty deszcz padał na Kamień Słońca. Każda kropla wody uderzająca w relief zmywała go, aż kamień stał się całkowicie gładki.

Montezuma zrozumiał, że śmiercią jest to wszystko, co nie ma nazwy, co nie ma miary, i zadrżał. Zdecydowanie jego czas dobiegł końca. Przeląkł się o los swych dzieci, zwłaszcza najmłodszych: Tecuichpo miała dziewięć lat, a Axayácatl – siedem.

W tej grze luster Malinalli poczuła tę samą trwogę co Montezuma o przyszłość swych dzieci, z tą różnicą, że ona jeszcze ich nie miała. Była to noc magii, światła, pokoju poprzedzającego wojnę. Malinalli powróciła do rzeczywistości, słuchając plusku ryb w kanałach otaczających wielki plac. Wydawały dźwięk podobny do tego, jaki czyni kamień wpadający do wody, lecz bardziej delikatny, ciągły, uspokajający. Podczas pełni w księżycowej poświacie widziały wyraźnie owady fruujące tuż nad powierzchnią i wyskakiwały z wody, by je połknąć.

Malinalli miała nadzieję, że w podobny sposób Tlazolteotl, „zjadaczka nieczystości”, pochłonie jej grzechy. Niezgodę, odrazę, inne uczucia, które uważała za grzeszne.

Nie zwlekając, przestąpiła próg świątyni Hutzilopochtliego, gdzie mogła przebywać bogini. Tlazolteotl nie miała własnej świątyni. Było to bóstwo lunarne, bogini namiętnej miłości, tej, która rozpętuje zmysły i łamie prawo, nakłaniając do cudzołóstwa, a zarazem wielka matka rodzicielka, patronka porodów, medycyny i łaźni parowych, obmywających i oczyszczających ciało i duszę. Obawiano się jej, ponieważ z jednej strony budziła namiętność i pożądanie płciowe, a z drugiej – mogła je odebrać i zesłać chorobę weneryczną. By uniknąć takiej kary, jeśli ktoś złamał normy współżycia płciowego, musiał wyznać to jednemu z kapłanów bogini, którzy w jej imieniu przyjmowali „nieczystość” i nakładali pokutę, od zwykłego czterodniowego postu po

przebicie języka kolcem agawy. Jako że post powinien zostać odbyty podczas czterech dni poprzedzających święto Cihuateteo – żeńskich bogiń zmarłych podczas porodu – którego termin upłynął niedawno, Malinalli sama uznała, że w jej przypadku odpowiednią karą będzie przebicie języka.



Oczywiście nie wyznała swej winy żadnemu kapłanowi. Nie mogła tego zrobić. Cortés nie zgodziłby się na to. Natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że nie pochwaliliby także okaleczenia języka. A co mogłaby podać na swoje usprawiedliwienie nazajutrz, nie mogąc mówić? Musiał istnieć jakiś inny sposób, by się ukarać, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Czuła się brudna, grzeszna. Chciała jak najszybciej obmyć duszę. Przybyła tu ukradkiem, o tej porze, w poszukiwaniu czegoś, co przyniosłoby jej oczyszczenie i ulgę. Ostatnie wydarzenia oszołomiły ją, wytrąciły z równowagi, pozbawiły kontroli nad sobą.

Przede wszystkim dręczyło ją to, że podczas pierwszego spotkania Montezumy i Cortésa, tłumacząc ich słowa, patrzyła prosto w oczy Montezumie, najwyższemu władcy. Największemu królowi. Nogi uginały się pod nią. Oglądając jego twarz, przekraczała najsurowsze zakazy. Doskonale wiedziała, że jest to zabronione pod karą śmierci, a jednak uczyniła to. Spojrzenie, którym ją obrzucił, pokazywało, że władca absolutnie nie aprobuje jej postawy, lecz nie okazał swego niezadowolenia ani gestem, ani słowem i pozwolił, by przełożyła jego mowę powitalną. Zrobiła to z najwyższym szacunkiem. Możliwość tłumaczenia słów Montezumy uważała za największy zaszczyt, jaki spotkał ją w życiu. Za to nigdy nie spodziewała się, że Montezuma przekaze swój tron Cortésowi i że to praktycznie ona, jako tłumaczka, odda królestwo Mexików w jego ręce. Nie wyobrażała sobie również, że czyniąc to, odczuje tak głęboki ból. Smuciło ją, że jej wiara jest tak mała w porównaniu z wiarą władcy. Widok cesarza, człowieka wychowanego do sprawowania rządów, oddającego je bez mrugnięcia okiem, głęboko ją poruszył. Była świadkiem głębokiej wiary Montezumy, jego wewnętrznej wielkości pozwalającej wyzbyć się całej ogromnej władzy w obliczu ducha: ducha Quetzalcoatla. Odkrycie jego dumy z bycia królem, któremu przypadło w udziale oglądać powrót Quetzalcoatla, wstrząsnęło nią. Tylko człowiek, który przeszedł przemianę duchową, mógł dokonać podobnej rzeczy.



Oglądanie Montezumy, który ofiarowywał swe królestwo nie jakiejś osobie, nie jakiejś twarzy, nie jakiejś ambicji, lecz duchowi Quetzalcoatl, było przeżyciem mistycznym i świętym. I Malinalli zrozumiała w głębi serca, że Quetzalcoatl naprawdę jest mu za to wdzięczny, naprawdę przyjmuje jego dar, gdziekolwiek by przebywał w tym momencie, choćby nie przebywał w ciele Cortésa. Tłumacząc mowę Montezumy, Malinalli także doznała przemiany duchowej i zachowała się jak prawdziwa pośredniczka między tym a tamtym światem. Donośny głos wydobył się z jej piersi i powiedziała Cortésowi:

– O panie nasz, witaj. Przybyłeś do swojej ziemi, do swojego ludu, do swojego domu, Meksyku. Przybyłeś, by zasiąść na swoim tronie... który ja, w twoim imieniu, obejmowałem przez kilka dni. Inni władcy, którzy już nie żyją, zasiadali na nim przede mną: panowie Itzcoatl, Montezuma Stary, Axayácatl, Tizoc i Ahuizotl. O, jakże krótko strzegli go dla ciebie, panowali nad twym miastem, nad Meksykiem. Pod ich mieczem, pod ich płaszczem chronił się zwykły lud. O, gdyby któryś z nich mógł to widzieć, gdyby widział ze zdumieniem to, co mi się przydarza! To, co ja teraz widzę! Ja, pozostały, ostatni z naszych władców. Panie mój, nie śpię, nie patrzę we śnie. Na własne oczy widzę twe oblicze i twoją osobę. Od wielu dni czekałem na to. Od wielu dni moje serce spoglądało w stronę, z której przybyłeś. Wyłoniłeś się z chmur i spośród ciemności miejsca ukrytego przed wszystkimi. To właśnie przekazali nam królowie, którzy odeszli: że masz powrócić, by objąć panowanie nad tymi królestwami, że masz powrócić, by zasiąść na swym tronie, na swym stolcu. Teraz widzę, że jest prawdą, co nam przekazali. Witaj, panie nasz! Doznałeś wielkiej fetygi, przybywając z tak daleka. Wypoczywaj teraz! Tu jest twój dom i twoje pałace: rozgość się i odpocznij w nich ze wszystkimi kapitanami i towarzyszami, którzy przybyli z tobą.

Wielka cisza zapadła w odpowiedzi. Cortés nie wierzył własnym uszom. Bez jednego wystrzału stawał się panem tych ogromnych i bogatych ziem. Ponad cztery tysiące wielmożów i dostojników azteckiego państwa, przybranych w najbardziej odświętne stroje, przystrojonych w najlepsze skóry, pióra i kamienie szlachetne, także oniemiało ze zdumienia.

Cortés poprosił Malinalli, by przełożyła w odpowiedzi następujące słowa:

– Powiedz Montezumie, żeby się nie trapił, żeby się nie lękał. Bardzo go miłuję, podobnie jak wszyscy, którzy ze mną przybyli. Od nikogo nie dozna krzywdy. Bardzośmy kontenci z tego, że go oglądamy, że go poznaliśmy. Pragnęliśmy tego od wielu dni. Oto spełnione jest nasze pragnienie.

Wówczas Montezuma ujął Cortésa pod ramię i wraz z całym orszakiem, ze swym bratem Cuitlahuakiem, Cacamą, władcą Texcoco, Tetelepanquetzalem, władcą Tlacopan, Itzcuahtzinem, władcą Tlatelolco, i wieloma innymi wielmożami ruszył w stronę Tenochtitlanu.

Tenochtitlan dwukrotnie przewyższał obszarem jakiekolwiek miasto Hiszpanii. Na jego widok Cortés stracił mowę. Nigdy przedtem nie widział takiego miasta, zbudowanego pośrodku

jeziora, otoczonego szerokimi kanałami, po których mknęły setki łodzi.

Olśniły go lustra wody. Oczarowała prosta i majestatyczna architektura, której projekt zdawał się powstać w gwiazdach. Architektura ta zarazem poruszała go i budziła gniew, bo nigdy nie umiał wyobrazić sobie czegoś podobnego. Widok okazałych gmachów wzruszał go, zachęcał do oddania się miastu, przytulenia się do niego, zanurzenia w jego wodach, zamieszkania w jego pałacach, a jednocześnie budził zazdrość, negację, żądzę sprawienia, by wyparowało, by się ulotniło, chęć wymazania go z powierzchni ziemi. We wnętrzu Cortésa rozgorzała walka między szacunkiem a pogardą. W miarę jak zagłębiał się w ulice Tenochtitlanu, jego podziw i gniew rosły. Architektura Meksyków dowodziła wysokiego stopnia rozwoju kulturalnego tej wielkiej cywilizacji, napawała czcią, zdumieniem, respektem. Budowle tchnęły harmonią, siłą, wspaniałością.

Cortés i jego towarzysze zostali zakwaterowani w pałacu Axayácatla, poprzedniego króla, ojca Montezumy. Był to prostokątny budynek o jednej kondygnacji, z wieloma wewnętrznymi dziedzińcami i ogrodami. W niektórych znajdowały się kolekcje egzotycznych roślin, wybiegi dla dzikich zwierząt i ptaszarnie, gdzie Montezuma lubił polować z dmuchawką na ptaki. Architektura pałacu zachwycała Cortésa. Gdy tylko rozgościł się w swojej komnacie, posłał po Malinalli i kochał się z nią bez opamiętania, aby uczcić swój triumf, a zarazem zanegować go. Aby nasycić pragnienie równoczesnej rozkoszy i ataku. Zbliżenia się do życia pałającego w Malinalli i kontemplowania śmierci.

Całował jej usta, piersi, brzuch, uda, centrum, by zaspokoić wolę posiadania tak wściekle ambitną, że prawie ją przełamał, zranił, skaleczył. Gdy skończył, Malinalli nie chciała spojrzeć mu w oczy, wyszła z pałacu i obmyła się w jednym z kanałów. Odczekała później, aż nadejdzie północ, i wyruszyła po kryjomu do świątyni Huitzilopochtliego. Pokonała sto czternaście stopni piramidy za jednym zamachem, nie zatrzymując się, by zaczerpnąć tchu. Było jej pilno wypowiadać się i odbyć pokutę. Czowała, że mimowolnie zgrzeszyła. Że nie jest normalne to, co się jej przydarzyło, i że nie jest miłością uczestniczącą w odradzającej energii życia to, co przyjęła w swój brzuch.

Czowała, że nie zasługuje na takie traktowanie. Nigdy dotąd nie zaznała takiego upokorzenia. Czy tak powinni zachowywać się bogowie? Nie. Najgorsze było to, że nie mogła powiedzieć Montezumie, że popełnił błąd. Że Hiszpanie nie są tym, za kogo ich uważa, że nie zasługują na rządy nad tym miastem, że nie będą wiedzieli, co z nim zrobić. Kolejne dni utwierdziły ją w tych podejrzeniach. Cortés zajął się rabunkiem – bo nie można było tego nazwać w inny sposób – wszystkiego, co był w stanie zrabować.

Wspaniałe wyroby ze złota i kamieni szlachetnych zostały w większości przetopione na sztaby, rozbite; arcydzieła sztuki zdobniczej zniszczono, wyrwano z nich całe złoto; cudowne pióropusze, płaszcze, tarcze zdobione piórami wyrzucono ze skarbców jako bezużyteczne, rozpadły się później lub zostały zjedzone przez mole.

Malinalli ogarnęła potrzeba ratowania, obrony, zapobieżenia temu straszliwemu dziełu zniszczenia. Nie wiedziała, co czynić. Wydało się jej nagle, że ona sama i cała jej kultura są w najwyższym niebezpieczeństwie. Być może właśnie dlatego zaczęła cenić rzeczy, których przedtem nie dostrzegała. Jej wrażliwość wyostrzyła się, piękno i monumentalność miasta wprawiły ją w stan zakochania. Budziła się z radością, że znowu je zobaczy, że przebiegnie jego ulice, że popłynie czółnem lub pójdzie pieszo, że będzie w nim, z nim, dla niego. Bezustannie szukała okazji, żeby zostać sama i wędrować po mieście do woli, gdzie tylko przyjdzie jej ochota.

Miejscem, które pociągało ją najbardziej, był targ w Tlatelolco. Nad tym ogromnym placem i tłumem ludzi wymieniających produkty unosił się szum podobny do tego, jaki wydaje

rój pszczół. Brzęczenie głosów było słyszalne na ponad milę. Wielu żołnierzy Cortésa bywało w rozmaitych stronach świata, w Konstantynopolu, i w całej Italii, i w Rzymie, i mówili, że „takiego placu, tak pięknie rozplanowanego, w takim porządku i tak pełnego ludzi nie widzieli jeszcze”.

Po raz pierwszy Malinalli odwiedziła targ w Tlatelolco w towarzystwie Cortésa, lecz jako że przebywała tam w charakterze „języka”, nie skorzystała zbyt wiele. Jej stopy same przystawały przy każdym z tysiąca straganów z owocami, pragnęła kupować, jeść, rozkoszować się smakiem, ale nie mogła. Musiała towarzyszyć swemu panu. Następnego dnia, korzystając z tego, że miał odbyć naradę z kapitanami, poprosiła o pozwolenie na opuszczenie pałacu i wróciła na plac, by przemierzyć go powolutku, oglądając wszystko, dotykając wszystkiego, kosztując wszystkiego.

Nie posiadała się z zachwytem. Odkryła nowe ptaki, nowe owoce, nowe rośliny. Wszystko ją pociągało, wszystko ją cieszyło, wszystko pobudzało jej myśl, bez przerwy wyobrażała sobie, jakie dzieła można wykonać z piór i metali szlachetnych, co można zabarwić koszenilą, co można utkać z kłębków bawełny. Na jednym ze straganów wymieniła ziarno kakao za garść utęsknionego przysmaku: koników polnych, i pałaszowała je z radością, przechadzając się po największym targowisku imperium. Podziękowała bogom, że pozwolili jej przeżyć ziąb panujący na wulkanicznej przełęczy i że może teraz oglądać i napawać serce widokiem tej metropolii, tego bezkresnego targu.

Wymieniano tu wszystkie produkty pochodzące z najdalszych zakątków ziem pozostających pod panowaniem Mexików. Kupcy przemierzający szlaki handlowe z ciężkimi tobołami pełnymi towarów nieodmiennie spotykali się na targu w Tlatelolco. Wizyta Malinalli przypadła na moment szczytowego rozwoju wymiany handlowej osiągniętego za panowania Montezumy.

Lecz nagle dziewczyna przystanąła jak wryta, jej usta stały się suche, żołądek podszedł do serca, radość zniknęła, jak ręką odjął. Pomieszany zapach skór króliczych, piór kwezala, liści chipilinu i świętego pieprzu, żółwich jaj, manioku, batatów z miodem pszczelim i wanilią przywołał najsmutniejsze wspomnienie dzieciństwa. Wspomnienie dnia, w którym matka oddała ją kupcom z Xicalango.

Malinalli została wystawiona na sprzedaż jako niewolnica właśnie pośród tych wszystkich aromatów. Strach paraliżował jej drobne ciało. Wielkie błyszczące oczy wpatrzyły się w stragan, gdzie sprzedawano noże z obsydianu, uszy łączyły treść targów o jej osobę, cenę, jaką oferowali za nią majańscy kupcy przybyli do Xicalango z dzbanami miodu. Zabołało ją, że dawali znacznie więcej za pióra kwezala niż za nią. Owa część przeszłości dokuczała jej tak bardzo, że postanowiła wymazać ją z pamięci. Narysowała w myśli nowy kodeks, w którym była kupującą, nie przedmiotem transakcji. Mimo tego nieprzyjemnego wspomnienia wizyta na targu stanowiła jej ulubioną rozrywkę. Starła się tylko unikać straganów z niewolnikami i nie dawać dostępu złym wspomnieniom.

Tlatelolco było sercem imperium. Jego żyłami – szlaki handlowe, którymi krążyły najcenniejsze i najróżniejsze produkty pochodzące z wymiany handlowej i danin nakładanych na prowincje podbite przez Mexików. Wszystko płynęło do centrum, do Tenochtitlanu, do serca, do rynku w Tlatelolco. To ogromne serce rejestrowało puls wydarzeń i odbijało je w każdej zawieranej tu transakcji.

Tutaj dowiedziała się Malinalli, że cena bawełnianych płaszczy i huipili podskoczyła, ponieważ Tlaxcalanie od czasu sojuszu z Cortésem zerwali układ o współpracy i przestali składać daninę. Dowiedziała się o wzburzeniu ludzi wywołanym przyjęciem Cortésa przez Montezumę jak wielkiego pana oraz faktem, że władca nie kiwnął palcem, by zapobiec zawłasczeniu

skarbów przechowywanych w pałacu Axayácatla. Przybysze zagrabili nie tylko klejnoty dawnych królów, lecz i samego Montezumy. Jego osobisty skarb, zgromadzony przez lata panowania, zawierający najpiękniejsze wyroby z piór i ze złota – pióropusze, ozdoby nosa, napierśniki, bransolety, nagolenniki, nakolanniki, diademy, opaski, złote dzwoneczki na kostki nóg –padł łupem rabusiów.

Na dziedzińcu pałacu Axayácatla Hiszpanie wrywali złoto z owych dzieł sztuki i przetapiali na sztaby. Pod koniec dnia patio przypominało kurnik, gdzie oskubano setki rzadkich ptaków. W powietrzu latały pióra, sieroty sztuki. Latały wszędzie wraz z marzeniami tych, którzy zaprojektowali piękne przedmioty, tych, którzy je wytworzyli. Służący zbierali je z szacunkiem, a następnego dnia zanieśli na targ i sprzedali jako pochodzące z pióropuszy władców – Montezumy, jego ojca Axayácatla, innych królów. Ludzie kupowali te drogocenne pamiątki, lecz ich gniew rósł i rósł, tak jak cena noży i strzał z obsydianu.

Tutaj Malinalli namacalnie odczuła irytację dumnych Tenoczków, którzy nie rozumieli, którzy nie mieli pojęcia, jak to możliwe, że cesarz Montezuma, wielki pan, nie potrafi uporać się z łaknieniem złota, chorobą dręczącą cudzoziemców. Komentarze, szeptki, gniewne okrzyki przybrały na sile w dniu, gdy Hiszpanie wzięli Montezumę jako zakładnika, mszcząc się za śmierć czterech rodaków z ręki Quauhpopocatzina, władcy Coyoacan, który chciał udowodnić, że cudzoziemcy nie są bogami, że umierają jak wszyscy ludzie, choć z mniejszą chwałą. Tego dnia cena strzał z grotami z obsydianu, maczug i tarcz sięgnęła zenitu. Tenoczkowie szykowali się do wojny.

Targ, jak każde serce, jak każdy żywy organizm, żył własnym życiem: spał, budził się, mówił, kochał, nienawidził. Jeśli budził się w wojowniczym nastroju, było czuć, że jest rozjuszony, wulgarny, brutalny. Jeśli przeciwnie, wstawał w pokoju, słyszało się, że jest radosny, roześmiany, roztańczony. Nastrój mógł zmienić się z dnia na dzień, a począwszy od uwięzienia Montezumy, wydarzenia potoczyły się z zawrotną szybkością. Gdy Montezuma uroczyście przysiągł posłuszeństwo królowi Karolowi i uznał jego zwierzchnictwo nad narodem Mexików, targ rozbrzmiał wyzwiskami, rozległ się płacz wściekłości i bólu. Gdy Cortés zabronił składania ofiar z ludzi, wspiał się do świątyni Huitzilopochtli, rozpedził strzegących ją kapłanów, żelaznym drągiem strącił złotą maskę z głowy posągu, rozbił go i umieścił w jego miejscu wizerunek Maryi Panny, targ ukazał wszystkie oblicza gniewu.

Najtłumniej oblegano stragany z grudkami kopalu. Wszyscy chcieli nabyć wonną żywicę, by odprawić w domurytuał przebłagalny. Targ dyszał nienawiścią, lecz po kilku dniach odzyskał spokój. By uśmierzyć nastroje, Cortés zezwolił na obchody święta Toxcatl, wielkiej dorocznej ceremonii Mexików ku czci Huitzilopochtli. Targ natychmiast odetchnął i odprężył się. Rozpoczęły się przygotowania do obchodów święta. Cena amarantu służącego do wyrobu ciasta, z którego lepiono wizerunki bogów, poszybowała w górę, podobnie jak cena piór kolibra służących do ich dekoracji. Huitzilopochtli, solarne bóstwo Mexików, zrodził się z pióra złożonego w brzuchu Pani Coatlicue, swej matki, w związku z czym przedstawiano go ozdobionego najpiękniejszymi piórami.

Malinalli także czuła entuzjazm na myśl o nadchodzącym święcie. Miała je oglądać po raz pierwszy w życiu.

Cortés zabronił składania ofiar z ludzi podczas ceremonii, co oznaczało, że nie będzie żadnego krwawego widowiska. Malinalli słyszała, że w tej ważnej ceremonii uczestniczą wszystkie osoby szlchetnego urodzenia i wszyscy wielcy wojownicy. Przed Wielką Świątynią wykonują taniec węża stanowiący inwokację do energii Coatlicue, matki Huitzilopochtli. Po kilku godzinach tancerze wpadają w swoisty trans, w egzaltację ducha, poprzez którą łączą się z siłami tworzącymi życie, a wówczas taniec odbywa się na dwóch płaszczyznach: na ziemi i na

niebie. Wąż tańczy i lata jednocześnie.

Malinalli uważała za zaszczyt możliwość oglądania obchodów tego święta. Cieszyła się, że przebywa w wielkim Tenochtitlanie, że stanowi jego część. Niekiedy, wracając z targu, nie mogła uwolnić się od myśli o tym, jak bardzo inny mógł być jej los, gdyby zamiast trafić w ręce kupców z Xicalango, została oddana na służbę na dwór Montezumy. Z radością pełniłaby funkcję jednej z jego kucharek, dostąpiłaby przywileju przyrządzania dla niego jednego z trzech setek dań, jakie gotowano codziennie w pałacu. Swą sztuką kulinarną oczarowałaby go do tego stopnia, że zamiast oddać danie któremuś z poddanych po skosztowaniu go, musiałby spożyć je do końca, zniewolony mieszanką smaków.

Równie interesująca byłaby praca artysty: wymyślanie klejnotów dla władcy, doświadczenia z metalami, topienie złota i srebra, by przekształcić je w bransolety na ręce i na nogi, w nausznicę, w ozdoby nosa. Po namyśle dochodziła jednak do wniosku, że największe upodobanie znalazłaby w sztuce tworzenia z piór. W wyrobie płaszczy i pióropuszy, które najdostojniejszy pan przywdziewałby, przewodnicząc ceremoniom w Wielkiej Świątyni. W sprawianiu, by pióra – te cienie bogów – przemieniły się w słońca, które olśniłyby słońce samo, Pana Huitzilopochtli!

Malinalli postanowiła ozdobić jeden ze swych huipili aplikacją z piór specjalnie obmyśloną na tę okazję. Podchodząc do straganu, gdzie sprzedawano cenne pióra, zobaczyła, że ludzie tłoczą się wokół pewnego mężczyzny. Był to jeden z gońców, którzy przynosili z wybrzeża świeżą rybę na stół Montezumy. Oznajmiał krzykiem, że przyplłynęły statki z innymi Hiszpanami, którzy twierdzili, że szukają Cortésa, żeby go uwięzić.

Tym sposobem Malinalli dowiedziała się prędzej niż jej pan o przybyciu ekspedycji karnej Pánfila de Narváeza.

Pánfילו przybywał w złym momencie. Sytuacja polityczna była delikatna. Jednakże Cortés nie miał innego wyjścia: musiał stawić mu czoła, powstrzymać go, nie dać się uwięzić i powiesić za wzniesienie buntu, za niesubordynację wobec Diega Velázqueza, gubernatora Kuby, który wysłał go w podróż odkrywczą, a nie zdobywczą.

Przed wymarszem na wybrzeże Cortés powierzył władzę nad miastem Pedrowi de Alvarado. Gdy oznajmił Malinalli, że wyruszają naprzeciw oddziałowi Narváeza, poczuła ogromne rozczarowanie i frustrację. Wiele razy w życiu musiała porzucać to, co najbardziej kochała lub co sprawiało jej największą radość. Rozpocząć od zera budowę nowego świata. Porzucać wszystko, by otrzymać wszystko. Dotarłszy do Tenochtitlanu, sądziła, że jej pielgrzymka dobiegła końca. Że wreszcie będzie mogła zapuścić korzenie, tak po prostu, nie robiąc wokół tego wrzawy, nie robiąc zamieszania. Że będzie mogła żyć w spokoju. Nie wiedziała, że sprawy miały się skomplikować w najwyższym stopniu.

Cortés wyszedł z Tenochtitlanu w kierunku Cempoali, gdzie rozbił obóz Narváez. Na miejscu dowiedział się, że ów kwateruje w głównej świątyni. Znając doskonale teren, postanowił zaatakować w nocy, kiedy się go najmniej spodziewano. Tropikalna ulewa o mały włos nie pokrzyżowała mu szyków, lecz w sumie przyczyniła się do zwycięstwa. Postanowił spaść na przeciwnika jak ów deszcz, z zaskoczenia, nie czekając na dogodny moment. Wysłał osiemdziesięciu ludzi do świątyni, a resztę armii, Malinalli, konie i zapasy pozostawił na obrzeżach Cempoali.

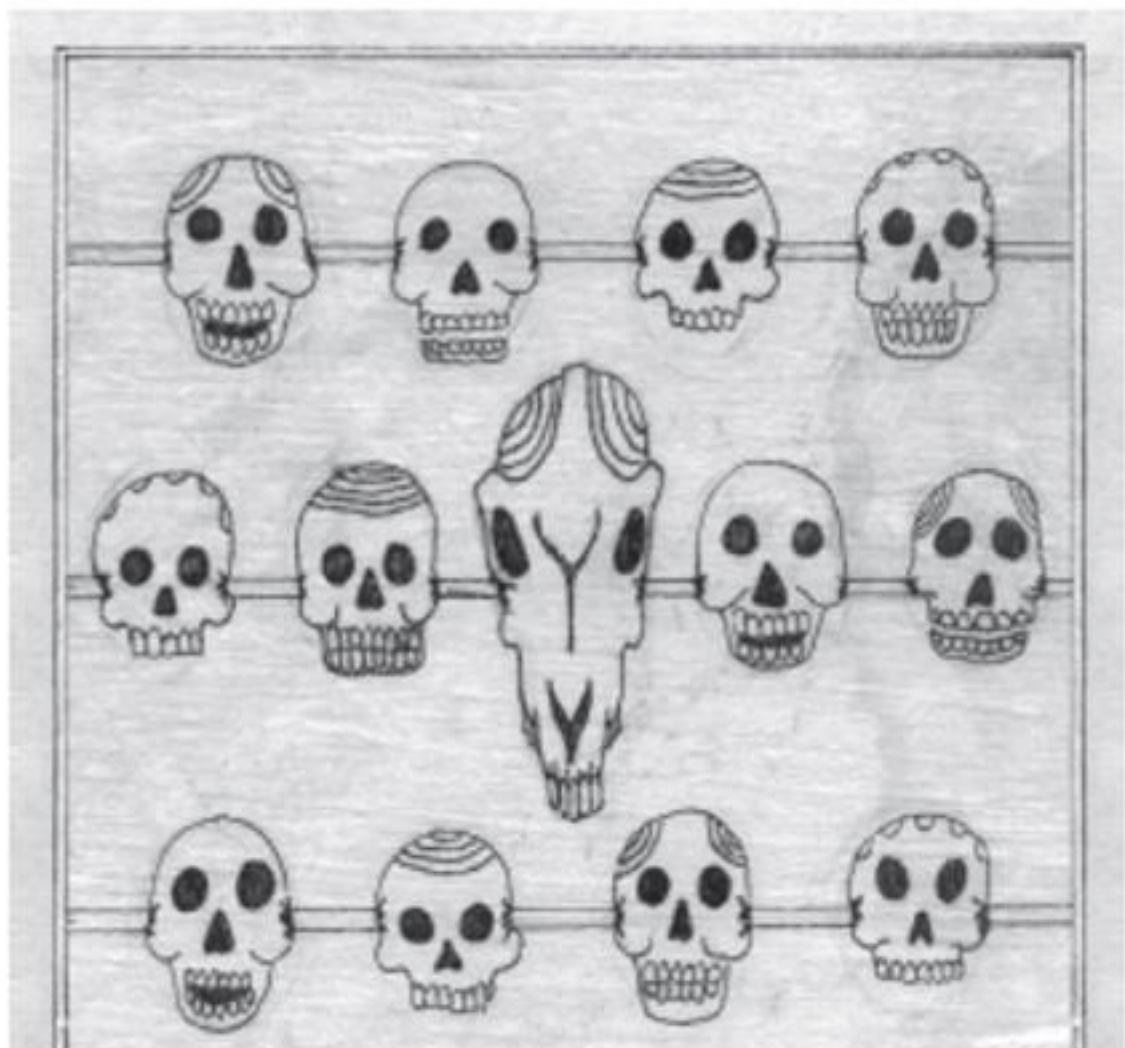
Dla Malinalli była to noc burzliwa pod wszelkimi względami. Poprzedniego dnia dostała miesiączki, konie wyczuwały to i zachowywały się niespokojnie. Musiała odejść daleko od nich i od mężczyzn, by wyprać ubranie poplamione krwią, nie drażniąc zwierząt. Pomyślała, że to

raczej księżyc, a nie słońce, żywi się krwią, i to krwią wszystkich menstruujących kobiet, ponieważ zaobserwowała, że jej okres wypada zawsze w czasie pełni księżyca; w ten sposób odkryła, że cykl księżyca i cykl miesięczkowy są identyczne. Blask księżyca rozlewał krew w intymnych częściach jej ciała. Blask księżyca – blask, który tej nocy miał przyświecać triumfowi albo tragedii, pełni lub klęsce, ekstazie lub śmierci – srebrzysty blask sprawiający, że morze występuje z brzegów, że wszystkie płyny w ciele nabierają czucia i intonują krwawy hymn, inaugurujący życie, odnawiający życie, był jedynym, który mógł stać się jej sprzymierzeńcem.



Ofiarowała swą krew księżycowi – choć był ukryty za płaszczem szarych chmur – by tej nocy stanął po stronie Cortésa. Nie chciała nawet myśleć o tym, co stałoby się z nią, gdyby przegrał. Księżyc najwyraźniej wysłuchał jej i przyjął jej ofiarę. Spojrzał na ekstazę jej płynów i odpowiedział przychylnie. Owej majowej nocy Cortés wziął Narváeza z zaskoczenia i odniósł miażdżące zwycięstwo, choć niespełna trzystu ludzi walczyło z ośmioma setkami żołnierzy Narváeza, z których większość po bitwie przyłączyła się do Cortésa, olśniona zasłyszczanymi opowieściami o złocie, którego w Tenochtitlanie jest pod dostatkiem dla każdego.

Cortés nie miał jednak czasu, by świętować wiktoryę, gdyż otrzymał wiadomość, że w mieście wybuchł bunt spowodowany masakrą, jaką urządził Pedro de Alvarado w Wielkiej Świątyni.



Rozdział siódmy



Tej nocy i podczas wielu następnych Malinalli nie zmrużyła oka.

Dręczyły ją obrazy rzezi, której nie widziała. Od dziecka rozwinęła w sobie technikę zasypiania polegającą na zamknięciu oczu i malowaniu kodeksu przy użyciu wyobraźni. Gdy w jej umyśle zaczynały pojawiać się twarze, postaci, glify, znaki, wiedziała, że jest w świecie snów, w fantastycznym świecie należącym wyłącznie do niej. Było to miejsce spotkań z najbardziej świetlistymi myślami, lecz także z najbardziej przerażającymi. I to one zapanowały w tej krainie po wysłuchaniu opowieści o tym, co wydarzyło się w Tenochtitlanie podczas jej nieobecności. Obrazy napływające przed oczy, gdy przymknęła powieki, przedstawiały głowy, nogi, ręce, nosy i uszy fruwające w powietrzu. Nie widziała rzezi w Wielkiej Świątyni, lecz pamiętała rzeź w Choluli, zatem jej mózg z całą jasnością odtwarzał dźwięk rozdieranego ciała, krzyki, lamenty, wystrzały z arkebuzów, odgłos ucieczki, dźwięk dzwoneczków na kostkach biegnących nóg, nóg usiłujących wspiąć się na mur dziedzińca. Malinalli czuła, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz, i otwierała oczy. Sceny te powtarzały się przez całą noc, aż u kresu sił morzył ją sen.



A wówczas nadchodziło najgorsze. Powracający koszmar więził jej umysł. Na początku Malinalli była motylem unoszącym się na wietrze, obserwującym z wysoka, jak tańczą szlachetni panowie i wojownicy Mexików. Widziała, jak wczuwają się w tę czynność, wykonują ją w największym skupieniu, wchodzą w trans religijnego uniesienia. Ze środka kręgu, w którym tańczyli, unosił się słup światła łączący niebo z ziemią i rozlewający na tancerzy silny żółty blask, ukazujący ciała przybrane w najpiękniejsze ozdoby, najlepsze pióra, najlepsze skóry, lecz nagle spadała na nich ulewa kul, dziurawiła ich torsy, krwawiące serca kamieniały i unosiły się

ku niebu. Malinalli mówiła do siebie we śnie:

– Kamienne serca też potrafią latać.

Gdy wymawiała te słowa, ukazywał się przed jej oczami kolejny obraz fascynujący i straszny: kamienna rzeźba, okaleczone ciało bogini Coyolxauhqui, siostry boga Huitzilopochtli, którą porąbał na kawałki za to, że próbowała przeszkodzić jego narodzinom z brzucha Coatlicue, ożywała. Opuszczała krainę bezruchu i zaczynała szukać odciętych członków. Fragmenty nóg i rąk łączyły się z korpusem, kamień obracał się w ciało, kamienna rzeźba stawała się żywą istotą. Malinalli mówiła do siebie:

– Gdy kamień staje się ciałem, serce kamienieje.



Jakby odpowiadając na jej wezwanie, część kamiennych serc podlatywała do jej twarzy i rozpadała się na tysiące kawałków, inne sypały się na tancerzy niczym kamienny grad, wiele uderzało w Montezumę, grzebały go pod sobą. Skrzydła Malinalli-motyła nasiąkały krwią, stawały się ciężkie, ściągały ją w dół, waliła się z hukiem na ziemię. Przemieniona w jednego z tancerzy usiłowała uciec przed kulami z arkebuzów i przed deszczem kamiennych serc, deptała po rozplątanym ciałach i próbowała wspiąć się na mur, lecz krew płynąca po kamieniach uniemożliwiała wydostanie się z potrzasku. Stopy i ręce ślizgały się, przewracała się raz po raz. Chciała krzyczeć, prosić niebo o pomoc, ale głos nie mógł się wydobyć z jej gardła; odwracając się, widziała, jak deszcz kamiennych serc pada na Montezumę, zasypuje go, grzebie go pod sobą; zaraz potem deszcz mieczy leciał w kierunku piersi Malinalli i wbijał się w jej serce, dziurawiąc je w tysiącu miejsc, a z dziur wysypywały się cenne pióra zbroczone krwią. W tym momencie Malinalli otwierała oczy, z przyśpieszonym oddechem, z twarzą mokrą od łez.

Otwarcie oczu nie zdawało się na nic. Koszmar trwał nadal. Malinalli szła i nie szła. Widziała i nie widziała. Mówiła i nie mówiła. Była i nie była. Przeżywała dramatyczne wydarzenia, które nastąpiły po rzezi, nie widząc ich, nie słysząc, nie rejestrując w pamięci. Nie miała w umyśle miejsca na teraźniejszość, ponieważ obrazy przeszłości, obrazy grozy, wypełniały go doszczętnie.

Jak we śnie przebyła drogę powrotną do Tenochtitlanu. Przypłynęli jeziorem Texcoco. Łódź, w której siedziała, sunęła gładko po lustrze wody. Tym razem nie było powitań, nie było orszaku dostojników, wszyscy nie żyli. Upłynął miesiąc od rzezi w Wielkiej Świątyni, a w powietrzu nadal wyczuwało się zapach śmierci.

W miarę jak zagłębiali się w miasto, serce Malinalli biło coraz szybciej i rozprowadzało po żyłach ból. By tego uniknąć, zamykała oczy i starała się nie myśleć o niczym. Nie chciała patrzeć na oznaki tragedii.

Dotarli do pałacu Axayácatla, Cortés natychmiast wezwał Pedra de Alvarado i zażądał wyjaśnień. Postawił go na czele garnizonu, ponieważ sądził, że bez problemu da sobie radę z Tenoczkami, którzy widzieli w nim przedstawienie Tonatiuha, solarnego bóstwa. Zwracając się

do niego, nie używali nigdy jego imienia, lecz mówili: „Słońce”. Jednakże Cortés nie przewidział, że odpowiedzialność, którą złożył na jego barki, przerośnie go. Strach przed utratą kontroli popchnął go do wydania rozkazu masakry.

To prawda, że od przybycia Hiszpanów do Tenochtitlanu dumni Tenoczkowie patrzyli na nich nieufnie. Nie rozumieli postępowania swego władcy. Montezuma jako monarcha charakteryzował się odwagą, mądrością, ogromną religijnością, władał imperium twardą ręką. Wobec Hiszpanów jednak okazywał słabość i uległość, a Tenoczkowie nie posiadali się ze zdumienia.

Na ulicach zapytywano się, czy Montezuma postradał rozum, czy Tenochtitlan ma jeszcze władcę, ma jeszcze przywódcę. Szybko pojawił się ruch oporu, na czele którego stanęli: Cacama, pan Texcoco, Cuitláhuac, pan Iztapalapy, i Cuauhtemoc, syn Ahuizotla.

Z tej perspektywy wydawało się logiczne, że wobec groźby powstania, którego nie byłby w stanie zdławić z niewielkim garnizonem, jaki pozostał w mieście, Pedro de Alvarado postanowił zamordować najlepszych wojowników i najdostojniejszych wielmożów uczestniczących w obchodach święta.

Lecz rzeź stała się iskrą, która wzniciła powstanie. Cortés poprosił Montezumę, by z dachu pałacu przemówił do swegu ludu i spróbował ich uspokoić. Jednakże władca nie został dobrze przyjęty. Wzburzeni Tenoczkowie obsypali go wyzwiskami i kamieniami. Trzy z nich dosięgły Montezumy. Hiszpanie uznali, że to one właśnie spowodowały jego śmierć, lecz wedle świadectw Indian został zamordowany przez samych konkwistadorów.

Malinalli nie wdawała się w dyskusję. Nie wyrzekła ani słowa. Fakt, że była ostatnią osobą, która spojrzała w oczy władcy, zanim zabrano go do jego komnat, utrzymywał ją przy życiu w czasie, który nie był tym czasem. Zastanawiała się, czy jej koszmar należy do rzeczywistości, czy rzeczywistość do koszmaru. A gdzie znajdowała się ona? Zanim zdążyła odpowiedzieć sobie na to pytanie, Meksykanie wybrali na nowego władcę Cuitláhuaca, brata Montezumy, który natychmiast przystąpił do działań wojennych i to z takim powodzeniem, że zmusił Hiszpanów do odwrotu. Postanowili uciec nocą, gdy miasto spało, by móc zabrać ze sobą zagrabione skarby.

Jedyny moment, w którym Malinalli zareagowała i włączyła się w terażniejszość, przypadł właśnie na czas ucieczki. Tenoczkowie ścigali ich. Jedna ze strzał zraniła konia, który był jej powiernikiem, który towarzyszył jej podczas chrztu, po rzezi w Choluli, przed bitwą z Pánfilem de Narváezem, przyjaciela bezwarunkowego, przyjaciela na zawsze. Gdy zobaczyła, że pada na ziemię, czas stanął w miejscu. Odgłosy bitwy zastygły w powietrzu. Nie słyszała ani jednego dźwięku. Wszystko to, co ją otaczało, znikło z jej pola widzenia. Istniał tylko koń, umierał tylko koń. Malinalli poczuła przeszywający ból. Nie chciała porzucać go tu, w agonii, nie chciała oddawać na pastwę robaków. Przytuliła się do niego. W jego oczach ujrzała strach, ból, cierpienie. Natychmiast zobaczyła przed sobą oczy Montezumy, gdy upadł, zraniony kamieniem. Była w nich dobroć. Była wielkość. Było dostojęństwo. Malinalli chwyciła mocno maczugę, którą walczyła z Tenoczkami, i wymierzyła wierzchowcowi śmiertelny cios. Następnie wydobyla z zanadru nóż i w przypiływie szaleństwa zaczęła odcinać mu głowę. Chciała zabrać ją ze sobą, chciała oddać koniowi honory, na jakie zasługiwał.

Była tak pochłonięta swym zajęciem, że nie pomyślała, że uciekają, że bitwa trwa, że jej życiu grozi niebezpieczeństwo. To Juan Jaramillo zauważył, że jeden z Tenoczków chwytając Malinalli za włosy, zamierzając podciąć jej gardło. Wystrzelił do niego z arkebuzą, zabił go, podbiegł do Malinalli, która uparcie cięła szyję konia, i przemocą zawlókł ją poza miasto, gdzie usiedli, by opłakiwać swą klęskę. Znowu nieobecna, Malinalli siedziała nieruchomo z głową na jego ramieniu. Wykazała wielką siłę i odwagę tej nocy.

Malinalli oplakiwała niemożność zabrania ze sobą końskiej głowy, Cortés – całego skarbu. Noc tę nazwali później Smutną Nocą.

Pokonani Hiszpanie schronili się w Tlaxcali, gdzie odpoczęli i pozyskali nowych sojuszników wśród Indian. W Tenochtitlanie wybuchła tymczasem epidemia czarnej ospy, przywleczonej przez kubańskich niewolników towarzyszących konkwistadorom, która zdziesiątkowała ludność. Jedną z jej ofiar padł sam Cuitláhuac, który wkrótce zmarł.

Na tron wstąpił wówczas młody Cuauhtemoc. Jednym z pierwszych podjętych przezeń działań było skazanie na śmierć sześciu synów Montezumy, którzy próbowali poddać się Hiszpanom. Pomimo epidemii sprawnie zorganizował obronę miasta. Wiedział, że Cortés wspierany przez Tlaxcalan planuje atak na stolicę.

Cortés rozkazał, by zbudowano trzynaście brygantyn, które zapewniły mu panowanie na jeziorach otaczających Tenochtitlan. Dołączyli do niego wojownicy z Choluli, Huexotzingo i Chalco. Szacował, że udało mu się zgromadzić ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi.

Wkraczających do Tenochtitlanu Hiszpanów Tenoczkowie atakowali z dachów domostw. Aby temu zapobiec, Cortés wydał rozkaz burzenia domów. Tak rozpoczęło się niszczenie miasta.

Podczas jednego z wypadów Cortés dotarł do Wielkiej Świątyni, lecz Mexikowie zaatakowali go od tyłu, biorąc żywcem ponad pięćdziesięciu żołnierzy. Nocą Hiszpanie słyszeli w swym obozie pieśni zwycięstwa i dowiedzieli się, że jeńcy zostali złożeni w ofierze na ołtarzach Wielkiej Świątyni.

Cortés postanowił oblegać miasto. Przerwał groble łączące je z lądem stałym, a jego brygantyny i łodzie indiańskich sojuszników kontrolowały dostęp wodą. Ponadto zniszczył akwedukty dostarczające mieszkańcom wodę pitną ze wzgórza Chapultepec.

Zamierzał wziąć ich pragnieniem i głodem.

Tenoczkowie wycofali się do Tlatelolco. Najdłużej bronili się na terenach dawnego targowiska, serca imperium. Tam doszło do ostatniej bitwy. Hiszpanie bez trudu pokonali zdziesiątkowanych czarną ospą i głodem wojowników. Tego dnia zabili i wzięli w niewolę ponad czterdzieści tysięcy Indian. Nad zgłiszczami rozbrzmiewały krzyki i lamenty.

Cuauhtemoc próbował ucieczki, lecz został zatrzymany i doprowadzony przed Cortésa. Stanąwszy przed nim, oświadczył:

—

Cortés nie zabił go, lecz uwięził i przypiekał mu stopy, by uzyskać informację, gdzie schowano złoto. Złoto, o którego ukrycie podejrzewał Tenoczków, i to, które straciła jego armia podczas ucieczki w Smutną Noc.

Gdy udał się na podbój Hibueras, zabrał Cuauhtemoca ze sobą. Pewnego dnia jeden z członków wyprawy, pochodzący z Tlatelolco, oskarżył go o przygotowywanie antyhiszpańskiego powstania. Cortés kazał ochrzcić go imieniem Fernando, po czym powiesił na wielkiej seibie, świętym drzewie Majów, w małej osadzie w Tabasco.

Nie było wiatru. Słońce schowało się za chmurami, szarymi, ciężkimi, smutnymi. Przypominało raczej przygaszony i osłabiony księżyc z trudem utrzymujący się na niebie pośród dymu unoszącego się ze stosów, gdzie palono trupy. Można było patrzeć w jego tarczę, nie mrużąc oczu. Straciło blask, a tym samym zdolność przegładania się w jeziorach i kanałach doliny Anahuac, których wody, ciemne i mętne, były zabarwione krwią.

Ogród zoologiczny w pałacu Montezumy był pusty. Nie było zwierząt. Nic nie zostało z piękna i potęgi jego imperium.

Na kuchennych paleniskach nie gotowano już trzystu dań dla Montezumy.

Rzemieślnicy, którzy tworzyli klejnoty i stroje dla cesarza, byli martwi albo uciekli. Ciszę przerywał tylko lament, zawołanie Cihuacoatl/Tonantzin, Kobiety-Węża, naszej Matki.

A przesłanie Cuauhtemoca przekazywano szeptem z ust do ust:

„Dziś nasze słońce ukryło się, nasze słońce schowało się, zostawiło nas w całkowitej ciemności. Wiemy, że kiedyś wróci, by ponownie nas oświetlić. Jednakże dopóki pozostanie ukryte w Mictlanie, musimy w tej długiej nocy połączyć się ze słońcem naszego sumienia, z naszym piątym słońcem, a uczynimy to, ukrywając w naszych sercach wszystko to, co kochamy: nasz sposób rozmawiania i wychowywania dzieci, nasz sposób życia i organizowania pracy poprzez pomaganie jedni drugim.

Ukryjmy nasze teocaltin (świątynie), nasze calmecameh (uniwersytety), nasze tlachcohuan (boiska do gry w pelotę), nasze telpochcaltin (szkoły), nasze cuicacaltin (domy śpiewu), opuśćmy ulice, niech ulice będą puste, a my zamknijmy się w naszych domostwach.

Począwszy od dziś, nasze domostwa będą naszymi teocaltin, naszymi calmecameh, naszymi tlachcohuan, naszymi telpochcaltin, naszymi cuicacaltin.

Począwszy od dziś, dopóki nie wzejdzie nowe słońce, ojcowie i matki będą naszymi nauczycielami i przewodnikami, będą prowadzić za rękę swe dzieci, póki starczy im życia. Niech ojcowie i matki nie zapomną opowiedzieć swym dzieciom, czym był aż do dzisiaj Anahuac, czym się stał pod pieczę naszego Pana Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok, naszego Pana Ometeotla-Ometecuhtiego, czym się stał dzięki obyczajom i naukom, które nasi przodkowie wpoili naszym rodzicom i które ci z takim wysiłkiem wpoili nam. Niech nie zapomną opowiedzieć swym dzieciom, czym pewnego dnia powinien być Anahuac dla nas wszystkich. Po długiej nocy wstanie szóste słońce, które będzie słońcem sprawiedliwości”.

Malinalli zastanawiała się, co zrobiła źle. W czym zawiniła? Dlaczego nie został jej dany przywilej pomocy rodakom? Tak jak Cortés stał się odpowiedzią na lęk Montezumy, a zagrabione złoto – odpowiedzią na ambicję Cortésa, ona starała się zrozumieć, czyje pragnienie znalazło wyraz w zniszczeniu Tenochtitlanu. Pragnienie Tlaxcalan? Pragnienie bogów? Potrzeba i konieczność świata? Cykl życia i śmierci? Nie miała pojęcia. Jedyne, co było dla niej jasne, to fakt, że nie udało się jej niczego ocalić.

Pomyślała o babce, o tym, jakie miała szczęście, nie oglądając zniszczenia swego świata, swoich bogów. W jej głowie panował zamęt. Czuła się winna i odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Aby się usprawiedliwić, pomyślała, że być może to, co umierało, nie umierało naprawdę, że przecież podczas składania ofiar z ludzi na kamieniu ofiarnym umierało tylko ciało, tylko łupina, zaś duch zostawał uwolniony. Że życie złożonych w ofierze należało do bogów i wracało do nich podczas ofiary; że kapłani nie niszczyli niczego, ponieważ życie, które uwalniali z więzienia ciała, trwało nadal w niebiosach, stanowiąc pożywienie dla słońca. Jej stabilność emocjonalna zależała od tego, czy uzna tę perspektywę za prawdziwą, ale Malinalli nie mogła się zdecydować, zgadzała się z tym i nie zgadzała, wierzyła i nie wierzyła. Gdy przyglądała się swemu otoczeniu, wszystko mówiło jej o odwiecznym cyklu życia i śmierci. Kwiaty wędły i stawały się nawozem dla innych kwiatów. Ryby, ptaki, rośliny żywiły się sobą nawzajem. Tak, ale ona była przekonana, że Quetzalcoatl przyszedł na świat, by ogłosić, że bogowie nie żywią się krwią ofiar, lecz ich intencjami i myślami. Że marzenie ludzi jest nauką bogów, a nauka ludzi – odwieczną myślą bogów. I że bogowie żywią się swą własną esencją, to znaczy duszą tego, co stworzyli. Lecz ona nie uważała za niezbędne, by odbywało się to poprzez śmierć fizyczną, raczej poprzez słowo. Gdy człowiek się modlił, gdy człowiek wzywał imienia swych bogów, karmił ich, czcił ich, zwracał im życie, które dali nam podczas narodzin. Wojownicy wierzyli, że ciało więzi duszę. Że ten, kto kontroluje ciało, osiąga władzę nad zamieszkującym je duchem.

Było to jedno z wierzeń, które zwróciło się przeciwko Mexikom. Podczas pierwszych starć z Hiszpanami byli zdumieni, widząc, że zamiarem tych drugich jest unicestwienie wroga, a nie wzięcie go w niewolę. Ich własny gigantyczny aparat wojenny funkcjonował w diametralnie różny sposób. Uważali, że dobry wojownik powinien wziąć przeciwnika do niewoli. Gdy tego dokonał, stawał się kimś w rodzaju boga, ponieważ władza nad ciałem dawała mu dostęp do władzy nad duchem. Dlatego na polu bitwy nie zabijali, lecz brali jeńców. Zabijając wroga, automatycznie uwalniali jego ducha, co stanowiło klęskę, nie zwycięstwo. Pochwycenie go, by następnie złożyć swym bogom w ofierze, nadawało sens śmierci.

Malinalli zgadzała się z tym tylko w takim sensie, że jej zdaniem obrona życia polegała nie na walce o obronę ciała od śmierci, lecz na walce o obronę ducha. Tylko wówczas, gdyby nie istniało coś takiego jak śmierć, mogła zrozumieć wieczność, a z tego punktu widzenia nie postąpiła źle. Jedynym, czego pragnęła, było ocalenie ducha Quetzalcoatl, którego Mexikowie więzili przez tak długi czas, składając ofiary z ludzi. Chciała uwolnić go, wyrwać z rąk agresorów, pozwolić, by oczyścił się i odrodził pomiędzy ludźmi całkowicie odnowiony, lecz kim była, by rościć sobie pretensje do tak górnolotnych działań? Czy naprawdę mogła decydować, kto ma żyć, a kto ma umrzeć? Była pewna, że w odniesieniu do swego wnętrza – owszem, a tam duch Quetzalcoatl był bardziej żywy niż kiedykolwiek przedtem. Hiszpanie mogli go zniszczyć, bo nie byli w stanie go dostrzec. Zgładzili tylko to, co widzieli, czego mogli dotknąć. Reszta pozostała nienaruszona.

Malinalli przyszywała pióra do peleryny, którą zrobiła dla swojego synka. Wykonała ją z piór, które uratowała z pałacu Montezumy, z motka bawełny, który znalazła na zgliszczach targu w Tlatelolco, z jadeitu i muszli morskich, które podarował jej Cortés, ponieważ dla niego nie miały żadnej wartości. Była to peleryna iście książęca. Malinalli chciała, by tak wyglądał w dniu chrztu.

Urodził się tydzień temu, w domu w Coyoacán, gdzie zamieszkiwała wraz z Cortésem. Wydała go na świat tak, jak jej matka wydała ją, w pozycji kucznej. Ale tym razem nie było kąpieli w temascalu, akuszerki, ceremonii zagrzebania pępowiny na polu bitwy, po to żeby chłopczyk został wojownikiem. Ucieszyła się z tego. Nie chciała, żeby jej syn zabijał. Była zmęczona oglądaniem zmarłych. Oczy Cortésa też były znużone widokiem tylu trupów, tylu okaleczonych ciał, takiego zniszczenia. Jego ręce były zmęczone trzymaniem miecza, cięciem, rozplątywaniem. Właśnie dlatego kilka miesięcy temu postanowili przeprowadzić się do Coyoacán i odpocząć. Potrzebowali tego oboje.

Jednakże Cortés nie był zdolny do życia w bezczynności. Jeśli nie planował strategii ataku i obrony, miał wrażenie, że czas przecieka mu przez palce. Zaś gdy miał czas, żeby pomyśleć o sobie, nachodziły go wyrzuty sumienia. Nie wiedział, czy słusznie zburzył tyle piramid, spalił tyle kodeksów. Usprawiedliwiał się stwierdzeniem, że nie miał innego wyjścia, że czynił to w obronie życia, lecz niekiedy zadawał sobie pytanie po co. Miał teraz przed sobą okazję stworzenia wszystkiego od nowa. Zniszczył wszystko, by stworzyć wszystko. Ale co? Owszem, kreślił plany nowych miast, dzielił ziemię, stanowił prawa, lecz w głębi ducha – bardzo głęboko – wiedział, że życie samo pozostanie tajemnicą. Nie należało do niego. Mógł je zniszczyć, lecz nie powołać. Na tym polegała różnica. Innymi słowy, nie był bogiem.

Odczuł nagle przemożne pragnienie stworzenia nowego życia i posłał po Malinalli, by to uczynić.

Gdy Malinalli dowiedziała się, że jest w ciąży, poczuła się pełna, szczęśliwa. Wiedziała, że w jej łonie bije serce istoty, która połączy oba światy. Krew Maurów i chrześcijan z krwią

Indian, tej czystej rasy, bez domieszki innych.

Podczas ciąży, nie wiedząc jeszcze, czy wyda na świat chłopczyka, czy dziewczynkę, zajęła się tkaniem płaszczy z perzu na krośnie z pasem. Malinalli tkła malinalli. „Spleciona trawa” szykowała osnowę swej tkaniny, splatając trawę.

Pragnęła opatulić swego synka całą sobą. Otoczyć niby łupina, która okrywa nasionko, by zabezpieczyć proces odbywający się w jej brzuchu. Wiedziała, że podobnie jak każda roślina przechodzi cykl siewu, narodzin, kwitnięcia i śmierci, podążając z ciemności do światła, tak w jej wnętrzu kiełkuje nasionko, które ma wyjść niebawem na światło dzienne. Nasionko rośliny, by zakiełkować, musi pozbyć się otaczającej go łupiny. Zastanowiła się, czy to dlatego kapłani składający w ofierze jeńców, obdzierali ich ze skóry i zakładali ją na siebie. Nasionko traci wszystko, żeby zyskać wszystko. Traci łupinę, by przemienić się w roślinę, która jest wszystkim: ziemią, wodą, słońcem, wiatrem. Lecz gdy jej syn wyłoni się z jej brzucha, chciała nadal go okrywać i dlatego tkła teraz płaszcze z perzu.

Gdy chłopczyk przyszedł na świat, Cortés świętował przez trzy dni. Był to jego pierworodny. Będzie miał syna, który utrwali jego nazwisko, będzie miał dziedzica. Lecz jego szczęście przyćmiła mroczna myśl: jego syn pochodzi z nieprawego związku, a co więcej, ze związku z niewolnicą. Jego syn nie będzie dobrze widziany na dworze hiszpańskim. Jego syn jest Metysem. By jeszcze bardziej skomplikować sprawę, do Meksyku przybyła jego małżonka, Catalina Xuárez, i od pierwszego dnia zawzięcie niszczyła wszystko, co pozostało z jego satysfakcji.

Catalina nie mogła dać mu potomka, w związku z czym była strasznie zazdrosna o Malinalli i jej syna. Aby sprawić jej przyjemność, Cortés wydał ucztę powitalną. Podczas uczy Catalina nie odstępowała męża ani na krok, lecz nie po to, żeby cieszyć się jego obecnością, tylko żeby klócić się z nim. Wzajemna niechęć nasiliła się do tego stopnia, że zaproszeni goście woleli szybko się pożegnać. Cortés i Catalina klócili się nadal w sypialni.

Następnego dnia, podczas gdy Malinalli karmiła synka, dowiedziała się od jednej ze służących, że Catalinę znaleziono o świcie martwą. Leżała w łóżku, ubrana w tę samą suknię, którą miała na sobie podczas uczy. Na jej szyi widniały sine obrzęki, naszyjnik z pereł był rozerwany, a łożo mokre od moczu. Pogłoska o morderstwie rozniosła się lotem błyskawicy.

Szczególnie silne wrażenie wywarła na Malinalli informacja, że naszyjnik był rozerwany. Ktoś oderwał Catalinę od naszyjnika stworzenia.

Bezkresna rozgwieżdżona noc obserwowała Cortésa i Malinalli. Siedzieli przy ognisku w otoczeniu żołnierzy spożywających w milczeniu posiłek. Obóz rozświetlało wiele ognisk odbijających się w gwiazdach. Malinalli obserwowała Cortésa, który nie był w stanie utrzymać wzroku w jednym punkcie: spoglądał raz na niebo, raz na ogień, raz na ziemię. Jakiś czas temu, gdy zobaczyła, że czyści zbroję i ostrzy miecz, zrozumiała, że grozi jej wiatr z obsydianu. Wiedziała doskonale, jaki jest ojciec jej syna. Jego krew odrodziła się w jej trzewiach. Pomyślała, że zna go od zawsze, był jej tak znany, tak bliski, że przyjmowała go jako część swego losu, jakby urodził się, by wdrzeć się do jej łona, jakby urodził się, by słuchać jej języka, jakby urodził się, by zranić jej serce. Obserwując niespokojne spojrzenie Cortésa, bez trudu dostrzegła w nim permanentne niezaspokojenie, stałe rozczarowanie, jak gdyby jedynym, co mogło sprawić mu satysfakcję i przyjemność, był podbój.

„Ten człowiek jest nienasycony – pomyślała. – Zdaje się, że jedynym, co budzi go do życia, jest śmierć. Jedynym, co mu daje rozkosz, jest krew. Żądza niszczenia, rozbijania, rozrywania, przemieniania”.

Poczuła litość i po raz pierwszy w życiu współczuła temu straszemu mężczyźnie, wiecznie ogarniętemu jakąś obsesją. Zrobiło się jej żal człowieka, który nie potrafi żyć spokojnie. Szli na podbój Hibueras i Malinalli przestraszyła się, że jeśli zdobędzie te ziemie, jego pragnienie konkwisty rozgorzeje z jeszcze większą siłą, a umysł oszaleje, chcąc osiągnąć więcej i więcej. Domyślała się, że nigdy nie zazna spoczynku.

„Jakże strasznie zostałam ukarana, ponieważ ten człowiek jest ojcem mego syna”.

W drodze do Hibueras minęli miejsce, gdzie urodziła się Malinalli.

Powrót na ziemię, gdzie tyle razy bawiła się z babką, gdzie zaznała jej bezwarunkowej miłości, był dziwnym doświadczeniem. Wszystko jawiło się przed jej oczami małe, jakby w pomniejszeniu. Różne rzeczy, które pamiętała z dzieciństwa jako ogromne, znajdowały się tu nadal, lecz teraz widziała ich prawdziwe rozmiary.

Wiele razy myślała o powrocie, lecz nigdy nie dążyła do niego. Dopiero podczas owej wyprawy, u boku Cortésa, zawitała w rodzinne strony. Jeszcze zanim weszła do wioski, jej serce było niespokojne, biło szybciej niż zwykle, czuła w piersi żar. Krew nabiegła jej do oczu, niewinność małej dziewczynki mieszała się w nich z bezbrzeżną nienawiścią dorosłej kobiety, która przez całe lata cierpiała ból, przez całe lata skrywała w głębi serca uśpioną udrękę, zapomniany smutek, budzące się z letargu, w miarę jak podchodziła do miejsca, gdzie została porzucona przez matkę.

Cały ból dzieciństwa odżył nagle we wszystkich porach jej ciała. „Los jest sumienny i to, co zostało zapisane w gwiazdach, musi się spełnić” – te słowa rozbrzmiały w jej pamięci w momencie, gdy ujrzała matkę. Stała naprzeciwko ducha, który tyle razy pojawiał się w jej umyśle, lecz w innej postaci, o innym wyglądzie. Zapamiętała dużą, silną, potężną kobietę, a przed sobą miała staruszkę bliską grobu, pomarszczoną, zmizerowaną i smutną, z maską pokory na twarzy. U jej boku stał jej brat. Przejrzała się w zwierciadle jego spojrzenia i w mgnieniu oka rozpoznała wrażliwość i wewnętrzne bogactwo tego człowieka jako coś, za czym tęskniła od dawna. Był tak podobny do niej, miał identyczne rysy twarzy, rytm serca, rytm oddechu. Poczuła się, jakby zobaczyła siebie zmienioną w mężczyznę. Powitał ją uśmiechem. Serce Malinalli galopowało z oszalamiającą prędkością. Oczy były bliskie łez. Była wzruszona tak mocno jak za pierwszym razem, gdy się zakochała, jak podczas pierwszej miłości. Pragnęła ucałować go, przytulić, obsypać pieściotami. Opanowała się jednak i odpowiedziała na jego pozdrowienie uśmiechem. Ów niemy dialog spojrzeń i gestów przerwał głos matki Malinalli:

–

Malinalli, odsuwając się, odrzekła:

– Nie jestem twoją córką i nie uważam cię za swoją matkę. Nie doznałam od ciebie opieki. Ani jednej pieścioty, ani jednego słowa pełnego miłości, ani jednego ciepłego gestu nie miałaś dla mnie w dniu, gdy z takim okrucieństwem podarowałaś mnie kupcom. W dniu, kiedy postanowiłaś uczynić mnie niewolnicą i odebrałaś mi wolność serca i swobodę myśli.

Matka Malinalli nie była w stanie dłużej się powstrzymać, a z jej oczu trysnęły potoki łez. Suche wargi wymówiły słowa zdolne wzruszyć kamienie, zdolne skruszyć najbardziej zatwardziałe serca.



– Córko moja, Malinalli, przez bezmiar mórz, przez potęgę gwiazd, przez deszcz, który wszystko zmywa i wszystko odnawia, zaklinam cię, wybacz mi. Dałam się pokierować żądzy, zaślepić życiem, pociągnąć ku temu, co oddycha. Nie mogłam dłużej być małżonką śmierci. Twój ojciec umarł, leżał nieruchomo, żadne słowo nie wychodziło z jego ust, nie było blasku w jego oczach. Nie mogłam być związana z jego bezruchem, byłam młodą kobietą, która chciała żyć, która chciała czuć. Wybacz mi, nie pomyślałam o tym, jak bardzo będzie cierpieć twoje małe serduszek. Sądziłam, że w tak młodym wieku nie będziesz o mnie pamiętać, nie będziesz wiedzieć, że cię oddałam, że twoja babka uczyni cię silną, że ci otworzy oczy, że pozwoli widzieć twemu sercu i twoim myślom. Wyrzekłam się ciebie, żeby być sobą. Wybacz mi.

Malinalli, wzruszona, z odmienionym sercem, już miała objąć ją i uleczyć jej rany, lecz powstrzymała się. Żal i ból spowodowane porzuceniem były o wiele silniejsze niż błagania matki. Powstrzymując wzruszenie, okazując okrucieństwo, odrzekła jej głosem zimniejszym i ostrzejszym niż sople lodu:

– Nie mam ci nic do wybaczenia. Nie mogę wybaczyć ci tego, co sprawiło, że mój los jest lepszy niż twój. Podarowałaś mnie, lecz fortuna darowała mi władzę i bogactwo. Jestem kobietą naczelnego wodza, jestem kobietą człowieka z nowego świata. Ty zostałam w starym, w prochu, w tym, który już nie istnieje. Ja za to jestem nowym miastem, nowym wierzeniem, nową kulturą; to ja wymyśliłam świat, w którym teraz stoisz. Nie martw się. Nie istniejesz w moich kodeksach, już dawno temu cię wymazałam.

Matka ponowiła błaganie:

– Małą karę mi wyznaczyłaś. Przyznaję, że mój czyn zadał ci większy gwałt niż mnie twoje słowa, lecz przez chwilę, w której ty i ja byliśmy jednym życiem, przez chwilę, w której w moim brzuchu oddychałaś, przez chwilę, w której moje oczy były twoimi oczami, a moje ręce twym dotykiem, ośmielałam się błagać cię, byś miała litość nad nami, by nie zaznały przemocy nasze ciała, byś darowała nam życie, byś podarowała nam życie, o pani nowego świata.

– Twój strach dziwi mnie. Widzę, że nie wiesz, że śmierć nie jest końcem, jest trwaniem, jest przemianą. Spójrz na mnie! Przeżyłam śmierć, którą mi wyznaczyłaś. I chcę powiedzieć ci, że to nie mnie porzuciłaś, porzuciłaś siebie samą. Sama wymyśliłaś te wszystkie kary, które teraz cierpisz. Sama wzniosłaś więzienie, w którym teraz przebywasz, lecz pociesz się, uspokój się, cała uraza opuściła mnie w momencie, gdy cię zobaczyłam. Nie pragnę zrobić ci krzywdy. Możesz być spokojna. Nie uczynię nic złego ani tobie, ani memu bratu. Zapomnę o wszystkim i na zawsze odrzucę żal w miejsce, gdzie jest tylko pustka.

Gniewna i piękna Malinalli oderwała spojrzenie od twarzy matki i zwróciła je ponownie na młodego mężczyznę; jej rysy złagodniały, a oczy pełne czułości ucałowały oblicze utraconego brata. Uśmiechnęła się do niego serdecznie i ruszyła w dalszą drogę.

Każda droga zmienia nas. Po chwili marszu Malinalli była w stanie odmienić obraz matki, jaki przechowywała w sercu przez całe lata. Z każdym krokiem pewność, że została porzucona, ulatniała się, a po niedługim czasie Malinalli była w stanie poczuć miłość do swej matki. Z dala od niej poczuła, że może kochać ją i oglądać z odmienionym obliczem.

Pożałowała arogancji, pogardy i pychy, z którymi zwróciła się do swojej rodzicielki. Teraz odczuwała czułość. Wybaczyła jej w głębi serca, a w tym samym momencie przypomniała sobie z bólem, że ona także porzuciła swego syna, że pozbawiła go swego ciepła, swych piersi, swych ust, swego spojrzenia. Przypomniała sobie buzię niespełna rocznego synka, przytulonego do jej nogi, błagającego ją bez słów, żeby go nie porzuciła, błagającego ją uśmiechem, żeby została blisko niego. Przypomniała sobie jego płacz, gdy odsunęła go od siebie. Przypomniała sobie życie swego dziecka w jej własnym wnętrzu, jego wargi na jej sutku. Wspomnienia zlały się w jedno wraz ze łzami, ogarnęło ją współczucie dla matki. Jakim prawem oskarżała ją, skoro ona sama także była zdolna do porzucenia dziecka!

Powiedziała sobie, że także jest winna. Opuściła synka wbrew jego i swoim pragnieniom po to, by pozostać u boku człowieka, który budził w niej największą z pych: żądzę władzy, żądzę bycia inną, jedyną, niepowtarzalną. Poczula wstyd, głęboki ból przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Chłód cierpienia uwewnętrzniał się w jej kościach, nie pozwalając na jego pełne przeżycie. Nie wybaczyła sobie, nie ukoła bólu, nie ulitowała się nad sobą.

Począwszy od tej chwili, wspomnienie synka nie opuściło jej ani na moment. Wspomnienie aktu porzucenia będzie koszmarem w jej umyśle, piekłem wewnątrz dłoni, obłędem w jej spojrzeniu. Poczula w sercu pogardę, nienawiść do samej siebie i nienawiść, bezkresną nienawiść do Cortésa. Odrzę, pustkę, trwogę, gorycz. Obsesyjną chęć zmiążdżenia kamieniami jego twarzy, zniszczenia jego wizerunku, podpalenia myśli, zniszczenia go, rozerwania go, zobaczenia, jak jego strzępy fruwać na wietrze.

Podbiegła do niego i poprosiła, żeby poszedł z nią na bok, że ma mu coś ważnego do powiedzenia. Uczynił to, przekonany, że wyjawi mu jakiś spisek lub intrygę przeciwko jego osobie. Podążał za nią w milczeniu aż na szczyt sąsiedniego wzgórza. Roztaczał się zeń widok na tropikalne lasy, nieskończenie zielone, piękno wszystkich rzeczy przemawiało z całą jaskrawością. Cortés stanął naprzeciw Malinalli i odezwał się:

– Dobrze, weszliśmy na górę, powiedz teraz, czego chcesz.

– To, czego chcę, jest daleko ode mnie. Nie mogę go dotknąć. Czego chcę? Chcę poczuć dotyk skóry naszego synka. Chcę wypełnić pięknymi słowami jego umysł. Chcę strzec jego snu. Sprawić, by poczuł, że świat jest bezpiecznym miejscem, że śmierć leży daleko, że on i ja jesteśmy jednym, że wiąże nas siła mocniejsza niż wola jego czy moja. To, czego chcę, jest poza moim zasięgiem, ponieważ wleciesz mnie drogą swych obsesji. Przrzekłeś mi wolność i nie dałeś mi jej. Dla ciebie nie mam duszy, nie mam serca, jestem mówiącym przedmiotem, którym posługujesz się podczas podbojów, nie okazując ani krzty uczucia. Jestem jucznym zwierzęciem twych pragnień, twych kaprysów, twych szaleństw. Czego chcę? Chcę, żebyś zatrzymał swój umysł i rozejrzał się, żebyś pomyślał przez moment, że jesteś w połowie życia. I że my, którzy stoimy u twego boku, także oddychamy, i w naszych żyłach płynie krew, i czujemy się kochani albo ranieni, że nie jesteśmy wykuci z kamienia, nie jesteśmy wystrugani z drewna, nie jesteśmy narzędziami z żelaza. Jesteśmy ciałem, wrażliwością, myślą. Jesteśmy, jak sam mówisz, słowem obłożonym w ciało, głosem w ciele. Czego chcę? Chcę, żebyś się obudził i przyjął to, co ci oferuję: okazję do bycia szczęśliwym, ty i ja, do bycia rodziną, do bycia jedną istotą. Oferuję ci pocałunek gwiazd, objęcia słońca i księżyca. Zapomnij o tej absurdalnej myśli, żeby wyprawiać się na Hibueras, proszę, Hernánie, wypędź to szaleństwo ze swego umysłu. Powstrzymaj nieustający obłęd serca

Cortés spojrział na nią, była przejęta i nieswoja, wzruszył się. Wiedział, że nikt nigdy nie powiedział mu tylu prawdziwych słów i że owszem, tego właśnie pragnął w głębi ducha, lecz nie potrafił się z tym pogodzić. Nie mógł zrezygnować z ambicji zostania największym człowiekiem na świecie. Najpotężniejszym, mającym pod sobą największe ziemie. Zrezygnować w zamian za jedno miasto i jedną kobietę, które już podbił. Dlatego jego wzrok stężał i popatrzył na Malinalli jak na szaloną, głupią kobietę, która faktycznie służyła mu tylko jako przedmiot, jako narzędzie konkwisty. Roześmiał się i powiedział:

– Pójdź po rozum do głowy, Marina. Nie pozwól, żeby twoje uczucia zatrwały sens życia mojego i twojego, pogódź się z tym, że twoją misją jest po prostu bycie moim językiem. Nigdy więcej nie przerywaj mi rozmyślań babskimi głupotami. Nigdy więcej nie powtarzaj tych idiotycznych lamentów. Nie trwój mojego czasu. Zajmij się wykonywaniem moich rozkazów i dziękuj za to, co zrobiłem dla ciebie, bo to większe niż twoje życie!

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się, nie spojrzawszy więcej na nią, i ruszył w stronę obozu szybkim, stanowczym krokiem dyktowanym przez gniew. A wówczas, jakby przyroda przychyliła się do uczuć Malinalli, jakby przyroda chciała potwierdzić słuszność jej słów, zerwała się nieomal nieziemski wicher, chmury zakryły słońce, zapadł mrok i strugi deszczu zlały się z jej łzami.

Tej nocy Cortés pił do nieprzytomności.

Pił, żeby uciec od siebie samego, żeby uciec od słów, które usłyszał od Malinalli. Żeby uciec od prawdy. Nie chciał słuchać, że człowiek jest tylko gościem w życiu, że nikt nie trwa na ziemi wiecznie, że władza przemija, że czas wszystko niszczy. Zamroczony, śpiewał fałszywie ochrypłym głosem, recytował łacińskie wersy i bezsensowne urywki poematów. Alkohol całkowicie zmienił jego zachowanie. Lecz nagle od radości przeszedł do gniewu, do przemocy, i zaczął krzyczeć:

– Nikt! Słuchajcie mnie dobrze, nikt nigdy nie może mnie zdradzić! Nikt z moich ludzi nigdy mi się nie sprzeciwi, nikt nie będzie spiskował przeciwko mnie, bo ten, kto to uczyni, ten, kto się ośmieli, zginie okrutnie i marnie. Nikt nie może stanąć na przeszkodzie moim zamysłom, mojej woli. Nikt nie może atakować moich poglądów, podważać moich przeczuc. Ci, którzy mnie otaczają, ci, którzy mnie znają, muszą być cieniem mojej osoby, tylko wtedy będę mógł ziścić wszystkie moje zamiary, tylko wtedy nieskończona potęga moich emocji znajdzie upust w szczęśliwym spełnieniu. Słuchajcie wszyscy! Bo gdy ja zginę, wy też zginiecie.

W tym momencie jego wzrok spoczął na Malinalli, która była świadkiem jego przemiany i szaleństwa. Zaiste, budził lęk, wyglądał, jakby nie panował nad sobą, jakby był niespełna rozumu. Jego umysł zdawał się rozpalać z każdym łykiem pochłanianego alkoholu. Targało nim pragnienie wielkości i pragnienie zemsty, pochodzące być może z niewłaściwych genów, które nakazywały mu przemienić świat w miejsce walki i śmierci. Owa mieszanina gniewu i żądy zemsty, jakby wypluta przez jakąś jątrzącą się ranę uczynioną przez urazę, winkrustowała się w serce i w krew Cortésa, owładnęła jego wszystkimi myślami.

Malinalli poczuła strach i bezradność. Alkohol był złym towarzyszem człowieka i bogów. Quetzalcoatl przemienił do tego stopnia, że spółkował z własną siostrą; szeptano, że pod wpływem alkoholu Cortés udusił swoją małżonkę. Ten człowiek był zdolny do morderstwa! Krew zmroziła się w żyłach Malinalli, ostrzegając o groźnym niebezpieczeństwie, pozwalając jednocześnie zachować panowanie nad sobą, udać spokój. Cortés przyciągnął ją do siebie i powiedział stłumionym głosem:

– Jaramillo usłuchał, a gdy podszedł, Cortés ujął jego rękę i położył ją na sercu Malinalli. Jaramillo zakłopotany spróbował cofnąć dłoń, lecz Cortés przytrzymał ją mocno, mówiąc:

– Zbliż się do tej kobiety, poczuj jej serce, jej puls, pogładź jej włosy, bo począwszy od dziś, jest twoja. Weź tę kobietę, by zaspokoić w niej swoje pragnienia i zobaczyć, czy w ten sposób możesz stać się mną – dodał, śmiejąc się sztucznie i fałszywie.

Cortés wybrał Jaramilla na małżonka Malinalli, ponieważ bardzo go cenił i darzył największym zaufaniem. Chciał połączyć ich oboje z dwóch powodów: by jeszcze mocniej przywiązać do siebie Jaramilla i by przesunąć kontakty z Malinalli na płaszczyznę bardziej racjonalną, mniej emotywną. Tym sposobem mógłby czerpać największy pożytek z tej kobiety, nad podziw inteligentnej i niezbędnej do realizacji jego planów.

Jaramillo wbił w dowódcę wzrok pełen zdumienia i niedowierzania. Nie wiedział, czy jest przedmiotem żartu; czy słowa, które usłyszał, wzięły się z zamroczenia, obłędu czy chęci zakpienia z jego osoby. Na jego twarzy malowała się niepewność, a w sercu panowała radość. Odwrócił szybko oczy, by Cortés nie zorientował się, że Malinalli to kobieta, której pożąda od czasu owego odległego dnia, gdy na brzegu rzeki ujrzał, jak Cortés bierze ją po raz pierwszy w posiadanie. Że ta kobieta, którą teraz mu oferuje, tysiące razy rozpaliała jego myśli, że zawsze pragnął trzymać ją nagą w objęciach.

Jaramillo wziął Cortésa na stronę i zapytał wprost:

– Hernánie, o co ci chodzi? Dlaczego ofiarowujesz mi Marinę?

– Jaramillo, nie kłam sam przed sobą – odrzekł mu Cortés. – Od wielu lat, miesięcy i dni Marina pojawia się w twoich snach. Już jesteś jej małżonkiem, ponieważ myślisz o niej tak uporczywie. Jesteś moim przyjacielem i ofiaruję ci twe pragnienie, a ty w zamian dasz Marinie nazwisko i status, otoczysz opieką mego syna. To największe zadanie, jakie ci powierzam, najważniejsza misja, jaką składam w twe ręce. Jaramillo, pomóż mi tworzyć Historię.

Potem wszyscy zostali świadkami ślubu Jaramilla i Malinalli.



Tej samej nocy, zaimprovizowanej nocy poślubnej, Jaramillo – wówczas już upojony i pełen pożądania – posiadał ją raz, drugi i trzeci. Pił jej piersi, całował jej skórę, cały się zanurzył w jej osobie, wypróżnił w Malinalli całą swą istotę i zasnął.

Cortés, pijany jak bela, spał jak zabity, nieświadom jeszcze, że właśnie wyrwał kawałek siebie. Jedyłą, która nie spała, była Malinalli. Przenikało ją pragnienie, by się podpalić, by się ulotnić, by zmienić się w gwiazdę, by stopić się ze słońcem, tak jak uczynił to Quetzalcoatl. Pragnęła przestać być sobą, lecieć, być częścią wszystkiego i niczego, nie patrzeć, nie słyszeć, nie czuć, nie wiedzieć, a przede wszystkim nie pamiętać. Czuła się upokorzona, smutna, samotna, nie wiedziała, jak wyrzucić z siebie frustrację, jak oddać wiatrowi ból, jak zmienić decyzję o swej obecności w świecie.

Wspomniała chwile, gdy usta Cortésa i jej usta były jednymi ustami, a myśl Cortésa i jej język – jedną ideą, nowym światem. Język ich połączył i język ich rozdzielał. Język ponosił winę

za wszystko. Malinalli zniszczyła imperium Montezumy swym językiem. Dzięki jej słowom Cortés pozyskał sprzymierzeńców, którzy umożliwili mu konkwistę. Postanowiła zatem ukarać narzędzie, które stworzyło ten nowy świat.

Pod osłoną ciemności wyszła z obozu i odszukała w zaroślach agawę. Odłamała z niej kolec i przebiła sobie język. Zaczęła pluć krwią, jakby mogła w ten sposób usunąć z myśli truciznę, z ciała – wstyd, a z serca – ranę.

Począwszy od tej nocy, jej język nie będzie już taki sam. Nie utworzy cudów w powietrzu, całych światów w uchu. Nigdy więcej nie stanie się narzędziem żadnego podboju. Nie będzie porządkował myśli. Nie będzie wyjaśniał historii. Jej język był rozdwojony i złamany. Przestał być narzędziem myśli.

W wyniku tego gestu ekspedycja do Hibueras zakończyła się całkowitą klęską. Słowa Cortésa tonęły w ciszy. Wracali zwyciężeni.

Na statku, którym płynęli z Hibueras, panowało milczenie. Oparta o burtę Malinalli obserwowała wody morza, ich bezustanny ruch, ich kolor. Przyszło jej na myśl, że morze jest najlepszym obrazem boga, ponieważ wydaje się nieskończone, ponieważ jej oczy nie są w stanie go objąć.

Malinalli miała zostać matką po raz drugi. Jej serce zachowywało milczenie, a w tym milczeniu wszystkie dźwięki świata były wyraźnie słyszalne. Odczuwanie życia wewnątrz własnego życia głęboko ją wzruszało. Nie tylko niosła w swym ciele skrawek innego ciała, lecz dzieliła swą duszę z inną duszą. Być może te dwie złączone dusze były wszystkimi duszami, a niebo dusz być może było tym samym co morze gwiazd.



Kilka dni później, gdy Malinalli wpatrywała się w gwiazdy, zaskoczyły ją skurcze i urodziła w kucki, na pokładzie statku. Jej córeczka przyszła na świat oblana krwią i światłem gwiazd. Malinalli przypomniała sobie, że Marina, kastylijskie imię, które otrzymała na chrzcie, oznacza tę, która przychodzi z el mar, z morza. Morze znajdowało się też w imieniu jej syna Martína. Jej córeczka także pochodziła z brzucha morza, także była wodą z jego wody. Postanowiła zwrócić pępowinę córki morzu, zapomnianemu źródłu świata, skąd wynurzyły się wszystkie istoty. Poczula wielką ulgę, gdy pępowina wysunęła się z jej rąk i uderzyła w lustro słonych wód. Przez kilka chwil unosiła się na powierzchni, a potem została objęta, obrócona i pochłonięta przez wody głębokie i ciemne.



Malinalli zrozumiała nagle, że wieczność jest krótką chwilą. Chwilą pokoju, w której wszystko jest jasne, w której wszystko ma sens, choć nie da się go wyjaśnić słowami, gdyż nie ma języka, który potrafiłby go nazwać. Czując, że język drętwieje jej ze wzruszenia, Malinalli wzięła na ręce swą małą córeczkę i podała jej pierś, żeby napiła się mleka, żeby napiła się morza, żeby żywiła się miłością, poezją, światłem księżycy, a czyniąc to, zrozumiała, że jej córka powinna nazywać się María. María, jak Najświętsza Panna. Czuła, że odnawia się w swym dziecku, i dlatego na pytanie męża, czy kobiety karmiące nie umierają po trosze, odparła stanowczo:

– Nie! Rodzą się ponownie.

Jemu także spodobało się imię María dla córeczki. Przypomniał sobie, że kiedy był mały, brał udział w pogrzebie kobiety bliskiej jego rodzinie. Dorośli byli tak zaaferowani, że nie zauważyli, gdy chłopiec podszedł, by na nią popatrzeć. Wrażliwość dziecka zderzyła się ze spokojem i bezrucchem damy. Spoglądając na jej twarz pozbawioną duszy, zrozumiał, że śmierć jest czymś koniecznym, i przeraził się. Nie chciał, by umierało to, co kocha. Zrozpaczony rozejrzał się wokół siebie w poszukiwaniu pomocy, a jego wzrok padł na drewnianą rzeźbę Najświętszej Panny z nagim dzieciątkiem w ramionach. Mały Jaramillo zapytał ją bezgłośnie:

– Dlaczego to, co daje życie, musi umrzeć?

Nie otrzymał odpowiedzi, lecz od tamtej pory wzruszał go widok martwej kobiety i kobiety karmiącej piersią.

Ucałował delikatnie córeczkę w czoło i pogłaskał po twarzy żonę. Malinalli przypominała sobie moment, gdy Cortés ożenił ich, i ta chwila nie wydawała się jej już gorzka. Więcej, ogarnęła ją czułość dla Hernána, tego małego człowieczka, który chciał być ogromny jak morze.

W głębi ducha była mu niezmiernie wdzięczna za to, że wydał ją za Jaramilla. Jej mąż był dobrym człowiekiem. Pełnym szacunku, miłym, odważnym, lojalnym. W gruncie rzeczy Cortés zrobił jej przysługę, oddalając ją od siebie. Być może wręcz ocalił ją od śmierci! Ona także, jak wiele osób z ich otoczenia, podejrzewała, że Cortés zamordował żonę, że śmierć Cataliny nie była wypadkiem, że nie była naturalna i że gdyby ożenił się z nią, z Malinalli, z jakiejś nieznaney przyczyny ją również by zabił. Ten człowiek dokonywał podbojów, lecz także mordował to, co kochał. Zabijał swe kobiety, by pozostały tylko jego własnością. Musiała przyznać, że Cortés kocha ją, nie tak, jak by sobie tego życzyła, lecz jednak kocha. W innym razie nie podarowałby jej części wolności, nie pozostawiłby jej przy życiu. Chociaż może nie była to miłość, lecz interesowność. Potrzebował jej jako tłumaczki.

„Co takiego połączyło mnie z otchłanią tego człowieka? – zastanowiła się Malinalli. – Jakież to gwiazdy splotły nasze losy? Kto utkał osnowę jego życia i mojego życia? Jakim sposobem mój bóg i jego bóg porozumieli się i zaplanowali nasz związek? Syn z jego krwi narodził się z mojego brzucha i córka z jego kaprysu także wzięła tam początek. To on wybrał

mężczyznę, który miał pozostawić nasienie wewnątrz mego ciała, nie ja. A jednak jestem mu wdzięczna. Nie widziałam nikogo prócz niego, a jego rozkaz sprawił, że odkryłam mężczyznę, który zawsze mnie pragnął, pragnął moich oczu, pragnął mojego ciała, pragnął moich słów”.

A wówczas Malinalli stała się płynna, mleko w piersiach, łzy w oczach, pot na ciele, ślina w ustach, woda dziękczynna.

Gdy Malinalli stanęła na lądzie, jej łomoczące serce było bębniem bijącym na trwogę, z głębi trzewi płynącym pragnieniem objęcia syna. Objęcia dziecka, które porzuciła, oddając się w służbę obłędnej żądz podboju trawiącej człowieka, który kazał jej działać wbrew jej woli, wbrew jej pragnieniom, wbrew jej miłości, wbrew jej myślom. Absurdalnej żądz podboju, która przyniosła całkowitą porażkę i która złamała ją wewnątrz.

Nie mogła sobie wybaczyć, że opuściła syna, kiedy najbardziej jej potrzebował, kiedy powinien nasiąknąć siłą jej miłości, wiedzą przodków, łagodnością dotyku, ciszą spojrzenia, w której słowa nie są niezbędne. Bolało ją utracone milczenie, nieobecne uśmiechy, puste objęcia. Podobnie jak jej matka ona także porzuciła to, co przyszło na świat dzięki niej. Wiecznością wydały się jej ceremonie powitalne. Mowy, które musiała tłumaczyć. To wszystko, co stanęło na przeszkodzie spotkaniu z synem. Gdy wreszcie pobiegła po niego do domu krewnych Cortésa, których opiece został powierzony, czuła strach. Strach przed odrzuceniem. Strach przed ujrzaniem w oczach syna tej samej obojętności, z jaką patrzyła na własną matkę.

Chłopczyk bawił się na dziedzińcu domu, w promieniach słońca, pośród drzew i wodotrysków. Poznała go na pierwszy rzut oka.

Urósł, lepił figurki z gliny, tworzył fantastyczny świat, w którym – ukłucie w sercu – nie uczestniczyła. Natychmiast ujrzała w nim czulego i ślicznego chłopca ze swych wspomnień. Był taki sam, o tak, a przecież jakże inny! Niektóre gesty przypominały jej gesty, lecz manieri miał identyczne jak ojciec. Pyszny i przystojny. Miły i niewinny. Kapryśny i straszny. Kosz niuansów, feeria barw, zbiór pieśni – taki był syn, którego porzuciła.

Ruszyła ku niemu pełna miłości, pełna czułości, pełna niepokoju. Pragnęła poczuć swą skórę na jego skórze, swoje serce na jego sercu. Chciała przywrócić mu w krótkiej chwili całą swą obecność, całe towarzystwo, za jednym zamachem wymazać miesiące nieobecności, miesiące opuszczenia.

Gdy go objęła, gdy wymówiła jego imię, gdy dotknęła jego ciała, Martín popatrzył na nią, jakby jej nie znał, jakby nigdy nie widział jej na oczy, wyrwał się i puścił się pędem w stronę domu. Malinalli w przypiływie wściekłości, rozpacz, szaleństwa pobiegła za nim, nakazując, żeby się zatrzymał, krzycząc, że jest jego matką. Dziecko nie przystanęło, gnało przed siebie, jakby chciało uciec przed swym losem, uciec przed nią raz na zawsze. Im szybciej biegła za nim matka, tym większym napawała go strachem, a im bardziej bał się jej syn, tym większa wściekłość ogarniała matkę. Gniew ścigał strach. Rana ścigała wolność. Wina ścigała niewinność. Malinalli dopadła wreszcie synka, chwyciła go, mimowolnie ścisnęła go zbyt mocno, a on popatrzył na nią z paniką w oczach i zaczął płakać.

Jego płacz był tak głęboki, tak przenikliwy, jak nóż z obsydianu, który z łatwością przebijał warstwę ciała otaczającą serce Malinalli i otwierał niezagojoną ranę: ranę porzucenia. Oto porzucony ranił porzuconą swą pogardą. Malinalli poczuła, że każda pieśzcota, każda próba okazania synkowi miłości jest dla nich obojga torturą, koszmarem, jest wzajemnym kaleczeniem się. W odruchu szaleństwa uderzyła go w twarz, żeby się uspokoił, żeby przestał się wyrywać. Gromkim głosem zawołała:



– Maltín! Nie uciekaj!

– Nie jestem Maltín. Jestem Martín. I nie jestem pani synem.

Malinalli zapragnęła rozedrzeć swój język. Połamać go, rozciągnąć, żeby wreszcie wymówił głoskę „r”. Uderzona słowami syna jak obuchem, przeszła na nahuatl, żeby wysłowić się poprawnie, żeby przemówić z głębi serca:

– Już wymazałeś mnie z pamięci? A ja ciebie nie. Ja przez cały czas niosłam cię ze sobą we wspomnieniu. Jesteś moim dziełem, moim stworzeniem, zrodzonym ze mnie, jesteś moim piórem kwezala, moim naszyjnikiem z turkusku.

Nie rozumiejąc wszystkiego – nikt nie przemawiał już do niego w nahuatl – lecz doskonale wyczuwając całą energię matki, mowę ciała, treść jej spojrzenia, chłopiec zamarł, zamilkł; patrząc na nią, rozpoznał w jej oczach swe własne oczy i zapłakał innym tonem. Zapłakał, żeby zwymiotować oczami całą truciznę, wszystkie złe emocje, jakie mogło zgromadzić w sobie niespełna czteroletnie dziecko. Potem wyrwał się z jej objęć i pobiegł w stronę domu, krzycząc:

– Niech mnie pani puści! Boję się pani! Niech pani stąd idzie! Nienawidzę pani!

Zraniona do głębi Malinalli jeszcze raz pobiegła za synem. Uciekał w popłochu, wołając:

– Palomaaaa! Mama Palomaaa!

Świadomość, że jej syn uważa inną kobietę za swą prawdziwą matkę, wprawiła Malinalli w szal. Czuli, że wychodzi z siebie. Że jej głowa za moment pęknie. Jej serce łomotało jak bęben wojenny. Chłopczyk wpadł w objęcia kobiety o imieniu Paloma i przywarł do niej ze wszystkich sił. Malinalli, której zdawało się, że zaznała niegdyś bólu miłości, pojęła, że nie ma nic bardziej bolesnego, bardziej rozdzierającego niż to, co działo się w tym momencie, niż ten koszmar. Nie panując nad sobą, wyrwała synka z ramion Palomy, choć okładał ją piąstkami i kopał, chwyciła go mocno za rękę i siłą zawlokła do domu.

Chłopczyk płakał, aż się zmęczył, aż zabrakło mu łez, aż ochrypl i stracił głos. Gdy zamknął oczy, przyszła kolej Malinalli. Wylała tyle łez, że jej oczy całkiem zapuchły, płakała tak długo, że nastąpiła noc.

Żaden dźwięk nie przerywał już ciszy. Malinalli patrzyła przez okno na gwiazdy, jej twarz była tak niewinna, jak gdy miała cztery latka. Tej nocy Malinalli była małą, przestraszoną dziewczynką, lękającą się tego, że miłość nie jest pewna; była małą, przestraszoną dziewczynką, lękającą się tego, że owoce nie rozpoznają ziarna; była małą, przestraszoną dziewczynką, lękającą się tego, że gwiazdy mogą odrzucić z pogardą jej niebo. Odwróciła się i spojrzała na śliczną buzię synka. Z niewiadomego powodu przypomniała sobie jego ojca, którego chłopczyk nigdy nie widział, którego tylko przeczuwał w duchu. Podeszła do niego i pogłaskała go powoli i nieśmiało. Szeptem, żeby go nie zbudzić, powiedziała:

– Syneczku mój, moje skrzydło kolibra, moja bransoleto z jadeitu, mój turkusowy

naszyjniku. Oczy kłamią, myślą się, widzą rzeczy, których nie ma, które nie istnieją. Chłopczku mój, popatrz na mnie teraz, przez zamknięte oczy. Popatrz na mnie, a przypomnisz mnie sobie i zrozumiesz, jak bardzo cię kocham. Na długo przestałam patrzeć własnymi oczami i żałuję tego. Tylko jako dzieci widzimy prawdę, bo nasze oczy są prawdą, mówimy prawdę, bo to, co czujemy, jest prawdą. Tylko jako dzieci nie zdradzamy siebie, nie zakłócamy kosmicznego rytmu. Ja już jestem tylko oczami, które oplakują twoje smutki. Kiedy płaczesz, serce mi się ściska, a moja pamięć zatracą się we wspomnieniu ciebie. Jesteś wyryty w głębi mego serca, wraz z moją babką, z moimi kamiennymi bogami, ze świętymi pieśniami moich przodków. Dałam ciało i kolor twemu duchowi, obmyłam łzami twą skórę, kiedy zostałeś mi wręczony przez Pana Tego, co Bliskie, i Tego, co Obok.

Z zamkniętymi oczkami, w owej ślepoty, która wszystko widzi, chłopczyk wyglądał, jakby słyszał ją, wyglądał, jakby wybaczał jej, wyglądał, jakby ją kochał.

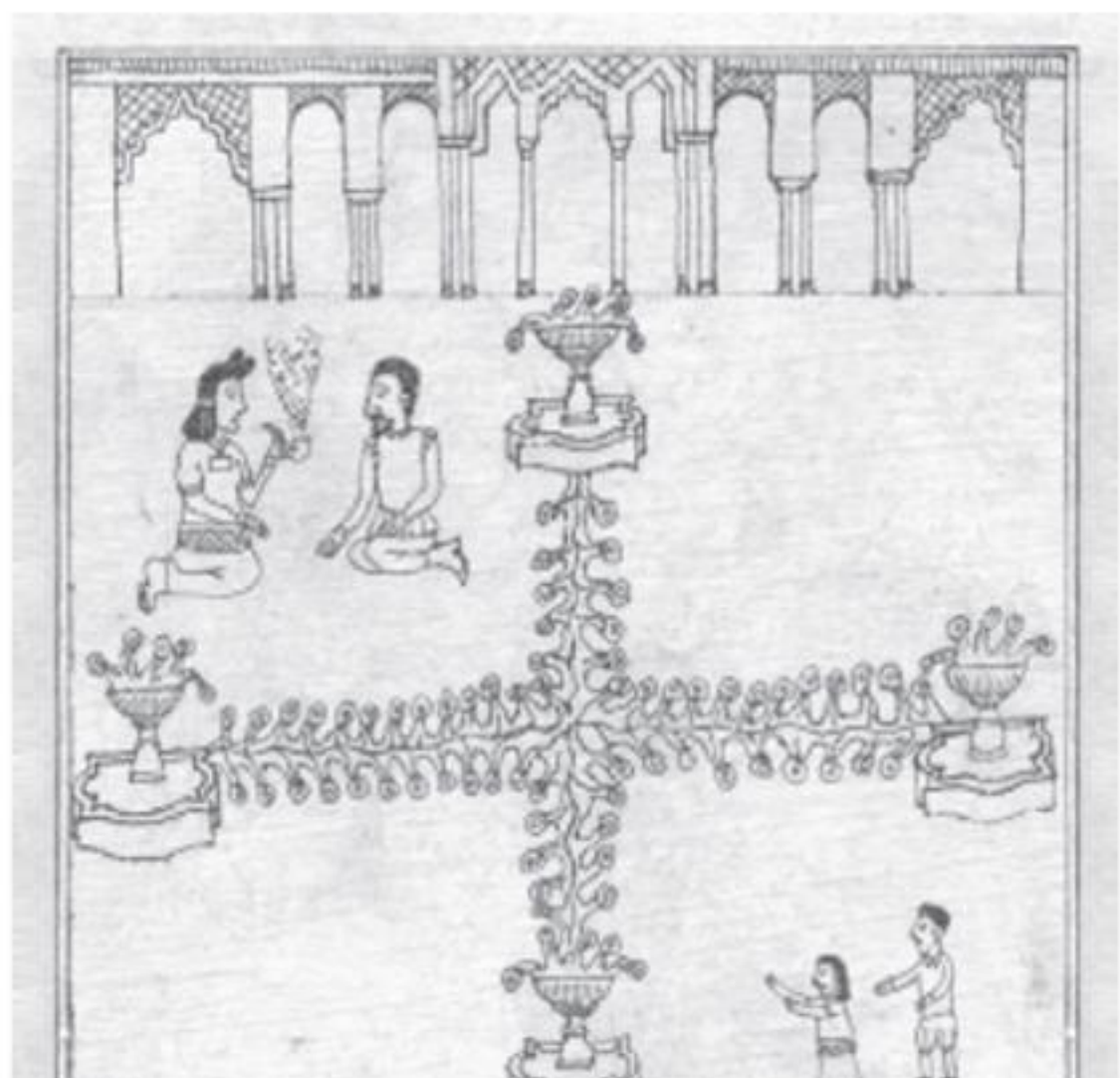
– Gdybyś tylko mógł poczuć, że mnie kochasz, że mnie rozumiesz, że nie jestem dla ciebie nieznaną, że nie jestem tym, co napełnia cię strachem, że nie jestem tym, co zadaje ci ból, byłabym w stanie oddać życie, byłabym w stanie oddać wszystko, gdybyś w ten sposób, synku uwielbiany, synku krwi mojej, synku mego serca, mógł przyjąć moją miłość.

Malinalli ucałowała czule powieki dziecka i zaśpiewała mu śliczną kołysankę w nahuatl, w języku jego przodków. Śpiewała mu ją setki razy, gdy zasypiał w jej objęciach jako niemowlę. Dusza synka rozpoznała, zdaje się, ten śpiew, a w tym momencie pokój wypełnił się nowym światłem, światłem, które mogło płynąć tylko z serca Malinalli. Błękitnym światłem, które przeniknęło ciało chłopca, a on poczuł tę głęboką miłość i uśmiechnął się przez sen, a jego uśmiech zawierał odpowiedź. Malinalli odebrała ten uśmiech jako mgnienie miłości o wielokrotnie potężniejsze niż długie miesiące rozłąki. Zrozumienie i piękno zamieszkały w sercach matki i syna.

Malinalli czuwała aż do świtu, aż do chwili, gdy światło dnia musnęło zamknięte powieki synka i obudziło go. Kiedy spojrział na matkę, już nie płakał, już nie krzyczał, patrzył na nią długo, po czym znowu zasnął w jej ramionach.

Jak niegdyś jego niewidoma prababka Martín zrozumiał, że najprawdziwiej widzi się w milczącym spojrzeniu. Malinalli wiedziała o tym od dziecka. Przez te wszystkie miesiące przebywania z dala od synka i niemożności oglądania go wyobrażała go sobie lepiej niż teraz, gdy przypatrywała mu się uważnie. Natchniona ową prawdą, która oświeciła wszystkie rzeczy, przemówiła do niego po hiszpańsku, a w tym momencie odkryła piękno mowy Cortésa i podziękowała, że bóg podarował jej tę nową formę wyrazu, ten język, który otwierał nowe przestrzenie w jej umyśle i dzięki któremu jej syn mógł zrozumieć jej matczyną miłość.

Relacja między Martínem a Malinalli z czasem uległa poprawie, a srebrna pępowina zasilająca ich związek stała się tak mocna jak dawniej.



Rozdział ósmy



Niebo było całe w odcieniach pomarańczy i rózu. W powietrzu unosił się aromat nardów i kwitnących drzewek pomarańczowych. Malinalli haftowała, a Jaramillo siedział u jej boku i palił cygaro. Martín i María bawili się na dziedzińcu, który rodzice wspólnie zaprojektowali.

Było to piękne patio otoczone szerokimi arkadami, z czterema fontannami, po jednej pośrodku każdego boku, wskazującymi cztery strony świata. Z każdej fontanny wybiegał kanał transportujący wodę do środka dziedzińca; tworzyły razem srebrzysty krzyż. Patio było nie tylko dziełem architektury, harmonijnym układem przestrzennym, lecz także mitycznym centrum, punktem styku wielu tradycji duchowych. Było miejscem, gdzie Malinalli, Jaramillo i dzieci splatały włókna swych dusz z kosmosem. W wodzie rozpoznawali się, odnajdywali się, odnawiali się.

– Ci, którym uda się zgłębić sekret wszystkiego, stają się ludzkimi zwierciadłami, zdolnymi do przemiany

Wspólnie postanowili, że jego centrum będzie woda.

Oboje uwielbiali wodę. Lubili pieścić się, podczas gdy jedno z nich obmywało drugie wodą, do której Malinalli wrzuciła wcześniej kłaczę nardu rosnącego w ogrodzie. Niekiedy musieli przerwać kąpiel, by się całować, by lizać się i kochać, po czym, mokrzy od potu i nasienia, znów wracali do kąpieli. Kąpiel była pierwszym rytuałem, który ich połączył.

Dla Jaramilla woda była niezbędna do życia. W dzieciństwie odwiedził Alhambrę i to zwierciadło nieba olśniło go. Oczarowały go wewnętrzne dziedzińce, kanały z wodą, fontanny. Poczł obecność Boga w tym miejscu. Gdy Malinalli opowiedziała mu o Tuli, zwierciadło nieba, oboje odczuli, że wiąże ich coś ponad ciałem, ponad czasem, ponad wojną, ponad zmarłymi: płynny bóg.

Dom, który wspólnie zaprojektowali i zbudowali, był małym edenem. Malinalli powinna była błogosławić muzułmanów, którzy wzniesli Alhambrę i pozostawili w duszy małego chłopca niezatarty ślad. Dzięki nim – między innymi – dom pieścił wzrok, słuch, dotyk. Gry światła i cienia, kwiaty i wonne zioła, nieustający szmer wody, smak owoców z własnego sadu każdego dnia przysparzał im poczucia szczęśliwości. „Szczęśliwość” – słowo, które choć późno, wreszcie nabrało sensu w życiu Malinalli.

Jej serce radowało się, gdy obserwowała nowe kielki kukurydzy w milpie na tyłach domu. Pierwsze zbiory otrzymała z zasiewu ziaren odziedziczonych po babce, ziaren, z którymi nie rozstawała się przez całe życie. Obok milpy znajdował się sad, w którym w największej harmonii

rosły obok siebie rośliny pochodzenia europejskiego i meksykańskie. Malinalli uwielbiała tworzyć z nich nowe dania. Mieszała cebulę, czosnek, koriander, mięte, pietruszkę, jitomate, opuncję figową, granaty, banany, mango, pomarańcze, kawę, pszenicę, kukurydzę, kakao. Nowe smaki rodziły się, nie stawiając oporu metysażowi. Najróżniejsze składniki bez problemu zgadzały się na swoje towarzystwo, a rezultat był zaskakujący.

Ten sam proces dokonał się w jej brzuchu. Jej dzieci były owocem różnych krwi, różnych zapachów, różnych aromatów, różnych kolorów. Tak jak ziemia rodziła kukurydzę w kolorze niebieskim, białym, czerwonym i żółtym – pozwalając zarazem na mieszanie się tych barw – tak możliwe było stworzenie na ziemi nowej rasy. Rasy, która zawierałaby wszystkie już istniejące. Rasy, w której odtworzyłby się Dawca Życia, pod wszystkimi możliwymi imionami, pod wszystkimi możliwymi postaciami. Do takiej rasy należały jej dzieci.

Z największą radością patrzyła, jak biegają po dziedzińcu i bawią się w wodzie fontann przypominających w równym stopniu Tulę co Alhambrę. Cieszyła się, że mówią w nahuatl i po hiszpańsku. Że jedzą chleb i tortille. Bolało ją zaś, że nie widzieli doliny Anahuac. Tenochtitlanu. Choćby jak najbardziej starała się opisać im te miejsca, nie potrafiła. Postanowiła więc narysować dla nich kodeks – rodzinny kodeks – i nauczyć ich odczytywania jego języka. Rozumienia jego znaków. Zależało jej, by oprócz umiejętności czytania po hiszpańsku posiadli sztukę czytania kodeksów. Jak mówił pewien majański poemat, „ci, którzy patrzą, ci, którzy opowiadają, ci, którzy z głośnym szelestem przewracają stronicę malowanych ksiąg. Ci, którzy panują nad czarnym i czerwonym atramentem: nad rysunkami. Oni prowadzą nas, oni są naszymi przewodnikami, oni wskazują nam drogę”.

Zależało jej, by jej dzieci i ona umiały to samo, by mogli rozmawiać o tym samym, by mogli podążać do tego samego miejsca. Być może gdyby Jaramillo i ona nie oglądali na własne oczy tych samych wydarzeń, nie byłoby im łatwo zrozumieć, czym była konkwista. Malinalli pragnęła, by między jej dziećmi a nią panowało to samo poczucie wspólnoty, w związku z czym była gotowa nauczyć się czytać i pisać po hiszpańsku.

Każdego ranka wraz z Martínem mozolnie gryzmoła litery i cyfry. Najbardziej podobała się jej cyfra osiem. Uważała, że doskonale oddaje ideę metysażu. Tworzyły ją dwa okręgi połączone pośrodku. Połączone nieskończonością. Połączone niewidzialnym.

Po południu lubiła bawić się z dziećmi, chwycić je za kostki nóg i kręcić w powietrzu, tak jak niegdyś robiła to z nią jej babka. Gdy się zmęczyła, siadała i haftowała huipile, dzieci biegały po dziedzińcu, Jaramillo rzeźbił w drewnie.

Malinalli uważała, że haftowanie czy rzeźbienie w drewnie bardziej niż rękodzielnictwem jest ćwiczeniem cierpliwości. Cierpliwość była sztuką milczenia, gdzie rytm i harmonia płynęły naturalnie między jednym wbiciem igły a drugim, między dłutem a młotkiem. Poprzez owo rytualne, codzienne ćwiczenie oboje osiągnęli świetliste stany ducha, w których wewnętrzny spokój i duchowe bogactwo były ich nagrodą i ich celem.

Tego popołudnia, gdy popijali napar z liści pomarańczy, Jaramillo przerwał na moment pracę nad figurą Matki Boskiej z Guadalupe, którą zamierzał umieścić w pokoju dzieci, i zapytał:

– Marina, chcesz, żebyśmy poszli jutro na mszę?

– Nie. A ty?

– Nie.

Co roku odprawiano mszę w ramach obchodów rocznicy upadku Tenochtitlanu. Malinalli nie lubiła brać w niej udziału. Nie lubiła po raz kolejny przeżywać śmierci, lamentów, płaczów, a najbardziej nie lubiła modlić się przed krucyfiksem. Przed obrazem nowego boga, boga ciała przybitego do krzyża, ciała krwawiącego. Jego widok budził w niej grozę, ponieważ zawsze odrzucała w duchu ofiary z ludzi.

Nie lubiła patrzeć na ranę w boku przypominającą jej rany czynione obsydianowym nożem w piersi ludzi składanych w ofierze w świątyni Huitzilopochtli. Nie lubiła patrzeć na cierniową koronę, na grudki zakrzepłej krwi. Ten widok budził w niej chęć pomocy, ratowania tego człowieka od mąk, oswobodzenia go. Nie znosiła patrzeć na niego. Jego poświęcenie było wieczne i mówiło, że – nie licząc konkwisty – nie zaszła żadna zmiana na tych ziemiach. Że na nic się nie zdał upadek imperium, że ofiara z ludzi przetrwała i że takie właśnie dziedzictwo zostawia tym, którzy przeżyli. Że ten Chrystus na krzyżu jest bólem bez końca. Jest śmiercią bez końca. Jest wieczną śmiercią. Malinalli nie wierzyła, że ofiara może stworzyć światło, tak jak nie wierzyła, by dało się znaleźć światło w głębi ofiary.



Wolała zatem nie uczestniczyć w ceremonii i nie patrzeć na ukrzyżowanego Chrystusa. Wolała oglądać życie niż śmierć. Wolała oglądać swoje dzieci, owoc konkwisty, a nie wspominać zmarłych. Wolała całować Jaramilla, kochać go, wolała błogosławić jego, nie obraz wiecznej ofiary. Dzięki swemu mężowi znalazła pokój, niebo na ziemi. Dzięki mężowi, lecz także dzięki Cortésowi, wojnie, wygnaniu, nienawiści. Obecność tego drugiego napawała ją nieodpartą odrazą. Zbijała ją z tropu, drażniła ją, gniewała. Ich spotkanie zawsze kończyło się kłótnią.

Tego popołudnia Cortés pojawił się w ich domu, psując dobry nastrój. Poczęstowali go filiżanką czekolady z wanilią i zaprosili, by usiadł obok jednej z fontann. Jak zwykle przytłaczały go najróżniejsze problemy. Groził mu sąd, oskarżano go o nielojalność wobec Korony, zamiar wprowadzenia tyranii, niezastosowanie się do królewskich rozkazów, zbrodnie, okrucieństwa i arbitralne decyzje podczas wojny; nadużycia i rozwiązłość seksualną, zgromadzenie majątku osobistego, odmowę przekazania królowi Hiszpanii należnej mu części, przywłaszczenie sobie rozległych terenów miejskich i wiejskich, odpowiedzialność za śmierć – między innymi – Cataliny Xuárez, jego małżonki.

Wobec powagi zarzutów Cortés wymienił Malinalli i Jaramilla jako gotowych do zeznawania w charakterze świadków. Ton, jakim zwrócił się do nich, uświadomił Malinalli, że nie prosi ich o nic, lecz że oczekuje przysługi za przysługę. Oprócz ziemi, na której stał ich dom, podarował im jeszcze encomiendę w Olueli i Jaltipan, miasteczkach w pobliżu Coatzacoalcos, skąd pochodziła Malinalli, w związku z czym faktycznie mieli wiele powodów do wdzięczności – ten zwłaszcza, że ożenił ich ze sobą – lecz Malinalli nie spodobał się sposób, w jaki domagał się lojalności.

– I czego oczekujesz ode mnie? Żebym skłamała?

– Nie. Oczekuję, że okażesz swą wierność.

Popołudnie nabrało nagle szarego odcienia, a słońce pochłonęła wilgoć nieba. Oczy Malinalli były wilgotne, piękne i smutne, jak gdyby, znużone patrzeniem, chciały uciszyć obrazy

w mózgu i wymazać z pamięci wszelki kształt i wszelkie odbicie konkwisty oraz iluzorycznego, oszukańczego świata. Wymawiając stanowczym głosem jego nazwisko, przemówiła:

– Cortés, na zawsze będę ci wdzięczna za syna i męża, których mi dałeś, za skrawek ziemi, który wielkodusznie nam podarowałeś, byśmy mogli zapaść korzenie, ale nie proszę mnie, żebym zeznawała, nie tym tonem, nie jestem już twoim językiem, panie Malinche.

Już od dawna nikt nie nazywał go Malinche. Określenie odeszło w niepamięć, gdy Malinalli wyszła za mąż za Jaramilla, gdy przestała być jego kobietą, gdy się rozstali. Jego oczy zapłonęły i z hamowanym gniewem zwrócił się do niej:

– Za kogo się uważasz, żeby tak do mnie mówić?

Jaramillo, doskonale znający swą żonę, dostrzegł w jej oczach błysk wściekłości i domyślił się, że wyleje zaraz na Cortésa całą swą nienawiść. Przeprosił, wstał, wziął dzieci za ręce i zabrał je do wnętrza domu.

Malinalli nie odpowiedziała od razu. Zebrała najpierw wszystkie słowa, które gromadziła w chwilach bólu i rozpacz. Była zmęczona, skrajnie zmęczona Cortésem i jego strategiami. Miała dość tolerowania go i spełniania jego rozkazów, a nade wszystko miała dość bycia jego odbiciem. Rzeczywiście mogła być jego najlepszym świadkiem, lecz nie wiedziała, co miałaby zeznać, żeby mu nie zaszkodzić. Ona, najbardziej niskiego stanu, najbardziej ślepa, cóż takiego mogła zobaczyć! Wzięła głęboki oddech i powiedziała powoli i spokojnie:



– Najgorszą ze wszystkich chorób zrodzonych z twojej ambicji nie była ani oспа, ani syfilis. Najgroźniejszą ze wszystkich chorób są twoje przeklęte lustra. Ich światło rani, jak rani twój ostry miecz, jak ranią twoje okrutne słowa, jak ranią ogniste kule, którymi twoje armaty pluły w moich rodaków. Przywiozłeś posrebrzane lustra, wyraźne, napięte, świetliste. Boli mnie, gdy się w nich przeglądam, ponieważ oblicze, jakie odsyła mi lustro, to oblicze, które nie jest moje. To oblicze skurczone smutkiem i poczuciem winy. To oblicze naznaczone twymi pocałunkami i wymięte twoimi zatrutymi pieszczotami. Twoje lustra odsyłają przed moje oczy strach ust wykrzywionych w grymasie, ust ludzi, którym odebrano język, którym odebrano bogów. Twoje lustra odbijają kamień bez wulkanu i przyszłość bez drzewa. Twoje lustra są niby studnie suche i próżne, pozbawione ducha, pozbawione wieczności. W obrazach z twoich luster są krzyki i zbrodnie pochłonięte przez czas. Twoje lustra zniekształcają i doprowadzają do obłądzenia człowieka, który się w nich przegląda; napawają go strachem, wypaczają mu serce, rozszarpują, wykrwawiają, przeklinają; oszukują go swą oślizgłą, przewrotną, fałszywą duszą. Tak długo przeglądałeś się w swoich lustrach, że zaczęła cię trawić choroba, że pokazały ci nieprawdziwą chwałę i nieprawdziwą władzę. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że twarz, na którą spoglądasz w lustrze, sądząc, że to twoja twarz, nie istnieje. Twoje lustra zniszczyły ją, a w jej miejsce pokazują straszliwe piekło. Piekło! To słowo, którego nauczyłam się od ciebie, to

słowo, którego nie rozumiem, to miejsce stworzone przez twoich ludzi, żeby przeklinać na wieki wszystko, co żyje. Ten przerażający świat, który wyprodukowałeś, to właśnie ten świat podchwytuje twój obraz i zamraża go w lustrze. Twoje lustra są tak straszne jak ty! To, czego najbardziej nienawidzę, Hernánie, to świadomość, że przejrzałam się w twoich lustrach. W twoich czarnych lustrach. Poszukiwanie bogów jest poszukiwaniem siebie samego. A gdzie się chowamy? W wodzie, w powietrzu, w ogniu, w ziemi. Jesteśmy w wodzie, w ukrytej rzece. Woda tworzy nasze ciało, lecz nie czujemy jej. Widzimy tylko wodę zewnętrzną. Rozpoznajemy się tylko w lustrach. Gdy oglądamy się w wodzie, wiemy, że jesteśmy także światłem, w innym razie nie mielibyśmy odbicia. Jesteśmy ogniem, jesteśmy słońcem. Jesteśmy w powietrzu i w słowie. Gdy wymawiamy imiona naszych bogów, wymawiamy nasze imię. Bogowie i ludzie, jesteśmy tym samym. Dziecko słońca, dziecko wody, dziecko powietrza, dziecko kukurydzy; rodzą się z brzucha matki ziemi. Gdy człowiek znajduje w sobie samym słońce, ogień w ruchu, wodę, ukrytą rzekę, powietrze, świętą pieśń, ziemię, ciało kukurydzy, przekształca się w boga.

Malinalli musiała jak najszybciej odnaleźć siebie samą, odnaleźć swych bogów. Po okropnej rozmowie z Cortésem poprzedniego dnia czuła, że nie ma jej we własnym ciele, że jej dusza wymknęła się, że uciekła, że ulotniła się wraz z promieniami słońca.

Przejrzenie się w Hernánie Cortésie wytrąciło ją z równowagi. By odzyskać światło, musiała stawić czoła swojej ciemnej stronie. By to osiągnąć, musiała odbyć tę samą podróż, którą odbył Quetzalcoatl do wnętrza ziemi, do świata podziemnego, zanim przerodził się w Gwiazdę Poranną. Cykl Wenus jest cyklem oczyszczenia, cyklem odnowy. Wenus – Quetzalcoatl w pewnym momencie znika, nie widać jej na niebie, ponieważ wstępuje w brzuch matki ziemi, schodzi tam, by odzyskać kości przodków. Kości są nasieniem, zaszczepieniem ciała ludzkiego zasianym przez wszechświat. Przed odzyskaniem ciała Quetzalcoatl musi zmierzyć się z swoimi pragnieniami, przejrzeć się w czarnym zwierciadle, dopiero wówczas jest możliwe oczyszczenie. Jeśli uda mu się, słońce spod ziemi, spod wzgórza, użyje swej energii, sprawi, że ziemia otworzy się i pozwoli zakiełkować roślinie, którą nasienie będzie żywić wodą z ukrytej rzeki. Quetzalcoatl, który zstąpił pod ziemię jako bezcielesny duch, w kontakcie z siłami dającymi życie połączy się ponownie z ciałem i z kośćmi.

Malinalli szykowała się do tej podróży przez całą noc. O świcie pożegnała się ze swym ukochanym mężem i powierzyła dzieci jego opiece na czas, gdy ona wyruszy na poszukiwanie siebie na wzgórzu Tepeyac. Czuła się obolała, okaleczona. Czuła, że atakując Cortésa, zaatakowała siebie samą. Wspinając się na wzgórze, mówiła sobie: „Woda nie atakuje wody. Kukurydza nie atakuje kukurydzy. Powietrze nie atakuje powietrza. Ziemia nie atakuje ziemi. To tylko człowiek, który nie dostrzega siebie w tych rzeczach, atakuje je, niszczy je. Człowiek, który atakuje sam siebie, niszczy wodę, niszczy kukurydzę, niszczy ziemię, przestaje wymawiać imiona swych bogów. Człowiek, który nie widzi, że jego brat także jest wiatrem, jest wodą, jest kukurydzą, nie jest w stanie zobaczyć boga”.

Malinalli chciała zobaczyć Tonantzin, bóstwo żeńskie, Matkę. Chciała wymówić jej imię, by poczuć się jej częścią, by móc spoglądać w oczy swych dzieci bez lęku, że ujrzy w nich odbicie gniewu. Wiedziała, że by połączyć się z siłami przyrody, kosmosu, musi przede wszystkim zamilknąć i z całym nabożeństwem zwrócić swe serce ku niebu. Tonantzin znajdowała się – jak głosiła tradycja – na wzgórzu Tepeyac, lecz Malinalli nie wiedziała dokładnie, w którym miejscu.



„Gdzie jesteś? – zapytała bezgłośnie. – Gdzie jesteś, duszo rzeczy, esencjo widzialnego, wieczności gwiazd? Gdzie mogę cię szukać, skoro zostałaś zakazana, skoro ukryto cię, skoro wyrwano cię z naszej wiary, skoro próbowano wymazać cię z naszej pamięci?”

Już w momencie, gdy zadawała te pytania, usłyszała odpowiedź, jak gdyby myśląc o Tonantzin, nawiązała z nią porozumienie. Usłyszała w głowie, że esencja Tonantzin powróciła w głąb zwierciadła, w głąb wody, by się odnowić. Ona także pragnęła odnowy. W najgłębszej warstwie ziemi pozbyła się spojrzenia, słowa, dotyku, siły. Jest teraz wiatrem, wodą, ogniem, ziemią zawartą w nasionku, która wkrótce pojawi się na powierzchni, lecz w nowym stroju, w nowej postaci. Wyłoni się ze snów, z pragnień, z głosów, które pytają o nią, które pamiętają o niej. Pojawi się, gdy jej lud obudzi się ze śmiertelnego snu, w jakim jest pogrążony, z oszukańczego snu, który usiłował ich przekonać, że z nieba wymazano odbicie jej ciała. Gdy odzyskają wiarę w siły natury, w siły stworzenia, wówczas będą mogli pomalować swego ducha jej kolorami. Pojawi się przybrana w promienie słoneczne, ze stopami wspartymi na księżycu, unosząca się w powietrzu, drżąca na wietrze, w nowej postaci, jako że przemiana człowieka i przemiana świata to przemiana kosmosu. Meksykanie doznali przemiany, ich bogowie również.

„Zmieniają postać nasze rytuały, inny stanie się nasz język, nasze modlitwy, nasze porozumienie – powiedziała jej Tonantzin – lecz dawni bogowie, niewzruszeni, bogowie tego, co bliskie, i tego, co obok, bogowie bez początku i bez końca, zmieniają tylko postać”.

Po tych słowach Malinalli poczuła, że w powietrzu rozchodzi się piękny zapach, widomy znak obecności tego, co święte. W uspokojonym umyśle połączyła się ponownie z Tonantzin i skierowała do niej słowa pełne uszanowania:

– Tobie, ciszy poranka, aromacie myśli, sercu pragnienia, świetlista intencjo stworzenia, tobie, która pieszczoty zamieniasz w kwiaty, która jesteś światłem nadziei, sekretem warg, projektem widzialnego, tobie powierzam to, co kocham, tobie powierzam moje dzieci, zrodzone z miłości, co nie ma ciała, zrodzone z miłości, co nie ma początku, zrodzone z tego, co szlachetne, z tego, co piękne, z tego, co święte, tobie, która jesteś tym samym co one, tobie je powierzam, byś pozostawała w ich myślach, byś kierowała ich krokami, byś mieszkała w ich słowach, by nigdy nie zatręły ich chore uczucia, by nie utraciły chęci życia. Ciebie, mateczko, proszę, byś była ich odbiciem, żeby na twój widok odczuwały dumę. Moje dzieci, które nie należą ani do mojego świata, ani do świata Hiszpanów. Moje dzieci, mieszanka wszystkich krwi – iberyjskiej, afrykańskiej, rzymskiej, gockiej, krwi indiańskiej i krwi bliskowschodniej – moje dzieci, które wraz z wszystkimi, co właśnie się rodzą, są nowym naczyniem, gdzie zamieszka prawdziwa myśl Chrystusa – Quetzalcoatl, by z ich serc oświetlić świat, niech nigdy nie zaznają strachu! Niech nigdy nie czują się samotne! Ukaż się im, strojna w jadeitowy naszyjnik, pióra kwezala, gwiazdzisty płaszcz, żeby cię rozpoznały, żeby poczuły twą obecność. Ochroń ich przed

chorobami, spraw, żeby wiatr i chmury odeгнаły wszelkie niebezpieczeństwo, wszelkie zło, jakie im może zagrażać. Nie pozwól, by przejrzały się w czarnym zwierciadle, które powie im, że są gorsze, że do niczego się nie nadają, by przystały na złe traktowanie i na przemoc. Spraw, by nie zaznały zdrady, nienawiści, żądzy władzy, ambicji. Przyjdź do nich w snach i nie pozwól, by w ich głowach zagnieździł się sen o wojnie, ten zbiorowy obłądny koszmar, to bolesne piekło. Ulecz ich lęki, wymaż ich lęki, zniszcz ich lęki, oddal ich lęki, przestrasz ich lęki, ukój ich lęki i moje, matko. O to właśnie cię proszę, Wielka Pani. Umocnij ducha nowej rasy, która nowymi oczami przegląda się w zwierciadle księżycy, niech wie, że jej obecność na ziemi jest spełnioną obietnicą wszechświata. Obietnicą pełni, życia, odkupienia i miłości.

To był Meksyk i Malinalli wiedziała o tym. Wymówiwszy ostatnie słowa modlitwy, wyjęła swój gliniany naszyjnik – który zawsze nosiła na piersi – z kamiennym wizerunkiem Pani Tonantzin. Był to ten sam naszyjnik, który podarowała jej babka, gdy Malinalli była małą dziewczynką. Wyjęła także różaniec wykonany z ziaren kukurydzy, z których wiele lat temu odczytano jej przyszłość. Zakopała je w ziemi. Wraz z nimi grzebała swą matkę, swą babkę, siebie samą, wszystkie córki kukurydzy. Poprosiła Matkę Tonantzin, by zasilila te ziarna wodą z ukrytej rzeki, by pozwoliła im wydać owoce, by pozwoliła im stać się pożywieniem nowych ludzi zasiedlających dolinę Anahuac.

Przypomniała sobie nagle Matkę Boską z Guadalupe, tę Czarną Madonnę, której wizerunek wisiał nad ich łóżkiem. Była to Matka Boska czczona w hiszpańskim regionie zwanym Ekstremadura. Jaramillo opowiedział jej, że oryginał jest wyrzeźbiony w czarnym drewnie i przedstawia Maryję Dziewicę z Bożym Dziecięciem w ramionach. Jaramillo wyrzeźbił dla żony jego kopię. Podczas pracy nad reprodukcją opowiedział, że w czasach, gdy Hiszpanię podbijali Arabowie, hiszpańscy zakonnicy w obawie, by wizerunek nie został sprofanowany, zakopali go na brzegu rzeki Guadalupe – hiszpańszczonej wersji arabskiego wyrażenia „wad al luben”, „ukryta rzeka” – i z tego powodu, gdy wiele lat później wykopał go przypadkiem pewien pasterz, nazwano Maryję tak jak rzeka, Matką Boską z Guadalupe.

Tego dnia Malinalli, siedząc na wzgórzu Tepeyac, pogrzebawszy swą przeszłość, odnalazła siebie samą, dowiedziała się, że jest bogiem, dowiedziała się, że jest wieczna i że niebawem umrze. Także to, co dawało życie, umiera. Siedziała na szczycie wzgórza. Gwałtowny podmuch wiatru o mało co nie zwałił drzew. Zerwane liście wypełniły jej uszy muzyką. Szum wiatru wzmagął się. Malinalli poczuła jego siłę na twarzy, na włosach, na całym ciele i serce nieba otworzyło się przed nią.

Śmierć nie trwożyła jej, wszystko w jej otoczeniu mówiło o zmianie, o transformacji, o odrodzeniu. Tenochtitlan umarł, a w jego miejscu wznosiło się nowe miasto, już nie zwierciadło, lecz kamień i ziemia. Cortés już nie był konkwistadorem, lecz markizem del Valle de Oaxaca. Ona również wkrótce miała doświadczyć ostatniej przemiany. Przyjmowała tę myśl z przyjemnością. Wiedziała, że nigdy nie przestanie należeć do wszechświata, zmieni postać, lecz będzie istniała nadal, będzie w wodzie fontanny, przy której bawią się jej dzieci, w gwiazdach, które ogląda nocami Jaramillo, w kukurydzianych tortillach, które jadają każdego dnia, w wietrze podtrzymującym kolibry tańczące nad nardami. Będzie istniała na ulicach nowego miasta, tam, gdzie niegdyś mieścił się targ Tlatelolco, w lasku Chapultepec, w dźwięku bębnow i konch, w śniegu wulkanów, w słońcu, w księżycu.

Malinalli, siedząca w milczeniu na wzgórzu Tepeyac, złączyła się z ogniem, z wodą, z ziemią, rozpuściła się w wietrze, zrozumiała, że jest we wszystkim i w niczym. Nic jej nie wstrzymywało, nic nie sprawiało jej cierpienia. Nie było bólu ani żalu, było tylko nieskończone. Pozostała w tym stanie, aż ptaki oznajmiły jej, że zabierają dzień pomiędzy swymi piórami.

Gdy Malinalli wróciła do męża i dzieci, wyglądała na odmienioną. Bił od niej spokój.

Uściskała ich mocno, ucałowała, pobawiła się z dziećmi, po czym zaprowadziła je do łóżek. Przez całą noc kochała się z mężem. Następnie wyszła na patio i w blasku księżyca, przyświecając sobie pochodnią, słońcem i księżycem próbowała uwiecznić w obrazie doświadczenie tego magicznego dnia. Namalowała Panią Tonantzin, świetlistą, opiekuńczą, okrywającą płaszczem dom, w którym spała jej rodzina. Gdy skończyła, umyła pędzel w jednej z fontann dziedzińca.

Cisza była całkowita. Malinalli wciągnęła w płuca zapach nardów, weszła do wody, przeszła kanałem na środek patia. W tym miejscu, w centrum krzyża Quetzalcoatl, pośrodku rozstajów dróg, gdzie pojawiają się Cihuateteo, kobiety zmarłe podczas porodu, tworzące orszak Tlazolteotl, Coatlicue, Tonantzin – różnorodnych wcieleń tego samego bóstwa żeńskiego – tam właśnie, w centrum wszechświata, przybrała postać płynną.

Postać wody księżycowej.

Malinalli, podobnie jak Quetzalcoatl, poznawszy swą ciemną stronę, stała się świadoma swego światła. Jej wola zjednoczenia się z kosmosem sprawiła, że granice ciała zniknęły. Jako pierwsze doświadczyły przemiany jej stopy, zetknąwszy się w wodą skąpaną światłem księżyca. Przestały ją zawierać i zamykać. Jej duch stopił się z duchem wody. Rozproszył się w powietrzu. Jej skóra rozciągnęła się do granic możliwości, pozwalając na zmianę formy i złączenie się z tym, co ją otaczało. Stała się nardem, stała się drzewkiem pomarańczowym, stała się kamieniem, stała się zapachem kopalu, stała się kukurydzą, stała się rybą, stała się słońcem, stała się księżycem. Opuściła ten świat.

W tym momencie na niebie zarysowała się błyskawica, srebrzysty jęzor, zwiastująca burzę. Jej błysk oświetlił bezruch ciała Malinalli, która umarła kilka sekund wcześniej. Jej oczy zostały pochłonięte przez gwiazdy, które natychmiast poznały wszystko, co za życia zobaczyła na ziemi.

Malinalli narodziła się dla wieczności trzynastego dnia. Juan Jaramillo świętował ten dzień na swój sposób. Wychodził z dziećmi na patio, wypełniali je kwiatami i pieśniami, następnie każde z nich czytało wiersz napisany w nahuatl dla Malinalli. Na zakończenie milczeli przez długą chwilę, by nasiąknąć nią przed pójściem spać.



Z tą kameralną ceremonią jaskrawo kontrastowały organizowane przez kolonialne władze huczne obchody rocznicy upadku wielkiego Tenochtitlanu, który nastąpił 13 sierpnia 1521 roku. Punkt kulminacyjny stanowiła uroczysta msza odprawiana w kościele Świętego Hipolita, jako że data zwycięstwa Hiszpanów nad Indianami przypadła na dzień tego świętego.

Wielokrotnie zapraszano Jaramilla na mszę upamiętniającą upadek Tenochtitlanu, a on za każdym razem odmawiał. Kilka lat później odrzucił także zaszczytną propozycję niesienia chorągwi w dniu świętego Hipolita, co władze uznały za zniewagę.

Bibliografía



- ARGÜELLES José, *El factor maya*, México 1993.
- CORTÉS Hernán, *Cartas de relación*, wyd. 19, México 2002.
- CARRILLO DE ALBORNOZ José Miguel, *Moctezuma, el semidiós destronado*, reprint, México 2005.
- DÍAZ DEL CASTILLO Bernal, *Historia verdadera de la conquista de la Nueva España*, wyd. 20, México 2002.
- DÍAZ INFANTE Fernando, *La educación de los aztecas*, wyd. 5, México 2001.
- DURÁN Fray Diego, *Historia de las Indias de Nueva España e Islas de la Tierra Firme*, wyd. 2, México 1984.
- DURÁN Fray Diego, *Ritos y fiestas de los antiguos mexicanos*, México 1980.
- ESCALANTE PLANCARTE Salvador, *Fray Martín de Valencia*, México 1945.
- FERNÁNDEZ DEL CASTILLO Francisco, *Catalina Xuárez Marçayda*, México 1980.
- FLORESCANO Enrique, *El mito de Quetzalcóatl*, wyd. 3, México 2000.
- FUENTES MARES José, *Cortés. El hombre*, México 1981.
- GÓMEZ DE OROZCO Federico, *Doña Marina, la dama de la conquista*, México 1942.
- GUERRERO José Luis, *Flor y canto del nacimiento de México*, México 1990.
- GUTIÉRREZ CONTRERAS Francisco, *Hernán Cortés*, Barcelona 1986.
- HERRÉN Ricardo, *Doña Marina, la Malinche*, wyd. 3, México 1994.
- LANYON Anna, *La conquista de la Malinche*, México 2001.
- LEÓN PORTILLA Miguel, *Toltecáyotl, aspectos de la cultura náhuatl*, wyd. 5, México 1995.
- La Malinche, sus padres y sus hijos*, red. Margo Glantz, México 2001.
- MARTÍN DEL CAMPO Marisol, *Amor y conquista, la novela de Malinalli mal llamada la Malinche*, México 1999.
- MARTÍN DEL CAMPO Marisol, *Doña Marina*, México 2002.
- MARTÍNEZ José Luis, *Hernán Cortés* (wersja skrócona), México 1995.
- MENÉNDEZ Miguel Angel, *Malintzin, en un fuste, seis rostros y una sola máscara*, México 1964.
- MIRALLES Juan, *La Malinche*, México 2004.
- MOCTEZUMA Hipólito, *Astrología azteca*, Barcelona 2000.
- NÚÑES BECERRA Fernanda, *La Malinche: de la historia al mito*, México 2002.
- PRADIER Kay, *La princesse aztèque Malinalli*, Lausanne 2001.
- PRESCOTT W.H., *Historia de la conquista de México*, México 1976.

- RASCÓN BANDA Víctor Hugo, *La Malinche*, México 2000.
- RUIZ DE VELASCO, Tafolla Luis, *Malinche, el Teule*, México 1995.
- SAHAGÚN Fray Bernardino de, *Historia general de las cosas de la Nueva España*, wyd. 10, México 1999.
- SÉJOURNÉ Laurette, *Pensamiento y religión en el México antiguo*, wyd. 9, México 1990.
- SÉJOURNÉ Laurette, *El universo de Quetzalcóatl*, wyd. 5, México 1998.
- THOMAS Hugh, *Conquest. Montezuma, Cortés, and the Fall of Old Mexico*, New York 1995.
- VALLE-ARIZPE Artemio de, *Andanzas de Hernán Cortés*, México 1978.

Podziękowania



W powietrzu, w niewidzialnym, żeglują nieskończona liczba pomysłów jeszcze nieuformowanych. W locie mijają się ze sobą, a wówczas dochodzi do świetlistych spotkań, które później utrwalają się w obrazach, w dźwiękach, w słowach, w wiedzy.

Książka ta jest wynikiem moich poszukiwań odpowiedzi na pytania: Jaka była Malinche? O czym myślała? Co wiedziała? Co sądziła na różne tematy?

Odpowiedzi znalazłam nie tylko w książkach historycznych, lecz także w rozmowach z przyjaciółmi i w kontakcie z niewidzialnym, gdzie czas przestaje istnieć i można przeżyć niezwykle spotkania z przeszłością.

W podróży tej pomogli mi swą obecnością i bezwarunkowym wsparciem: Javier Valdés, który wziął na siebie ciężar kwerendy; Salvador Garcini, który dołączył do nas i podzielił się swymi snami, marzeniami, świetlistą myślą; Antonio Velasco Piña, który wzbogacił naszą wiedzę na temat historii Meksyku.

Walter de la Gala, Elena Guardia, Isabel Molina, Víctor Hugo Rascón Banda i Alfredo Robert użyczyli mi książek związanych z zagadnieniami, które poruszam w tej powieści.

Victor Medina i Soledad Ruiz udzielili mi wielu cennych rad.

Mój siostrzeniec Jordi Castells włożył talent, intuicję i wrażliwość w stworzenie kodeksu towarzyszącemu temu wydaniu, który następnie posłużył Pinedzie i Covalínowi do wykonania okładki.

Mój brat Julio Esquivel i Juan Pablo Villaseñor służyli mi pomocą i umiejętnościami komputerowymi w zbieraniu danych.

Cristina Barros i Marco Buenrostro wnieśli wiedzę na temat kuchni meksykańskiej.

Wszystkim gorąco i serdecznie dziękuję.

